

M A G A Z Y N N I E T Y L K O D L A Ż O Ł N I E R Z Y

POLSKA ZBROJNA

nr 10 (882)
PAŹDZIERNIK 2019

ISSN 0867-4523

Łukasz Kulesa

Nie widzę szans
na powrót
do tradycyjnej
kontroli zbrojeń

**DZIAŁA
MAGIA
MUNDURU**

Matka i córka
w jednym plutonie

TEMAT NUMERU

RATUJ JAK NA WOJNIE

Misje w Iraku i Afganistanie
zmieniły oblicze cywilnej służby
medycznej



1.09 - 18.11 2019 r.

Druga edycja kampanii honorowego krwiodawstwa organizowana przez
Stowarzyszenie Honorowych Dawców Krwi Legion i Wojskowy Instytut Wydawniczy



PATRONAT HONOROWY
Mariusz Błaszczak
Minister Obrony Narodowej



Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

**NIEPODLEGŁA
MAMY WĘ KRWI**

Zaplanuj swoje donacje z nami - wygraj cenne nagrody!

Gdzie i kiedy:

Krew będziemy zbierać od 1 września do 11 listopada 2019 r. Wówczas odbędzie się 50 akcji krwiodawstwa, które zorganizują z nami jednostki Wojska Polskiego oraz kluby HDK. Ale to nie wszystko! Do kampanii będziesz mógł dołączyć każdego dnia w dowolnym Centrum Krwiodawstwa. Wystarczy, że zarejestrujesz swoją donację na Portalu Legion lub w aplikacji „Legion Bohaterów - Honorowi Dawcy Krwi” i weźmiesz udział w konkursie.

Konkurs z nagrodami:

Konkurs potrwa 71 dni. Oznacza to, że swoje donacje możesz zaplanować w taki sposób, aby dwukrotnie oddać krew w ramach naszej kampanii. To podwójna pomoc tym, którzy potrzebują Twojej krwi. To także podwójna szansa na nagrody dla Ciebie. Każdego dnia wybierzemy pięciu krwiodawców, którzy zostaną nagrodzeni. Z kolei na koniec kampanii wylosujemy szczęśliwców, którzy zdobędą atrakcyjne nagrody. Wśród nich będą między innymi: pióro z faksymile Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, skoki w tandemie z komandosami JWK czy biżuteria. Łącznie nagrodzimy aż 400 krwiodawców.

Jak dołączyć do kampanii:

Więcej informacji znajdziesz na Portalu Legion: www.legionhdk.pl



ORGANIZATORZY:

PATRONI MEDIALNI:

WSPIERAJĄCY KAMPANIĘ:



PREZIDENT PL



ENIGMA



Zofart



BLIK



NIW



FIO



PrintNet.pl



EUVIC



Militaria.pl



Shooting & Outdoor



Gonyx



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” ELEMENTY MEDYCyny
TAKTYCZNEJ CORAZ CZĘŚCIEJ SĄ
WYKORZYSTYWANE W CYWILNEJ
SŁUŻBIE ZDROWIA. DZIEJE SIĘ TAK
DZIĘKI DOŚWIADCZENIOM ZDOBYTYM
NA MISJACH ZAGRANICZNYCH.

Wojskowych ratowników medycznych często można spotkać w karetkach pogotowia i w szpitalnych oddziałach ratunkowych. Ratownicy cywilni z kolei stosują w codziennej pracy elementy taktyczne, które sprawdzają się szczególnie w wypadkach masowych. I jedni, i drudzy mają ten sam cel – udzielenie pomocy możliwie jak największej liczbie osób.

„Kwalifikacje naszych ratowników medycznych są teraz najszerze w Europie i jest to powód do dumy”, podkreśla w rozmowie z „Polską Zbrojną” kpt. Anna Aleksandrak-Heiducka, ratownik medyczny w Zespole Pielęgniarstwa i Ratownictwa Medycznego Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia MON. W najnowszym numerze szczególnie dużo miejsca poświęcamy właśnie tym, którzy na co dzień toczą równie ciężką walkę jak inni żołnierze – o ludzkie życie. Piszemy m.in. o tym, jak doświadczenia z operacji wojennych zmieniają cywilną służbę zdrowia oraz o nowych uprawnieniach wojskowych ratowników.

Jeśli mówimy o ratowaniu ludzkiego życia, to nie sposób nie wspomnieć idei honorowego krwiodawstwa. Wojskowy Instytut Wydawniczy ramie w ramie ze Stowarzyszeniem Honorowych Dawców Krwi Legion już po raz drugi organizuje ogólnopolską kampanię „Niepodległą mamy we krwi”. Przy wsparciu Prezydenta RP Andrzeja Dudy, a także ministrów Mariusza Błaszczaka i Łukasza Szumowskiego, pragniemy angażować społeczeństwo w bezcenną ideę krwiodawstwa, a przy tym promować polską historię. W kampanię włączają się żołnierze, którzy pokazują, że uratować komuś życie można na wiele sposobów, nie tylko na polu walki, nie tylko będąc ratownikiem. Zachęcamy do udziału w akcji! ■



TEMAT NUMERU

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

12 Ratuj jak na wojnie

Zastosowanie medycyny pola
walki w ratownictwie cywilnym



ARMIA

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

30 Desant po polsku

Nowe procedury skoków
ze spadochronem



MILITARIA

MICHAŁ ZIELIŃSKI

68 Siła ognia

Zestawy Poprad
w 21 Brygadzie Strzelców
Podhalańskich



STRATEGIE

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER,
TADEUSZ WRÓBEL

94 Niechciany traktat

Rozmowa z Łukaszem Kulesą

PAULINA GLIŃSKA

16 Doganiamy rzeczywistość

Rozmowa z Anną
Aleksandrak-Heiducką

EWA KORSĄK

36 Kto wyłączył światło?

MICHAŁ ZIELIŃSKI

40 Na granicy dwóch żywiotów

KRZYSZTOF WILEWSKI,
TADEUSZ WRÓBEL

74 Czas dla zbrojeniówki

KRZYSZTOF WILEWSKI

80 Wyścig bliźniaków

TOMASZ OTŁOWSKI

100 Rozmawiając z wrogiem

MICHAŁ ZIELIŃSKI

104 Testowanie granic

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

23 Gdy do szpitala jest daleko

MICHAŁ ZIELIŃSKI

26 68W znaczy ratownik

Rozmowa z amerykańskimi
żołnierzami służącymi
w szpitalu wojskowym
w Landstuhl

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

44 Jak przeżyć na dnie

BOGUSŁAW POLITOWSKI

48 Rozumiemy się bez słów

Rozmowa z Iloną
Szczepkowską

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

50 Życie po zdjęciu munduru

PAULINA GLIŃSKA

54 Manewry z klasą

ANNA DĄBROWSKA

57 Kodowanie licealistów

PIOTR RASZEWSKI

62 Szukamy liderów

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

65 Wkręcone w wojsko

TOMASZ ZDZIKOT

67 Bronimy polskiej cyberprzestrzeni

TOMASZ OTŁOWSKI

82 Pancerna karuzela

KRZYSZTOF WILEWSKI

88 Fregata niejedno ma imię

TADEUSZ WRÓBEL

90 Przeczność Bałtów

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

107 Pułapka na prezydenta

Rozmowa z Wojciechem
Konończukiem

TADEUSZ WRÓBEL

108 Kłopotliwy eksport

WITOLD REPETOWICZ

110 Zapobieganie ogniem

ROBERT SENDEK

113 Prorocy apokalipsy



DYREKTOR WOJSKOWEGO
INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska,
tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,
Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendeck,
Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata
Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,
Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Andrzej Fąfara, Krzysztof Kubiak,
Tomasz Otlowski, Piotr Raszewski, Witold Repetowicz,
Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński, Tomasz Zdzikot

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,
Małgorzata Mielcarz, Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170;
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;
Renata Gromska

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Patryk Czarnowski, Agnieszka
Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Marta Szulc,
Małgorzata Szustkowska, tel.: 261 845 387, 261 845 180,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

Numer zamknięto: 24.09.2019 r.

DRUK

ARTDRUK, ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,
www.artdruk.com
KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
Punkt Poczty Wrocław
ul. Duninowska 9a
87-823 Wrocław
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl
tel. 885 870 509 kom. 502 012 187

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych
„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

- www.polska-zbrojna.pl
- www.garmondpress.pl/prenumerata
- www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym
prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”,
dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER

 Narodowe Archiwum Cyfrowe.
250 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji
wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska
Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje
regulamin dostępny na stronie głównej portalu
polska-zbrojna.pl.



HISTORIA

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

118 Splecione losy

Losy ppłk. Stanisława Sitka
zamordowanego
w Ostaszewie



PO SŁUŻBIE

ANNA DĄBROWSKA,
ŁUKASZ ZALESIŃSKI

132 Gwiazdy Spielberga

Unikatowe zbiory Muzeum
Wojsk Pancernych
w Poznaniu

PIOTR KORCZYŃSKI
**124 Toczyłem swoją
prywatną wojnę**

Rozmowa z Kazimierzem
Rzeźniczakiem

PIOTR KORCZYŃSKI
**127
Szturm
na Rudego**

ROBERT SENDEK
128 Jani, cudem ocalony

KRZYSZTOF KUBIAK
**131 Stratosferyczni
szpiedzy**

PIOTR KORCZYŃSKI
**138 Duch Beethovena,
łezka Stalina**

ANDRZEJ FĄFARA
**146
Boski wiatr
w zatoce
Leyte**



Zdjęcie na okładce:
Żołnierze ratownicy medyczni
1 Warszawskiej Brygady
Pancernej.
Foto: Michał Niwicz

Znajdziesz nas tutaj:



Liwiec jest zestawem mobilnym zamontowanym na podwoziu samochodu ciężarowego Jelcz 6x6.

- Zasięg instrumentalny – 20, 40, 80 km
- Kąt elewacji – 0–20°
- Dokładność określania położenia współrzędnych:
 - stanowisk ogniowych – poniżej 1% odległości
 - punktów upadku pocisków – poniżej 1% odległości
- Czas rozwijania/zwijania – minuty
- Obsługa – 3 osoby



LIWIEC

RADIOLOKACYJNY ZESTAW ROZPOZNANIA ARTYLERYJSKIEGO

Może być używany zarówno w ramach zintegrowanego systemu dowodzenia artylerią, jak i z pojedynczymi działami czy wyrzutniami raketowymi.

Automatycznie wykrywa i śledzi pociski moździerzowe, armatnie oraz raketowe. Dokonuje klasyfikacji ich typów i rodzajów stanowisk ogniowych, z których zostały wystrzelone, a także określa ich położenie.

Pozwala też obserwować statki powietrzne, pojazdy naziemne i zjawiska meteorologiczne.



PODCHORAŻOWIE Z DĘBLINA SZKOLILI SIĘ NA KURSIE „COMBAT SWIMMER”.

ZAJĘCIA SĄ ORGANIZOWANE CO ROKU PRZEZ ARMİĘ CHORWACKĄ W CENTER OF MILITARY SCHOOLS „PETAR ZRINSKI” W SPLICIE. POLAKOM UDAŁO SIĘ ZDOBYĆ SREBRNE ODZNAKI, CZYLI POZYTYWNIE ZALICZYLI KAŻDY ELEMENT KURSU.



DRAŻEN VOLARIĆ

Kadrowe zmiany

Paweł Woźny został podsekretarzem stanu w MON-ie.

Nowy wiceminister w resorcie obrony będzie odpowiadał głównie za sprawy zagraniczne, którymi zajmował się dotąd Tomasz Szatkowski, od lipca ambasador Polski przy Kwaterze Głównej NATO w Brukseli. „Moja działalność będzie rozszerzona o nowy aspekt, dotyczący bezpieczeństwa, spraw wojskowych i obronności. Będę też kontynuował prace już rozpoczęte, czyli związane ze współpracą z NATO i Stanami Zjednoczonymi, zwiększeniem obecności wojsk Sojuszu Północnoatlantyckiego w Polsce, a także ścisłym współdziałaniem z Unią Europejską i państwami Grupy Wyszehradzkiej”, mówi Woźny.



Paweł Woźny
jest absolwentem
neofilologii na
Uniwersytecie
Warszawskim oraz
Wydziału Nauk
Ekonomicznych.

Jak zaznacza, praca w resorcie obrony będzie dla niego kontynuacją dotychczasowej kariery w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Paweł Woźny w resorcie spraw zagranicznych zajmował się m.in. relacjami Polski z państwami Ameryki Łacińskiej. Był I sekretarzem ds. ekonomicznych, promocji i bezpieczeństwa w Ambasadzie RP w Bogocie, a następnie kierownikiem Referatu Polityczno-Ekonomicznego w Ambasadzie RP w Meksyku, odpowiadał także za kwestie bezpieczeństwa. Od lutego do sierpnia 2018 roku pełnił funkcję tymczasowego kierownika placówki dyplomatycznej w Meksyku. PZ, PG ■

LESZEK CHEMPEREK / CO MON



MIASTO ZDOBYTE

Żołnierze kompanii zmechanizowanych z Kłodzka ćwiczyli w Wędrzynie.

Działanie piechoty w terenie zabudowanym, współdziałanie z załogami bojowych wozów piechoty oraz zgrywanie w boju pododdziałów piechoty ze specjalistami precyzyjnego strzelania z sekcji strzelców wyborowych to niektóre z zadań wykonywanych pod-

czas ćwiczeń żołnierzy 22 Karpackiego Batalionu Piechoty Górskiej. W szkoleniu zorganizowanym na terenie Centralnego Ośrodka Zurbanizowanego wzięło udział około 150 żołnierzy oraz 30 różnego rodzaju pojazdów opancerzonych i logistycznych. PZ, BP



ARMIA W SIECI

Powstała koncepcja dalszego rozwoju wojsk obrony cyberprzestrzeni.

Do 2022 roku powstanie dowództwo, a formowanie wojsk obrony cyberprzestrzeni zakończymy w 2024 roku", mówił minister Mariusz Błaszczak w Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu. Szef MON-u odpisał tam koncepcję dalszego rozwoju tego rodzaju wojsk, powołanych w lutym 2019 roku. Jej autor, gen. bryg. Karol Molenda, dyrektor Narodowego Centrum Bezpieczeństwa Cyberprzestrzeni i pełnomocnik ministra obrony ds. utworzenia wojsk obrony cyberprzestrzeni, zaznaczył, że podpisany dokument jest niejawnym. „Mogę powiedzieć, że zakłada budowanie WOC-u etapami. Pozwoli nam to na ewentualne korekty i zmiany w dokumencie”, mówił generał.

Wiceminister Tomasz Zdzikot przypomniał, że jednym z filarów tworzenia WOC-u jest edukacja i kształcenie przyszłych kadr. Dlatego zwiększane są limity naboru na studia wojskowe. W roku akademickim 2015/16 na kierunku kryptologia i cyberbezpieczeństwo było 15 miejsc, w tym roku jest już 107 studentów. Studia w tej dziedzinie prowadzi też Akademia Marynarki Wojennej. Od września działalność rozpoczęło też Wojskowe Ogólnokształcące Liceum Informatyczne w Warszawie. PZ, PG

Więcej na temat liceum informatycznego na str. 57

Moniko,

przyjmij słowa otuchy
i wyrazy serdecznego współczucia
z powodu śmierci

Beaty.

W tych trudnych chwilach
jesteśmy z Tobą.

Koleżanki i koledzy
z Wojskowego Instytutu Wydawniczego

DRUGA MŁODOŚĆ SOKOŁÓW

Cztery śmigłowce W-3 zostaną gruntownie zmodernizowane.

Umowę na modernizację maszyn do standardu W-3A SAR/FEDEC podpisał Inspektorat Uzbrojenia Ministerstwa Obrony Narodowej z Wytwórnią Sprzętu Komunikacyjnego PZL-Świdnik, będącą częścią włoskiego koncernu Leonardo. Kontrakt jest wart prawie 100 mln zł. Sokoły czeka wymiana wszystkich kluczowych systemów elektronicznych. Maszyny dostaną cyfrową awionikę, nowe łopaty wirnika głównego, systemy: łączności, ostrzegania o przeszkodach terenowych (TAWS) oraz monito-

rowania i diagnostyki śmigłowca (HUMS), a także cyfrowy autopilot.

Polska armia ma teraz w wyposażeniu 38 śmigłowców z rodziny W-3 Sokół. Część z nich przeszła już modernizację – siedem maszyn do standardu W-3PL Głuszcak, a osiem do standardu W-3WA/WARM Anakonda (ratownictwo morskie). Cztery sokoły zmodernizowane do standardu W-3WA SAR/FADEC trafią do końca 2022 roku do wyposażenia 3 Grupy Poszukiwawczo-Ratowniczej w Krakowie. PZ, KW

T. PIETRZAK / 25BK P O W

Militarne zbliżenie

Donald Trump i Andrzej Duda podpisali deklarację o współpracy obronnej. Potwierdzono stałą obecność 4500 żołnierzy amerykańskich w Polsce i zapowiedziano skierowanie dodatkowego tysiąca. Strony uzgodniły też lokalizacje dla większości amerykańskich pododdziałów w naszym kraju. Poznań będzie siedzibą dla wysuniętego dowództwa dywizyjnego oraz grupy wsparcia dla US Army. W Drawsku Pomorskim zostanie ulokowane centrum szkolenia bojowego. We Wrocławiu powstanie infrastruktura dla bazy lotniczej załadunkowo-rozładunkowej US Air Force. W Południu natomiast będą miały siedzibę lotnicza brygada bojowa i batalion bojowego wsparcia logistycznego, a w Łasku powstanie eskadra zdalnie sterowanych statków powietrznych. PZ, MKS

Płk Dariusz Krzywdziński

**DOWÓDCA 3 BRYGADY
RADIOTECHNICZNEJ**

Z okazji 69. rocznicy powstania wojsk radiotechnicznych dziękuję wszystkim radiotechnikom, którzy codzienną służbą i pracą wnoszą szczególne zasługi w umacnianie obronności kraju. Żołnierzom i pracownikom resortu obrony narodowej 3 Brygady Radiotechnicznej życzę dobrego zdrowia, niegasnącej siły i motywacji do działania oraz wszelkiej pomyślności w życiu osobistym i zawodowym. Niech służba na straży polskich granic powietrznych przynosi Wam zadowolenie oraz szacunek i uznanie.

Nie zapominajcie o nich

Inspiracją do rozpoczęcia tej akcji były słowa prof. Witolda Kieżuna, uczestnika wydarzeń września 1939 roku i powstańca warszawskiego: „Trzeba czcić pamięć tych, którzy walczyli, którzy zginęli, którzy oddali życie. Koniecznie trzeba przypominać o tym młodemu pokoleniu. Nie zapominajcie o nas”. Celem akcji jest zachęcanie ludzi, zwłaszcza młodych, do poznawania ostatnich żyjących bohaterów oraz pomagania im.

Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej zaprasza do kontaktu osoby znające kombatanów zaangażowanych

**AKCJA JEST POWIĄZANA
Z WYDANIEM KSIĄŻKI
WRZESIEŃ 1939.
ŚWIADKOWIE, KTÓRA
TRAFI DO WETERANÓW
WALK Z 1939 ROKU**

w wojnę obronną 1939 roku, mogących podzielić się swoimi wspomnieniami. Dotychczas pracownicy WCEO w ramach akcji „Nie zapominajcie o nich” spotkali się m.in. ze strzelcem Tadeuszem Lutakiem z 1 Batalionu Czołgów, mjr Zenobią Klepacką z Narodowych Sił Zbrojnych oraz kpr. Maksymilianem Kasprzakiem z 8 Pułku Strzelców Konnych. Akcja jest powiązana z wydaniem książki „Wrzesień 1939. Świadkowie”, która trafi do weteranów walk z 1939 roku. AD

WSPARCIE DYWIZJI

**Rozpoczęło się
formowanie w Łomży
18 Pułku
Logistycznego.**

Jednostka znajdzie się w strukturach 18 Dywizji Zmechanizowanej. „Żeby żołnierze dywizji mogli sprawnie funkcjonować i skutecznie działać, muszą mieć wsparcie logistyczne. I to jest zadanie, które stawiam przed żołnierzami z 18 Pułku Logistycznego”, mówił minister Mariusz Błaszczak w Łomży. W skład jednostki wejdą trzy bataliony – remontowy, transportowy i zabezpieczenia. Docelowo w 18 Pułku Logistycznym ma służyć ponad 600 osób. Jednostka została sformowana na bazie warsztatów technicznych, w których m.in. remontowano czołgi Leopard. PZ, MM

Roszady na wojskowej mapie

**Dwie jednostki przeszły
w podporządkowanie
18 Dywizji Zmechanizowanej.**

1 Brygada Pancerna oraz 21 Brygada Strzelców Podhalańskich stały się częścią 18 Dywizji Zmechanizowanej. W związku ze zmianą podporządkowania 1 i 3 Batalion Zmechanizowany, dotąd podlegające 1 BPanc, zostaną włączone w struktury 19 Brygady Zmechanizowanej, a w Siedlcach oraz w Białej Podlaskiej powstaną dwa nowe pododdziały zmechanizowane, działające na rzecz 1 Brygady. Zmiany czekają też 21 BSP – podległy jej batalion czołgów wejdzie w struktury 19 Brygady Zmechanizowanej. PZ, MM

Generał w BBN



Gen. dyw.

**Andrzej
Reudowicz**

jest absolwentem Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu, ukończył też studia wyższe i podyplomowe w Akademii Obrony Narodowej oraz International Capstone Course w Centre for Defense Higher Studies w Rzymie.

Nowym szefem Departamentu Zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego został gen. dyw. Andrzej Reudowicz. Oficer przez ostatnie trzy lata dowodził Połączonym Centrum Przygotowania Bojowego w Stavanger w Norwegii, które jest odpowiedzialne za planowanie i prowadzenie ćwiczeń o charakterze połączonym na poziomie operacyjnym. W BBN-ie zastąpił gen. bryg. Jarosława Kraszewskiego, który złożył wniosek o odejście ze służby. Głównym zadaniem nowego szefa Departamentu jest doradzanie prezydentowi Andrzejowi Dudzie w sprawach kadrowych, np. miano-

wania szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, dowódcy operacyjnego rodzajów sił zbrojnych, a także oficerów na pierwsze stopnie generalskie i admirałskie. Ma też monitorować funkcjonowanie sił zbrojnych i przygotowywać raporty dla prezydenta oraz szefa BBN-u. Będzie również opiniował wnioski o użycie wojska na terenie kraju i poza jego granicami.

Generał dowodził m.in. 12 Szczecińską Dywizją Zmechanizowaną i VIII zmianą Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. Stał także na czele Zarządu Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych w Dowództwie Generalnym RSZ. PZ, MKS



UMOWA NA FENIKSY

**Inspektorat Uzbrojenia podpisał kontrakt
na dostawę nowych pocisków rakietowych.**

Do armii wkrótce trafi nowa amunicja – rakiety Feniks HE uzbrojone w głowice odłamkowo-burzące. Inspektorat Uzbrojenia MON podpisał kontrakt z Mesko SA o wartości **25 mln zł** na dostawę 820 sztuk. Pociski o wadze ponad 65 kg osiągają prędkość maksymalną 4500 km/h i mogą razić cele oddalone o ponad 42 km. Mesko SA wraz z Wojsko-

wym Instytutem Technicznym Uzbrojenia prace nad nowym typem 122-milimetro- wych pocisków odłamko- wo-burzących do wielopro- wadnicowych wyrzutni ra- kietowych WR-40 Langusta oraz BM-21 i RM-70 rozpo- częło pod koniec ubiegłej dekady. W 2018 roku pod- czas MSPO rakiety Fe- niks HE zostały nagrodzone za innowacyjność Defende- rem. PZ, KW



Pociski osiągają prędkość maksymalną 4500 km/h i mogą razić cele oddalone o ponad 42 km.

**TEMAT
NUMERU**
/ RATOWNICTWO



ADAM ROIK/COMBAT CAMERA DORSZ

A full-page photograph of a soldier in camouflage gear running on a tarmac. The soldier is wearing a dark jacket with a Polish flag patch on the sleeve, camouflage pants, and white gloves. He is running towards the left. In the background, there are two helicopters on the tarmac, one on the left and one on the right. The sky is bright and hazy, suggesting a sunny day. The overall tone is serious and action-oriented.

RATUJ JAK NA WOJNIE

Operacje w Iraku i Afganistanie odmieniły
wojskową medycynę. Teraz wiedza
medyków w mundurach przenika do
środowiska cywilnego.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK



W

Tatrach 22 sierpnia 2019 roku doszło do gwałtownej burzy, w której wyniku zginęły cztery osoby, a ponad 150 było rannych. Jan Krzysztof, naczelnik Tatrzań- skiego Ochotniczego

Pogotowia Ratunkowego, które jako pierwsze podjęło akcję ratunkową, mówił, że wcześniej nie zanotowano w górach takiej tragedii, jak ta na Giewoncie. „To jest sytuacja, którą można porównać do zamachu terrorystycznego. Rażona została duża grupa przypadkowych ludzi, w tym dzieci. Połamane nogi, rany na ciele, oparzenia”, przyznał w rozmowie z dziennikarzami. Sytuację udało się opanować dzięki wysiłkowi TOPR-u, a także współpracy innych służb: Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, straży pożarnej i policji.

Andrzej Górka, ratownik medyczny TOPR-u, był jedną z pierwszych osób, które tego feralnego dnia dotarły do poszkodowanych. „Początkowo sądziłem, że lecimy śmigłowcem do poparzeń u dorosłych i zatrzymania krążenia u dziecka. Gdy dolecieliśmy w pobliże kopuły Giewontu, okazało się, że jest tam mnóstwo ludzi potrzebujących natychmiastowej pomocy”, opisuje. „To był wypadek o skali masowej, wydarzenie bez precedensu w dziejach TOPR-u. Prowadziliśmy początkowo reanimację dwójki dzieci, ale szybko przedstawiliśmy się na działania zgodnie ze scenariuszem wypadków masowych, musieliśmy więc ocenić stan poszkodowanych. Nie było to proste, bo działaliśmy w stromym, mokrym i śliskim terenie, przy sporadycznych wyładowaniach atmosferycznych”, wspomina.

Andrzej Górka pracuje jako ratownik medyczny od dziesięciu lat. Praktykuje nie tylko w TOPR-ze, lecz także w szpitalu powiatowym w Zakopanem. Przeszedł również szkolenia z medycyny taktycznej. „Dla mnie medycyna jest jedna. Nie chcę jej dzielić na wojskową i cywilną, bo żołnierze nie mają innej fizjologii niż cywile. W mojej codziennej pracy w zespole ratownictwa medycznego

częściej mam do czynienia z pacjentami z problemami internistycznymi czy chorobami przewlekłymi, rzadziej z pacjentami urazowymi. Dlatego wiedzy ze szkoleń z TCCC [Tactical Combat Casualty Care] w pracy w ZRM [zespoły ratownictwa medycznego] nie wykorzystuję na co dzień, ale wiem, że może być przydatna, np. w ratownictwie górskim”, wyjaśnia ratownik. Górka przyznaje, że w czasie akcji ratunkowych medycy czerpali z rozwiązań znanych w armii. „W pracy zdarzyło mi się już parę razy stosować stażę czy używać opatrunków hemostatycznych hamujących krwawienie”, dodaje. Jako ciekawostkę podaje również, że ratownicy TOPR-u działają w kamizelkach medycznych, które wzorowane są na wojskowych. Chodzi o to, by podstawowy sprzęt zawsze mieć przy sobie.

W sierpniową akcję ratunkową oprócz etatowych pracowników TOPR-u i innych służb włączyli się także turyści. Robert Szulc z Łodzi (absolwent szkolenia z medycyny taktycznej) zgłosił się do pomocy w zakopiańskim szpitalu, gdzie z gór przywożono rannych. Z kolei szeregowy wojsk obrony terytorialnej (nie chciał ujawnić nazwiska) opiekował się rannymi w schronisku na Hali Kondratowej. Selekcjonował ich i wysyłał najczęściej poszkodowanych do doliny. Potem ruszył w stronę szczytu, by tam pomagać kolejnym potrzebującym.

Wojskowi lekarze i ratownicy dostrzegają w akcji ratunkowej pod Giewontem elementy medycyny taktycznej. „TOPR miał pacjentów z uszkodzeniami mechanicznymi, oparzeniami, były także przypadki ubytków neurologicznych – zaniki słuchu i wzroku, a w ostatniej fazie akcji wystąpiła hipotermia. Z podobnymi problemami borykaliśmy się na misji, zdarzało się, że musieliśmy radzić sobie z wieloma ciężko rannymi, by jak najszybciej zaopatrzyć ich obrażenia i ewakuować w bezpieczne miejsce”, opisuje medyk z wojsk specjalnych.

MISJA... W PRZYSZŁOŚĆ

Elementy medycyny taktycznej coraz częściej są wykorzystywane w ratownictwie cywilnym, przy czym warto pamiętać, że nie rozwinęlibyśmy



Pptk rez. prof. dr hab. Waldemar Machała: „W Centralnym Szpitalu Klinicznym Uniwersyte- tu Medycznego w Łodzi są teraz urządzenia, z jakich korzystałem na misji. Stosujemy też identyczne techniki, bo medycyna taktyczna sprawdza się także w realiach cywilnych”.



W sierpniu w Tatrach grupa turystów została rażona piorunem na szczycie Giewontu. Na pomoc poszkodowanym ruszyli ratownicy TOPR-u.

WOJSKOWI LEKARZE I RATOWNICY DOSTRZEGAJĄ W AKCJI RATUNKOWEJ POD GIEWONTEM ELEMENTY MEDYCYNY TAKTYCZNEJ

GRZEGORZ MOMOT / PAP

jej na takim poziomie jak obecnie, gdyby nie operacje w Iraku i Afganistanie. „To reguła, która sprawdza się w czasie wszystkich konfliktów zbrojnych. Na wojnie medycyna »kwitnie«, podkreśla kpt. Anita Podlasin, ratownik medyczny i instruktor z Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego. „Zmienił się sposób myślenia o zabezpieczeniu medycznym armii. Sanitariusza zastąpił profesjonalny ratownik medyczny”, mówi mł. chor. rez. Łukasz Sikora, były żołnierz Jednostki Wojskowej Komandosów w Lublińcu, ratownik medyczny.

Kierunek zmian w medycynie taktycznej na całym świecie wyznaczyły ponad 20 lat temu Stany Zjednoczone. To właśnie za oceanem w 1996 roku kpt. Frank Butler w piśmie naukowym „Military Medicine” opublikował wytyczne dla ratowników pola walki. Pisał m.in. o tym, jak należy opiekować się poszkodowanym. Przyjął, że u podstaw TCCC leży zapobieganie odwracalnym przyczynom zgonów na polu walki: masywnym krwotokom, niedrożności dróg oddechowych i odmie przężnej. Te wytyczne szybko zostały przyjęte

przez armię USA, a potem stały się standardem w całym NATO. Powstał także komitet TCCC, który odpowiada za rekomendacje postępowania medycznego z poszkodowanym w warunkach bojowych. „Zebrane przez Butlera zasady przeciwiczone podczas kolejnych konfliktów zbrojnych. Ostatnich 20 lat to zdecydowanie czas dla medyków”, podkreśla kpt. Podlasin, która jest autorką kursów prowadzonych w WCKMed. dla ratowników. „Dzięki misjom mamy nowoczesne wyposażenie medyczne, np. indywidualne pakiety medyczne, opaski uciskowe, wyszkolonych według zasad TCCC medyków. W końcu ratownicy przestali się uczyć o unieruchomieniu złamań czy resuscytacji, a zaczęli zapobiegać zgonom”, opisuje ratownik i dodaje: „W świadomości żołnierzy utrwaliło się też, jakie znaczenie na polu walki mają samopomoc czy pomoc rannemu koledze. Zrozumieli, że to oni muszą się wykazać, by medyk zdążył spotkać się ze swoim pacjentem, zanim on umrze”.

Ppłk dr Adam Machowicz z pododdziału anestezjologii i intensywnej terapii Kliniki Kardiochirurgii Wojskowego



Instytutu Medycznego również przyznaje, że duże zmiany w wojskowej służbie zdrowia zaszły, gdy specjaliści – chirurdzy, ortopedzi, anestezjolodzy i inny personel medyczny – zaczęli służyć w Afganistanie. „Na misji swoje umiejętności szlifowali ludzie z dużym potencjałem zawodowym, ogromną pasją i wiedzą merytoryczną. Ta garstka entuzjastów po powrocie do Polski pomału zaczęła zmieniać wojskową rzeczywistość medyczną”, ocenia anestezjolog. Pośród nich byli m.in. ppłk rez. prof. dr hab. Waldemar Machała, na co dzień kierownik Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii w Centralnym Szpitalu Klinicznym Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, a w czasie misji afgańskiej anestezjolog szpitala polowego w Ghazni, oraz chirurg płk dr Robert Brzozowski, dziś kierownik Kliniki Chirurgii Ogólnej w 5 Wojskowym Szpitalu Klinicznym z Polikliniką w Krakowie.

Dr Brzozowski w 2010 roku stworzył Zakład Medycyny Pola Walki WIM. U jego boku pracowali ludzie, którzy podobnie jak on zdobyli doświadczenia na wojnie i chcieli popularyzować zasady medycyny taktycznej w wojsku i cywilu. Prof. Machała w Afganistanie przygotowywał materiały filmowe z operacji chirurgicznych. Udokumentował leczenie każdego pacjenta, by później bez problemu znaleźć informacje na temat ran postrzałowych brzucha, klatki piersiowej, kończyn, czy odnaleźć przykłady użycia opaski uciskowej i opatrunków hemostatycznych. To – jak twierdzi – służy nauce i zdecydowanie poprawia jakość opieki nad poszkodowanym. „Amerykanie mają coś, czego możemy im zazdrościć – trauma registry system, w którym opisują każdą czynność medyczną podejmowaną w stosunku do ранego czy chorego. Ujmują to w statystykę, opisują dokładnie stan poszkodowanych i ich terapię. Dzięki temu mogą łatwo ocenić, jakie



ADAM ROIK / COMBAT CAMERA DORSZ

metody leczenia przynoszą efekty”, przekonuje prof. Machała. Doświadczenia lekarzy służących na misji mają się przydać wszystkim medykom, również tym niezwiązanym z wojskiem, dlatego m.in. są opisywane w specjalistycznych publikacjach. „Misje zostawiły swój ślad w medycynie. Dzisiaj osoby biorące w nich udział publikują, są zapraszane na różnego rodzaju konferencje, warsztaty i sympozja naukowe. Cywilni i wojskowi medycy chcą nas słuchać, o czym świadczy frekwencja na wykładach”, zaznacza prof. Machała. Przyznaje, że zyskiem z misji jest także to, że osoby służące

Doganiamy rzeczywistość

Z Anną Aleksandrak-Heiducką o tym, jak dzięki poszerzeniu kompetencji polscy wojskowi ratownicy medyczni stali się jednymi z najlepiej wykwalifikowanych w całej Europie, rozmawia Paulina Glińska.

Przez wiele lat wojskowi ratownicy medyczni narzekali na niedostosowanie przepisów prawnych do specyfiki ich działania. Powoli to się zmienia. Jak dziś wygląda ich sytuacja?

Pierwsze ważne zmiany weszły w życie w 2016 roku. Z inicjatywy Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia MON, we współpracy z Ministerstwem Zdrowia, wojskowi ratownicy medyczni zyskali umocowanie prawne w ustawie o Państwowym Ratownictwie Medycznym. Wcześniej ich możliwości działania ograniczały się do udzielania kwalifikowanej pierwszej pomocy. Nie mogli medycznie zabezpieczać wojskowych ćwiczeń, szkoleń, więc wojsko musiało ko-

DOŚWIADCZENIA LEKARZY SŁUŻĄCYCH NA MISJI MAJĄ SIĘ PRZYDAĆ WSZYSTKIM MEDYKOM, RÓWNIEŻ TYM NIEZWIĄZANYM Z WOJSKIEM

w operacjach wojskowych kierują dziś oddziałami i klinikami w szpitalach, mają więc realny wpływ na przeniesienie procedur i technik stosowanych w medycynie taktycznej do środowiska cywilnego. „W Centralnym Szpitalu Klinicznym Uniwersytetu Medycznego w Łodzi są teraz urządzenia, z jakich korzystałem na misji. Stosujemy też identyczne techniki, bo medycyna taktyczna sprawdza się także w realiach cywilnych. U mnie w klinice zwyczajne i organizacja pracy zostały jeden do jednego

przeniesione ze szpitala polowego w Ghazni”, mówi profesor.

MEDYCYNĄ TO NIE TAJEMNICA

Z czasem medycynie taktycznej zaufały różne ośrodki w Polsce: centra urazowe, szpitalne oddziały ratunkowe. „Z optymizmem patrzę na transfer wiedzy między wojskowymi i cywilnymi



rzystać ze wsparcia cywilnych specjalistów. Wprowadzone w 2016 roku zmiany w przepisach, choć przełomowe, były niewystarczające, bo nie uwzględniały specyfiki medycyny taktycznej. Zadania wojskowych ratowników medycznych w kraju w czasie pokoju i tych z PRM, czyli Państwowego Ratownictwa Medycznego, są podobne. Różnice są natomiast w działaniu na polu walki. Standardy medycyny taktycznej różnią się od cywilnej m.in. grupą pacjentów, rodzajami obrażeń i czynnikiem zagrożenia. Udzielanie pomocy na polu walki, tuż przed ewakuacją w bezpieczną strefę według standardów TCCC [Tactical Combat Casualty Care], polega wyłącznie na czynnościach ratujących życie.

Ratownik medyczny działa samodzielnie i od jego umiejętności zależy, czy poszkodowany przeżyje do momentu przylotu MEDEVAC-u. W cywilnej medycynie nie ma takich zagrożeń. Owszem, specjaliści działają równie szybko, pod presją czasu, ale w bardziej komfortowych warunkach. Ponadto wiedzą, że potrzeba od kilku do kilkunastu minut, żeby przewieźć potrzebującego do najbliższego SOR-u [szpitalny oddział ratunkowy]. Ratownicy medyczni pracujący w wojsku chcieli, by ta specyfika działania znalazła odzwierciedlenie w przepisach. Dlatego postulowaliśmy o poszerzenie kompetencji i tym samym



medykami. Wszelkie zmiany zawsze zaczynają się w głowie. Można mieć najlepszy sprzęt, ale źle go wykorzystywać. Teraz lekarze mają wiarę w procedury taktyczne. Wiedzą, w jaki sposób kierować zespołem urazowym. Ogromną zmianę widzę też chociażby u ratowników medycznych, którzy chętnie uczestniczą w wykładach, warsztatach, a swoje pieniądze inwestują w sprzęt sprawdzony na misjach”, mówi prof. Machała.

Zalecenia TCCC jako pierwsze w środowisku cywilnym zaczęło wprowadzać Lotnicze Pogotowie Ratunkowe, w którym używano m.in. aparatów do szybkiego przetoczenia krwi, hemostatyków, opasek uciskowych i ultrasonografu. Stosowali te same co wojskowi metody zaopatrywania ran po postrzałach i postępowania w wypadku obrażeń wielonarządowych czy hipotermii. Lekarze podkreślają, że dzięki procedurom wypracowanym na polu walki dziś można uratować znaczną liczbę ludzi. „Misje pokazały, że nie wystarczy szkolić lekarzy. Trzeba zacząć od ratowników, czyli tych, którzy odpowiadają bezpośrednio za pomoc poszkodowanemu w miejscu zdarzenia i w drodze do szpitala. To oni muszą odpowiednio zaopatrzyć pacjenta, bo inaczej ja w szpitalu nie będę mógł pomóc”, przyznaje dr Machowicz. Anestezjolog był następcą dr. Brzozowskiego i kierował Oddziałem Medycyny Pola Walki i Symulacji Medycznej w WIM. Przykładem tego, jak wielkie znaczenie ma pomoc medyczna w miejscu zdarzenia, jest według niego niedawny wypadek, w którym motocyklista stracił nogę. „Było wielu gapiów, tylko jeden człowiek wiedział, co zrobić. Podbiegł do ranego, zdjął pasek od spodni i z całej siły zacisnął powyżej miejsca amputacji. Zapewne uratował mu życie, bo poszkodowany by się wykrawił, zanim przyjechałaby karetka”, opowiada ppłk Machowicz.



MICHAŁ NIEWIČ

Kpt. Anita Podlasin wskazuje natomiast, że rekomendacje do działania zgodnie z założeniami medycyny taktycznej dają już cywilne organizacje i towarzystwa medyczne. „Tak jest choćby w przypadku organizacji ITLS (International Trauma Life Support), zajmującej się zapobieganiem śmierci i inwalidztwu spowodowanym urazami, i Europejskiej Rady Resuscytacji. Mówią one, że w przypadku masowego krwawienia trzeba nałożyć stażę, a gdy dojdzie do zatrzymania krążenia w wyniku urazu, to trzeba odbarzyć odnę. To sukces, który można przypisać misjom”, argumentuje kpt. Anita Podlasin.

dostosowanie naszego prawa do standardów obowiązujących w armiach sojuszniczych NATO. Zapisy te zostały ujęte w nowelizacji ustawy o Państwowym Ratownictwie Medycznym pod koniec 2018 roku. Znalazły się w niej regulacje dotyczące ratowników medycznych wykonujących zadania zawodowe poza systemem PRM, m.in. w resorcie obrony narodowej, oraz upoważnienie dla MON-u do wydania szczegółowych rozporządzeń dotyczących kompetencji ratowników medycznych w wojsku.

Jak zmieniły się te kompetencje?

W lutym 2019 roku weszło w życie pierwsze rozporządzenie MON-u określające zakres świadczeń zdrowotnych

wojskowych ratowników medycznych. Zawiera ono dwa załączniki, które umownie dzielą kompetencje ratowników medycznych na podstawowe i poszerzone. Te pierwsze zostały ujednolicone z zakresem uprawnień ratowników medycznych systemu PRM. Dzięki temu mogą na przykład wykonywać kardiowersję i elektrostymulację u pacjentów z chorobami układu krążenia, a także podawać niektóre produkty lecznicze, m.in. wziewny lek przeciwbólowy metoksyfluran. Chodziło o takie uregulowanie przepisów, by nie było różnic w podstawowych kompetencjach, bo coraz częściej zdarza się, że zespoły ratownictwa resortu obrony wspierają działania systemu PRM.

Czego dotyczą poszerzone kompetencje?

To nic innego jak ujęte w prawie standardy opieki nad poszkodowanym w warunkach pola walki [TCCC]. Stworzono je, opierając się na doświadczeniach misyjnych sojuszników, a ich zakres odpowiada specyfice urazów bojowych. Szczegółowo zostały opisane w drugim z rozporządzeń, obowiązującym od marca 2019 roku. Zgodnie z nim ratownicy medyczni mogą samodzielnie wykonywać takie zabiegi, jak konikotomia [sposób udrożnienia dróg oddechowych], intubacja dotchawicza z użyciem środków zwiotczających, drenaż jamy opłucnowej, blokada nerwów obwodowych. Wszystko oczywiście pod warunkiem ukończenia



Kpt. Anita Podlasin:
„Dzięki misjom ma-
my nowoczesne wy-
posażenie medyczne,
np. indywidualne pa-
kiety medyczne, opa-
ski uciskowe, wy-
szkolonych według
zasad TCCC medy-
ków”.

i dodaje: „Cieszy mnie to, że publikacje w renowanych pismach medycznych dotyczące zastosowania medycyny taktycznej zaczynają docierać do świata cywilnego”.

Medycy zgodnie przyznają, że na operacjach wojskowych najbardziej zyskały chirurgia, ortopedia i pozostałe dziedziny związane z zabiegami, takie jak anestezjologia, oraz ratownictwo medyczne. „Praktykuję w pogotowiu ratunkowym oraz na SOR-ze i patrzę na pacjenta przez przy-

zmat doświadczenia, które zdobyłem na misji. Jestem przekonany, że gdyby wszyscy ratownicy medyczni w Polsce byli szkoleni zgodnie z wytycznymi TCCC, to więcej ludzi można by uratować”, podkreśla Tomasz Sanak, ratownik i szkoleniowiec, uczestnik kilku misji w Afganistanie.

Daleko nam jeszcze do ideału. W wielu miejscach ratownicy medyczni nie mają dobrego sprzętu i nie biorą udziału w kursach podnoszących kwalifikacje. Dyrektorzy placówek nie inwestują w swój personel, bo najczęściej nie mają na to pieniędzy. „Ratownicy są zmęczeni, przepracowani, źle zarabiają. Ja jednak wyznaję zasadę twórcy International Trauma Life Support. Nasi pacjenci nas nie wybierają, pojawiają się na naszej drodze na skutek objawów i obrażeń. My natomiast świadomie zdecydowaliśmy się wykonywać ten zawód i powinniśmy nieustannie się uczyć i zdobywać wiedzę albo... zrezygnować”, mówi Tomasz Sanak.

POMOC NA CZAS

Wiedza z medycyny taktycznej może się przydać cywilnym służbom medycznym w trzech głównych dziedzinach: działaniach przedszpitalnych, zdarzeniach masowych oraz organizowaniu pracy w szpitalnych oddziałach ratunkowych czy w centrach urazowych. Mł. chor. rez. Łukasz Sikora zwraca jeszcze uwagę na to, że służby medyczne mogą mieć do czynienia z ofiarami ataków terrorystycznych. „Mieliliśmy już w Polsce ataki tzw. aktywnych strzelców czy nożowników,



wojskowo-medycznych kursów kwalifikacyjnych.

Czy to nie są już działania medyczne na zaawansowanym poziomie?

Owszem są to czynności dość zaawansowane. Nie chodzi jednak o jakieś skomplikowane operacje, raczej o drobne zabiegi chirurgiczne, takie jak szycie ran, usuwanie ciał obcych czy ropni itp.

W jaki sposób wojskowi ratownicy medyczni będą mogli zdobyć nowe kompetencje?

Na jednym z siedmiu wojskowo-medycznych kursów kwalifikacyjnych, które dotyczą: czynności ratunkowych, chirurgicznych, badania USG, podawania krwi,

składników krwi i preparatów krwiozastępczych, farmakoterapii stanów nagłych, medycznej ochrony przez czynnikami CBRN [zagrożenia chemiczne, biologiczne, radiacyjne, nuklearne oraz związane z materiałami wybuchowymi] i podstaw wsparcia psychologicznego.

Czy temat tego ostatniego z kursów też wynika z doświadczeń misyjnych?

Zdarzało się, że na misjach występowały u poszkodowanych różne zaburzenia zachowania. Ratownicy medyczni zazwyczaj pojawiają się pierwsi na miejscu zdarzenia, więc w takich sytuacjach muszą odpowiednio reagować. Pracując nad zmianami przepisów, uznaliśmy zatem, że dobrze by było poszerzyć ich wiedzę

w dziedzinie wsparcia psychologicznego. Trzeba jednak zaznaczyć, że chodzi tu jedynie o niezbędną interwencję na poziomie podstawowym. Później poszkodowany musi trafić w ręce specjalistów – psychologów czy psychiatrów.

Każdy ratownik będzie mógł wziąć udział w tych kursach?

Założenie jest takie, że uczestnikami pierwszych edycji będą żołnierze ratownicy medyczni wojsk specjalnych. W dalszej kolejności wojskowi kierowani do służby w polskich kontyngentach oraz w grupach bojowych Unii Europejskiej, a następnie ci z jednostek pierwszorzutowych oraz działający w obszarach współpracy cywilno-wojskowej i zarządzania



którzy ranili przypadkowych ludzi. Poszkodowani w takich sytuacjach mają takie same rany jak żołnierze na misji. Żeby im pomóc, przeciętne umiejętności medyczne nie wystarczą. Potrzebne jest specjalistyczne szkolenie z TCCC”, mówi Sikora. I dodaje: „Jestem przekonany, że trzeba inwestować w edukację i zakup odpowiedniego sprzętu dla zespołów ratownictwa”. Za przykład podaje Stany Zjednoczone, gdzie dla profesjonalistów, a także osób bez specjalistycznego wykształcenia są prowadzone szkolenia z tamowania krwotoków. „W Polsce uczymy ludzi reanimacji, ale tamowania krwotoku już nie. A przecież rozległe krwawienie zabija poszkodowanego w kilka minut”, mówi były komandos. Amerykanie wyposażają ludzi nie tylko w wiedzę, lecz także w odpowiednie materiały. „Na lotniskach, dworcach, w centrach handlowych obok urządzeń do reanimacji jest dostępny pakiet »trauma«, czyli opaski uciskowe, opatrunki hemostatyczne, bandaże, rękawiczki”, wylicza ratownik.

Wtórzy mu Tomasz Sanak: „W szkołach można znaleźć koce gaśnicze, ale nie zestawy do tamowania krwotoków i reanimacji. A dzieci w tych placówkach prędzej ucierpią z powodu urazów niż w pożarach. W maju do szkoły podstawowej w Brześciu Kujawskim wtargnął chłopak z bronią i trzykrotnie postrzelił dziewczynkę oraz woźną”.

Na zagrożenia związane z terroryzmem zwraca uwagę dr Przemysław Guła, lekarz szpitala polowego w Ghazni, pracownik TOPR-u, uczestnik akcji ratunkowej na Giewoncie. „Terroryzm jest zja-

ŻOŁNIERZ RANNY W AFGANISTANIE MA WIĘKSZE SZANSE NA PRZEŻYCIE NIŻ MIESZKANIEC POLSKI, KTÓRY ULEGŁ WYPADKOWI DROGOWEMU. TAKA OPINIA KRAŻY NA MEDYCZNYCH FORACH

wiskiem, które konfrontuje cywilne służby medyczne z medycyną pola walki”, pisze w książce „Medyczne skutki terroryzmu”. W publikacji wyjaśnia, że poziom przygotowania do reagowania na zdarzenia terrorystyczne w danym państwie zależy od doświadczeń. Za przykład daje Izrael, gdzie lata terroru wymusiły wypracowanie systemu, który ma zastosowanie w zdarzeniach o charakterze masowym. Podobnie wyspecjalizowane struktury ratow-

kryzysowego, czyli np. żołnierze wojsk obrony terytorialnej.

Jak długo będą ważne uprawnienia zdobyte na takim kursie?

W medycynie szybko zmieniają się standardy, więc może się okazać, że w ciągu krótkiego czasu jakieś procedury zostaną zmodyfikowane. Dlatego uprawnienia będą ważne przez trzy lata. Temat ten był omawiany z wieloma specjalistami od szkolenia i doskonalenia. Zyskał też aprobatę samych ratowników medycznych, bo kurs odnawiający jest dla nich szansą na szlifowanie umiejętności.

W jakich sytuacjach ratownik będzie mógł wykorzystać nowe kompetencje?

Uprawnienia zdobyte na kursie będą dotyczyły tylko zadań wykonywanych przez wojskowych ratowników medycznych na rzecz zabezpieczenia medycznego działań jednostek, także tych w misjach poza granicami kraju. Przepisy mówią także o sytuacji kryzysowej, np. zagrożeniu o charakterze terrorystycznym.

Jak ratownicy odbierają wprowadzone zmiany?

Różnie. Ci z doświadczeniami misyjnymi cieszą się, że dogoniliśmy rzeczywistość. Kwalifikacje naszych ratowników medycznych są teraz najszerze w Europie i jest to powód do dumy. Nie brakuje jednak i takich, którzy uważają,

że poszerzenie kompetencji to zbyt duża odpowiedzialność, a nasi ratownicy i tak są przeciążeni pracą. I faktycznie dziś muszą być wszędzie – zabezpieczają każde przedsięwzięcie szkoleniowe, są na poligonie, ćwiczeniach, szkoleniach strzeleckich, wojskowych piknikach czy podczas rocznych egzaminów z WF-u.

Wielu wojskowych ratowników medycznych praktykuje dodatkowo w systemie PRM, jeździ m.in. w zespołach ratownictwa medycznego...

Tak, i to jest bardzo dobre. Musimy pamiętać, że każdy ratownik powinien mieć częsty kontakt z pacjentem, zachowaną pamięć ręki. Służba w wojsku nie daje aż takiej praktyki, bo główne zadania na-



Tomasz Sanak: „Praktykuję w pogotowiu ratunkowym oraz SOR-ze i patrzę na pacjenta przez pryzmat doświadczenia, które zdobyłem na misji. Jestem przekonany, że gdyby wszyscy ratownicy medyczni w Polsce byli szkoleni zgodnie z wytycznymi TCCC, to więcej ludzi można by uratować”.

nizze funkcjonują w Wielkiej Brytanii i we Francji. „O wiele trudniej jest przekonywać o poziomie ryzyka w krajach, których nie dotknęły podobne tragiczne zdarzenia”, podkreśla autor książki. Lekarz przeanalizował doświadczenia wojskowe, które mogą być przydatne w działaniu służb medycznych w czasie terrorystycznych zamachów. Jego zdaniem zasady TCCC sprawdzą się podczas opieki przedszpitalnej, czyli na miejscu zdarzenia, gdzie liczą się właściwe zabezpieczenie rannego i szybka ewakuacja.

Dr Guła rekomenduje także odpowiednie zastosowanie szpitali i za przykład podaje połowę placówkę w Ghazni, organizację stanowisk na sali przedoperacyjnej i operacyjnej, konfigurację wyposażenia medycznego, a nawet sposób koordynowania pracy specjalistów. Ponadto zwraca uwagę na zaczerpnięte z TCCC: zasadę segregacji poszkodowanych (poszukiwanie w pierwszej kolejności najcięższych rannych, choć potencjalnie do uratowania), postępowanie ratunkowe dotyczące w pierwszej kolejności tamowania krwotoków, a dopiero później udrożnienie dróg oddechowych, sprawdzenie oddechu i krążenia. Dr Guła sugeruje także stosowanie staz taktycznych, opatrunków hemostatycznych w zatamowaniu krwotoku, wdrażanie płynoterapii i leczenia bólu. Pokazuje zalety chodzącego banku krwi (tzw. walking blood bank) oraz przetaczanie krwi pełnej w wypadku wydarzeń masowych (te czynności na etapie szpitalnym).

Z dr. Gułą zgadza się m.in. prof. Machała, który uważa, że urazy czy rany odniesione podczas

ataków terrorystycznych przypominają obrażenia wojenne. Porównanie dotyczy obrażeń spowodowanych użyciem broni lub wybuchem. Uznaje się je za odwracalne przyczyny śmierci. „Chodzi tu o krwotoki, niedrożność dróg oddechowych oraz odemę. A to przecież bezpośrednie odwołanie do reguł stosowanych w medycynie taktycznej”, wyjaśnia profesor.

RÓWNANIE SZANS

Żołnierz ranny w Afganistanie ma większe szanse na przeżycie niż mieszkaniec Polski, który uległ wypadkowi drogowemu. Taka opinia krąży po medycznych forach, ale czy jest słuszna? Lekarze i ratownicy są zgodni: tak. „Oczywiście trzeba tu brać pod uwagę wiele czynników, takich jak chociażby miejsca zdarzenia, ale bardzo ważne jest to, jak zachowują się jego koledzy”, mówi „Sly”, ratownik medyczny Jednostki Wojskowej Komandosów, uczestnik prestiżowego kursu dla medyków sił specjalnych NATO Special Operations Combat Medic. „W Afganistanie mieliśmy wypracowane procedury, świetny zespół ludzi i każdy dobrze wiedział, co ma robić. Zanim pacjent trafił na stół operacyjny, był odpowiednio zabezpieczony przez medyków lub kolegów z plutonu. Nim dotarł do bazy, w gotowości był już cały personel. Tymczasem w Polsce nie jest to takie oczywiste. Na karetkę trzeba czekać od kilku do kilkunastu minut. A później... Cóż, nie każdy szpital jest tak zorganizowany jak ten w Ghazni”, mówi komandos. ■

szych ratowników medycznych skupiają się na zabezpieczeniu medycznym osób zdrowych. Dlatego praca w systemie PRM jest dla wojska korzystna: ratownicy medyczni wnoszą swoje doświadczenie, wiedzę, a sami zdobywają niezbędną praktykę – co korzystnie wpływa na profesjonalizm i poziom zabezpieczenia medycznego Sił Zbrojnych RP. To idealne połączenie, aczkolwiek będące na pewno sporym obciążeniem zawodowym.

Sporo się zmieniło w wojskowym ratownictwie medycznym. Czy to już koniec wyzwań?

W mojej opinii niezbędne jest jeszcze doprecyzowanie zasad współdziałania naszego systemu zabezpieczenia

medycznego z systemem PRM w opiece przedszpitalnej. Od 2016 roku wojskowe zespoły ratownictwa medycznego są samodzielne, podejmują poszkodowanego i wiozą go na najbliższy SOR. Sęk w tym, że nie jesteśmy wpięci w system powiadamiania Państwowego Ratownictwa Medycznego, w którym dyspozytor widzi każdą ka-

retkę i można na bieżąco koordynować całość akcji ratunkowej. My pozostajemy dla niego niewidoczni. Doprecyzowanie zasad współpracy i koordynacji akcji ratowniczych znacznie ułatwiłoby obieg informacji i przekazywanie pacjenta, ale też ściąganie ewentualnych specjalistów i skrócenie czasu reakcji w podjęciu czynności medycznych. ■

Kpt. ANNA ALEKSANDRZAK-HEIDUCKA jest ratownikiem medycznym w Zespole Pielęgniarstwa i Ratownictwa Medycznego Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia Ministerstwa Obrony Narodowej. Na co dzień zajmuje się m.in. opracowywaniem projektów przepisów dotyczących wojskowego ratownictwa medycznego, kształcenia i doskonalenia zawodowego ratowników medycznych. Uczestniczy w pracach międzyresortowych zespołów nad wprowadzaniem przepisów normujących m.in. funkcjonowanie wojskowego ratownictwa medycznego.

19 LUBELSKA BRYGADA ZMECHANIZOWANA

IM. GEN. BRYG. FRANCISZKA KLEEBERGA



PUGNAMUS USQUE AD FINEM

„WALCZYMY DO KOŃCA”

f @19LBZ

#19LBZ



GDY DO SZPITALA JEST DALEKO

Podczas operacji wojskowych podstawowa wiedza z medycyny taktycznej nie wystarczy. Lekarze, pielęgniarki, ratownicy muszą wiedzieć, jak zająć się ciężko poszkodowanym nawet przez 72 godziny.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Zapewnienie opieki medycznej żołnierzom, którzy ucierpieli w walkach w Iraku i Afganistanie, jak twierdzą medycy, nie było specjalnie trudne. Dlaczego? Każdy żołnierz znał zasady samopomocy medycznej i pomocy koleżeńskiej na polu walki. Dzięki sprawnemu systemowi MEDEVAC wykwalifikowani ratownicy medyczni przejmowali poszkodowanych, by ci szybko mogli znaleźć się w szpitalu polowym, w rękach specjali-

stycznego personelu, m.in. anestezjologów i chirurgów. „Standard sił specjalnych to około 40 minut, co jest bardzo dobrym wynikiem. Dla porównania przyznam, że trudno o tak szybkie dostarczenie pacjenta do szpitala w realiach cywilnej służby zdrowia w Polsce”, podkreśla jeden z lekarzy JW GROM.

Współczesne konflikty zbrojne pokazują jednak, że opieka nad poszkodowanymi zgodnie ze standardami wyznaczony- ➔



Kiedy lekarze mówią o PFC, myślą przede wszystkim o tzw. procedurach chirurgicznych ratujących życie, intensywnej terapii, podawaniu krwi, sedacji, wentylacji pacjenta. Obejmuje ono jednak również leczenie bólu oraz opiekę pielęgniarską.

mi przez komitet TCCC [Tactical Combat Casualty Care] czasami nie wystarcza. Zresztą tak naprawdę to już od kilku lat w środowisku sił specjalnych na całym świecie są omawiane zagadnienia związane z zasadami postępowania z pacjentem w czasie wydłużonym (Prolonged Field Care, PFC), czyli wtedy gdy na ewakuację medyczną trzeba czekać kilka lub kilkanaście godzin.

W Afganistanie czy Iraku, ze względu na sprawność ewakuację medyczną, nie mogliśmy mówić o PFC, ale już obecne doświadczenia sojuszników, np. z operacji militarnych w Afryce, pokazują, że takie postępowanie to konieczność. Płk Sean Keenan, naczelny lekarz sił specjalnych USA w Europie, stwierdził, że stosowane dotychczas procedury związane z medycyną taktyczną muszą ewoluować. „Opieka przedszpitalna to dziś więcej niż tzw. złota godzina. Musimy przygotować się na opiekę nad pacjentem, która zajmuje wiele godzin lub dni”, pisał w artykule „PFC. Beyond the Golden Hour”. Keenan przyznaje, że amerykańskie siły specjalne wykonują zadania w odległych miejscach na świecie, gdzie infrastruktura szpitalna nie istnieje lub jest bardzo słabo rozwinięta. Organizując np. ewakuację z Ameryki Południowej, Afryki czy Azji Południowo-Wschodniej, trzeba planować opiekę medyczną dla potencjalnych poszkodowanych na co najmniej kilka dni. „Wykonanie takiego zadania wymaga odpowiedniego szkolenia, dlatego kursy z PFC są głównym kierunkiem rozwoju amerykańskich medyków w siłach specjalnych”, pisze dalej płk Keenan.

Z takim podejściem zgadza się również lekarz jednostki GROM. „Złota godzina to standard, ale rzeczywistość zmusza nas do tego, by nauczyć się wychodzić dalej. Gdy musimy zająć się pacjentem przez kilka godzin, trzeba odejść od obowiązujących wcześniej reguł. Radzić sobie przy ograniczonej liczbie personelu i sprzętu medycznego, często w trudnych warunkach terenowych”, przyznaje.

WIEDZA Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI

Mł. chor. rez. Łukasz Sikora po raz pierwszy z zagadnieniami PFC spotkał się, gdy jako operator Jednostki Wojskowej Komandosów wyjechał do Stanów Zjednoczonych na zaawansowany kurs Special Operations Combat Medic (szkolenie dla medyków amerykańskich sił specjalnych). „To był bardzo skomplikowany i wymagający kurs. Uczyliśmy się opieki nad pacjentami medycznymi, ura-

zowymi oraz rażonymi bronią chemiczną”, wspomina ekskomandos. Kilka lat później podoficer wyjechał do Międzynarodowego Centrum Szkolenia Sił Specjalnych w Pfullendorf niedaleko Stuttgartu, w którym odbywało się szkolenie NATO SOCM. Sikora dołączył do międzynarodowego grona instruktorów: lekarzy i medyków sił specjalnych z USA, Niemiec, Belgii, Holandii, Włoch i Norwegii.

Zadaniem polskiego ratownika było przygotowanie zajęć na temat opieki nad pacjentem urazowym, nad poszkodowanymi na polu walki oraz nad pacjentem w czasie przedłużającej się ewakuacji medycznej. „Ten ostatni blok tematyczny okazał się dla kursantów najbardziej wymagający. Wykłady prowadzili fachowcy od PFC z różnych krajów. Na początku żołnierze poznawali teorię, później mieli zajęcia praktyczne. Musieli sobie radzić z pacjentami np. we wstrząsie hipowolemicznym czy neurogennym, efektami choroby wysokościowej, rozległymi oparzeniami. Scenariusze nie były wyszane z palca, tylko opierały się na doświadczeniach żołnierzy wojsk specjalnych. Trzeba było udzielić pomocy poszkodowanemu w miejscu, gdzie został ranny, w czasie transportu oraz kilkunastogodzinnego oczekiwania na śmigłowiec ewakuacji medycznej”, mówi Łukasz Sikora.

Ratownik przyznaje co prawda, że do takiego działania nie można się w 100% przygotować, ale trzeba trenować różnego rodzaju procedury medyczne, uczyć się planowania działań i delegowania zadań między żołnierzami w sekcji. „Po kilkunastu godzinach opieki nad rannym okazuje się, że poszkodowany staje się cały zespół. Jeśli jest zła organizacja pracy, to zmęczenie i głód uniemożliwią jakiegokolwiek działanie”, dodaje Sikora.

Opieka nad pacjentem w czasie wydłużonej ewakuacji medycznej dotyczy wielu specjalizacji. Kiedy lekarze mówią o PFC, myślą m.in. o tzw. procedurach chirurgicznych ratujących życie (damage control surgery), intensywnej terapii, podawaniu krwi, sedacji, wentylacji pacjenta. „PFC to ogromne wyzwanie, zarówno jeśli chodzi o wiedzę, jak i organizację działań. Siły specjalne lecące na operację mogą zabrać ograniczony ładunek. Nie mogą wziąć ze sobą np. dużej ilości tlenu, a na pewno nie na 72 godziny. Medycy wojsk specjalnych posiłkują się więc różnego rodzaju koncentratorami i respiratorami. To samo dotyczy krwi. Kiedy ratownik szykuje się na operację ze swoją sekcją, zawsze zabiera krew 0 Rh- i osocze, ale to wystarczy tylko

WOJSKOWE CENTRUM KSZTAŁCENIA MEDYCZNEGO I DOWÓDZTWO SIŁ SPECJALNYCH NATO WSPÓLNIE PRZYGOTOWUJĄ PROGRAM SZKOLENIA DLA WYKSZTAŁCONYCH MEDYCZNIE ŻOŁNIERZY WOJSK SPECJALNYCH

na początek. Później trzeba stosować procedurę transfuzji krwi w polu, czyli tzw. walking blood bank”, opisuje lekarz z GROM-u.

To jednak nie wszystko, jeśli chodzi o PFC. Kpt. dr Anita Podlasin, ratownik medyczny i instruktor Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi, przyznaje, że PFC wykorzystuje również wiedzę dotyczącą leczenia bólu, a także opieki pielęgniarskiej. „Trzeba pomyśleć także np. o żywieniu ранego i suplementacji, opiece psychologicznej oraz o wymienności funkcji w zespole. Tak by główny medyk też miał szansę odpocząć”, mówi kpt. Podlasin i dodaje: „Dla mnie PFC to przede wszystkim umiejętność planowania. Dostosowywanie procedur do medycyny taktycznej i zastępowanie innymi dotąd przyjętymi w TCCC algorytmów postępowania”.

NIE TYLKO DLA SPECJALISÓW

Czy opieka nad pacjentem w czasie wydłużonym dotyczy tylko wojsk specjalnych? Na razie. Polscy operatorzy biorą udział w prestiżowych kursach, np. dotyczących interwencji w wypadku krwotoków wewnętrznych, a od kilku lat również GROM organizuje dla specjalistów szkolenia z PFC. Są one prowadzone częściowo też przez PJ (pararescue jumpers), czyli amerykańskich medyków sił specjalnych. Być może w przyszłości wiedza ta będzie szerzej dostępna. W USA o przedłużonej opiece medycznej uczą się żołnierze w czasie obowiązkowego kursu dla medyków US Army „68W”. „Zakładam, że podobnie będzie i w Polsce. Ostatnie rozporządzenie ministra obrony narodowej znacząco rozszerza kompetencje ratowników. Zawarte w przepisach procedury medyczne są typowe dla PFC. Można więc sądzić, że ratownicy różnych rodzajów sił zbrojnych, po odpowiednich szkoleniach, będą przygotowani do wykonywania zadań związanych z opieką nad pacjentem w czasie wydłużonej ewakuacji medycznej”, podkreśla Łukasz Sikora. Były komandos razem z st. sierż. rez. Krzysztofem Plu-

tą, kolegą z JWK, już od jakiegoś czasu zajmuje się szkoleniami z medycyny taktycznej. W ofercie mają także warsztaty PFC. „To nie są zajęcia dla początkujących. Uczestnicy biorą udział w wykładach teoretycznych, zanim sprawdzą się w realnym działaniu. Muszą opiekować się poszkodowanymi bez przerwy przez 72 godziny”, opisuje Sikora. „Po kilkunastu godzinach treningu wszyscy są tak zmęczeni, że w końcu sami zaczynają rozumieć, że każdy musi jeść, spać i choć trochę o siebie zadbać. Uczą się przekazywać sobie obowiązki, doceniają współpracę w zespole”, dodaje.

Prace nad stworzeniem kursu PFC trwają już w Wojskowym Centrum Kształcenia Medycznego. Łódzka placówka, we współpracy z Dowództwem Sił Specjalnych NATO, (NATO Special Operations Headquarters – NSHQ), przygotowuje program szkolenia dla wykształconych medycznie żołnierzy wojsk specjalnych, czyli kurs NATO Special Operation Medical Technician. „Chciałabym, aby dzięki rekomendacji NSHQ na kurs do nas przyjeżdżali specjaliści z całej Europy. Z pewnością takie szkolenie będzie trwało kilka miesięcy, z czego przynajmniej sześć tygodni zajmie nauka PFC. Planujemy, by zajęcia poprowadzili nie tylko instruktorzy WCKMed, ale także doświadczeni w misjach lekarze, np. chirurdzy, anestezjolodzy oraz pielęgniarki czy PJ”, podkreśla kpt. Podlasin, współautorka koncepcji nowego szkolenia. Kurs najwcześniej ruszy w 2020 roku.

PFC sprawdzi się jednak nie tylko w działaniach militarnych. Lekarz z GROM-u zwraca uwagę, że przedłużona opieka medyczna jest także elementem np. ratownictwa wysokogórskiego. „Gdy trzeba przez kilkadziesiąt godzin zająć się pacjentem z obrzękiem mózgu w górach, albo gdy mamy poszkodowanych w czasie różnego rodzaju ekstremalnych ekspedycji – arktycznych, górskich czy nurkowych. Można pomyśleć o PFC w kontekście udzielania pomocy ludziom pracującym na platformach na środku oceanu czy tym, którzy wykonują misje w kosmosie”, uzupełnia. ■

68W ZNACZY RATOWNIK

*Z amerykańskimi
żołnierzami służącymi
w szpitalu wojskowym
w Landstuhl o tym, czym
różni się praca medyków i paramedyków
oraz o specyfice działania na misji
rozmawia Michał Zieliński.*

Jakie kompetencje mają medycy US Army?

Katherine Miller: Każdy sixty-eight whiskey [wojskowy kod na określenie medyków bojowych], czyli medyk oraz paramedyk, najczęściej pracuje pod nadzorem lekarza lub jego asystenta [physician assistant – funkcja nieistniejąca w polskim systemie opieki medycznej]. Oznacza to, że nasze możliwości uwarunkowane są nie tylko osobistymi kompetencjami, lecz także rodzajem licencji osoby nadzorującej. Reszta zależy już od miejsca, w którym działamy. Nasze obowiązki obejmują podstawowe czynności, takie jak resuscytacja, ale też znacznie bardziej zaawansowane procedury medyczne, na przykład drenaż klatki piersiowej. Takie zabiegi częściej wykonujemy jednak na misjach niż podczas codziennej pracy.

Jaka jest różnica między paramedycznym a medykiem w amerykańskiej armii?

Richard Aguilar: Najważniejsza polega na tym, że paramedycy mogą pracować bez osoby nadzorującej, więc są bardziej niezależni. Tak jest w moim wypadku. Jako latający paramedyk [68WF3] podczas służby na pokładzie śmigłowca MEDEVAC to ja podejmuję decyzję, które procedury medyczne należy stosować. Może to być wentylacja mechaniczna, drenaż klatki piersiowej czy ACLS [advanced cardiac life support – zaawansowane zabiegi resuscytacyjne]. Możemy także podawać na przykład opiaty. Należy jednak pamiętać, że wszystkich latających paramedyków przez cały czas obowiązują wytyczne SMOG, czyli standard medical operating guideline [standaryzowane medyczne wytyczne opera-

cyjne]. Musimy dostosować do nich nasze działania.

Thurman L. Reynolds: Warto podkreślić jeszcze jedną kwestię. Żeby uzyskać podstawowe kwalifikacje medyka bojowego, trzeba ukończyć szesnastotygodniowy kurs. Paramedyk przechodzi cykl szkoleń trwających niemal rok. Umiejętności oraz doświadczenie zdobyte w tych dwóch sytuacjach znacząco się od siebie różnią.

Paramedycy latający na pokładach śmigłowców są przygotowywani także do służby na ziemi?

Richard Aguilar: Jako żołnierze lotniczej kompanii możemy zostać przydzieleni do szpitala albo innej jednostki naziemnej – teraz np. służymy w szpitalu w Niemczech. Na misji wygląda to trochę inaczej. Jeżeli sytuacja

WIZYTÓWKA

COMMAND
SERGEANT MAJOR
THURMAN
L. REYNOLDS

Służy w amerykańskim szpitalu wojskowym w Landstuhl. Służbę w US Army rozpoczął jako medyk bojowy. Wielokrotnie brał udział w misjach zagranicznych, m.in. w Bośni czy w Afganistanie. ■



LANDSTUHL REGIONAL MEDICAL CENTER

MEDYCY BO-
JOWI CZĘSTO
PO SŁUŻBIE
PRACUJĄ
W SZPITAL-
NYCH ODDZIA-
ŁACH RATUN-
KOWYCH

na ziemi wymaga naszego wsparcia, to oczywiście go udzielamy, ale podczas dyżuru przede wszystkim musimy być gotowi do tego, żeby w każdej chwili wskoczyć do śmigłowca i polecieć na akcję. To nasze główne zadanie.

Służycie teraz w Niemczech. Czy wasze codzienne obowiązki różnią się od tych w Stanach Zjednoczonych?

Thurman L. Reynolds: Nasze obowiązki w szpitalu wojskowym w Landstuhl są porównywalne z tymi, które wypełnialibyśmy w USA. Mamy

też podobne kompetencje. Tyle że placówka w Niemczech jest największą tego typu w Europie. Jako jedyni w tej części świata zapewniamy wsparcie medyczne poziomu czwartego, obejmujące specjalistyczne zabiegi chirurgiczne, rehabilitację oraz rekonwalescencję.

Wasza służba ogranicza się do wojska czy zdobywacie doświadczenie także w placówkach cywilnych?

Thurman L. Reynolds: Medycy bojowi i paramedycy często po służbie pracują w szpitalnych oddziałach ra-

tunkowych albo w karetkach. Widziałem także naszych żołnierzy, którzy zdobywają doświadczenie jako certyfikowani asystenci pielęgniarzy na różnych oddziałach w amerykańskich szpitalach. W takich okolicznościach mają ograniczone możliwości, ponieważ nie ma przy nich lekarza wojskowego, którego licencja umożliwiałaby im pracę w pełnym spektrum. Wiele jednak zależy od tego, w którym z pięćdziesięciu stanów służą. W każdym obowiązuje lokalne prawo i inny zakres obowiązków przewidziany dla medyków. ➔

JEŻELI RATU-
JESZ KOLE-
GÓW, MUSISZ
ODSUNĄĆ
WSZYSTKIE
EMOCJE, ABY
PODEJMO-
WAĆ DECYZJE

LANDSTUHL REGIONAL MEDICAL CENTER



WIZYTÓWKA

SERGEANT
FIRST CLASS
KATHERINE MILLER

Jest kierownikiem oddziału medycyny rodzinnej amerykańskiego szpitala wojskowego w Landstuhl. Wielokrotnie uczestniczyła w misjach bojowych, m.in. w ramach operacji „Enduring Freedom” (Task Force Defender) oraz „Iraqi Freedom” (Task Force North). ■



WIZYTÓWKA

STAFF SERGEANT
RICHARD AGUILAR

Jest latającym paramedycykiem (68WF3) z 2 Batalionu 1 Regimentu Lotniczego US Army.

PARAMEDYCY MOGĄ PRACOWAĆ BEZ OSOBY NADZORUJĄCEJ, WIĘC SĄ BARDZIEJ NIEZALEŻNI. JAKO LATAJĄCY PARAMEDYK PODCZAS SŁUŻBY TO JA PODEJMĘ DECYZJĘ, KTÓRE PROCEDURY MEDYCZNE NALEŻY STOSOWAĆ

Czy godziny spędzane w cywilnych placówkach procentują potem w wojsku?

Katherine Miller: Jeżeli nawet w cywilu wojskowy medyk nie może wykonywać konkretnej czynności, to wciąż ma do czynienia z realnymi sytuacjami. Oswaja się z nimi, ale też obserwuje pracę innych ratowników oraz lekarzy. Jest to bardzo wartościowe doświadczenie.

Zdarza, że dzięki takim doświadczeniom medycy bojowi poszerzają swoje kompetencje i zostają paramedycami?

Richard Aguilar: Zwykle wygląda to tak, że służbę w wojsku rozpoczynamy jako medycy bojowi. Wraz ze zdobytym doświadczeniem oraz zaliczonymi kursami możemy złożyć wniosek o przydział do kompanii latającej. Jeżeli zostanie on przyjęty, dostajemy skierowanie do Fortu Sam Houston w San Antonio, w którym mieści się główna szkoła paramedyków US Army. Po jej ukończeniu, czyli po około pół roku, trzeba

przejsć szkolenie z intensywnej terapii. To kolejne osiem tygodni nauki. Po tym czasie uzyskuje się certyfikat FOX 2 [Flight Paramedic] i otrzymuje przydział do jednostki lotniczej. Wtedy tak naprawdę rozpoczyna się długa droga, podczas której zdobywa się umiejętności i doświadczenie jako członek załogi latającej na śmigłowcach.

W jaki sposób można dalej rozwijać karierę?

Katherine Miller: US Army zapewnia swoim żołnierzom edukację na różnych poziomach. Sixty-eight whiskey mogą rozwijać się jako medycy i paramedycy, ale też pójść na studia i zostać pielęgniarkami, asystentami lekarzy, a nawet lekarzami. Powstały programy, które umożliwiają taki rozwój kariery, ale to bardzo długi i pracochłonny proces. Najpierw należy zdobyć umiejętności kwalifikujące na studia medyczne. Po ich ukończeniu odbyć staż, rezydenturę, specjalizację i praktykę. Nawet jeżeli jest się paramedycykiem i ma się już pewną wiedzę z tej dziedziny, całość zajmie

ponad dziesięć lat. Dopiero po tym czasie zostaje się lekarzem, który może samodzielnie pracować. Wszystkie koszty pokrywa armia, ale trzeba to potem oddać.

Co jest najtrudniejsze w pracy medyka oraz paramedyka US Army?

Katherine Miller: Jedną z najtrudniejszych rzeczy, z jaką się zmierzyłam, był wypadek masowy podczas jednej z moich misji. W zasadzie przez cały czas przybywali kolejni poszkodowani, a my nie mogliśmy ich ewakuować. Decydowaliśmy, którzy pacjenci wymagają natychmiastowej pomocy, a których nie możemy już uratować. Nie mogliśmy wziąć rannych na szczegółowe badania, podczas których lekarz określiłby ich stan i stwierdził, czy mają szansę na przeżycie. Musieliśmy się opierać tylko na tym, co widzieliśmy. Myślę, że bez względu na to, w której armii służysz, takie sytuacje są najtrudniejsze. Zwłaszcza jeżeli ratujesz swoich kolegów. Wtedy musisz odsunąć wszystkie emocje, żeby podejmować decyzje.

KWARTALNIKBELLONA.PL

KWARTALNIK BELLONA

PISMO NAUKOWE
TRADYCJA POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ
OD 1918 ROKU



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

*Nasza interpretacja –
Wasze źródła*

ARMIA

/ WOJSKA
POWIETRZNODESANTOWE



C-17

To ciężki, odrzutowy samolot wojskowy, mający możliwość skróconego startu i lądowania, produkowany przez Boeinga. Maszyna przeznaczona jest do transportu ludzi i ładunków. Może przewozić 134 żołnierzy (lub 48 rannych na noszach) i maksymalnie 77,5 t ładunku. Jednorazowo na pokład zabiera 102 skoczków spadochronowych.

DESANT PO POLSKU

Był stres, były emocje, zwłaszcza że wielu z nich, mimo doświadczenia, **nie skakało nigdy z pokładu odrzutowca.**

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK



K

ilkanaście miesięcy trwały przygotowania do desantu Polaków z transportowca C-17 Globemaster, ponieważ trzeba było opracować przepisy i przeprowadzić szkolenie. Ostatecznie, latem tego roku z lecącego na wysokości 4 tys. m giganta wykonywali skoki instruktorzy i żołnierze pododdziałów rozpoznawczych 6 Brygady Powietrznodesantowej.

„Przygotowanie do desantowania z samolotu C-17 to część planu zwiększania zdolności przerzutu całej brygady. Zależy mi na tym, by w jak najkrótszym czasie moi żołnierze byli gotowi do udziału w operacji toczącej się w dowolnym miejscu na świecie. Wykorzystanie do tego C-17 jest dla nas szansą”, mówi gen. bryg. Szymon Koziątek, dowódca 6 Brygady Powietrznodesantowej.

TRZEBA DZIAŁAĆ JAK AUTOMAT

„Desantowaliśmy się z amerykańskiego samolotu, ale z wykorzystaniem polskiego sprzętu. To czytelny sygnał dla wszystkich sojuszników: 6 Brygada, podobnie jak inne jednostki powietrznodesantowe na świecie, dba o zwiększenie interoperacyjności. Jesteśmy gotowi, by uczestniczyć w wielonarodowej operacji według jednakowych reguł i przepisów”, podkreśla dowódca spadochroniarzy.

Polscy żołnierze mieli już doświadczenie w desantowaniu z pokładu C-17, jednak z użyciem amerykańskich spadochronów. „Tak było podczas manewrów »Swift Response« w 2015 i 2016 roku, ale wówczas żołnierzy obowiązywały przepisy organizatora ćwiczeń, czyli Amerykanów”, wyjaśnia kpt. Agata Wilga, rzecznik prasowy 6 Brygady Powietrznodesantowej. Dlatego naj-

pierw Polacy musieli przejść szkolenie z ich procedur obowiązujących skoczka przed desantowaniem, na pokładzie samolotu i w czasie lądowania. Dopiero później otrzymywali amerykański model spadochronu i mogli dołączyć do ćwiczeń. „Taka sytuacja może być niebezpieczna. Procedury desantowania w krajach NATO są zbliżone, ale jednak się różnią. Diabeł tkwi w szczegółach. Mogłoby się zdarzyć, że żołnierz, któremu w powietrzu nie otworzył się spadochron, zawaha się, bo nie będzie wiedział, czy ma postępować zgodnie z polskimi czy amerykańskimi wytycznymi”, wyjaśnia mjr Tomasz Markiewicz, instruktor spadochronowy, oficer dowództwa 6 Brygady Powietrznodesantowej.

„Zasady postępowania w sytuacjach awaryjnych żołnierze muszą mieć wyćwiczone do tego stopnia, by wykonywali je mechanicznie. Jeżeli w niebezpieczeństwie znajdzie się Polak skaczący z amerykańskim spadochronem, to co zrobi odruchowo? Wykona czynności, które ćwiczył przez lata służby, czy te, które poznał dwie godziny wcześniej? W powietrzu nie ma czasu na rozmyślanie, trzeba działać jak automat”, dodaje instruktor.

DUŻY, WIĘKSZY, OGROMNY

Żołnierze 6 Brygady w desantowaniu najczęściej szkolą się na średnich samolotach transportowych C-295M i większych C-130 Hercules. Nierzadko skoki wykonują także z pokładu małych transportowców M-28 Bryza, a czasami – śmigłowców. Tym razem jednak wykonali skok z pokładu transportowego giganta – samolotu C-17 Globemaster III. Jest to jedna z trzech maszyn należących do natowskiego Skrzydła Ciężkiego Lotnictwa Transportowego (Heavy Airlift Wing – HAW), międzynarodowej jednostki mieszczą-



AGATA NIEMIJSKA / 6 BP

TO DESANTOWANIE POLSKICH ŻOŁNIERZY Z POKŁADU AMERYKAŃSKIEGO C-17 PRZEJDZIE DO HISTORII

cej się w bazie Pápa na Węgrzech. Polska od dekady uczestniczy w programie SAC (Strategic Airlift Capability), który polega na wykonywaniu strategicznego transportu lotniczego na rzecz jego uczestników.

„Jesteśmy niejako współwłaścicielami tych samolotów. Maszyny stacjonują na co dzień na Węgrzech, ale możemy z nich korzystać. Postanowiliśmy więc dostosować nasze przepisy oraz odpowiednio wyszkolić żołnierzy, by w razie konieczności byli przygotowani do bezpiecznego wykonywania zadań w powietrzu”, mówi mjr Tomasz Markiewicz, będący inicjatorem prac nad instrukcją desantowania z C-17. „Stworzyliśmy dokument, który krok po kroku to opisuje. Określa np. prędkość, z jaką odrzutowiec może rozpocząć desantowanie, dopuszczalną liczbę skoczków na pokładzie, a także precyzuje, jakie czynności w czasie lotu mają wykonywać skoczkowie, a jakie personel pokładowy. Ustaliliśmy, ilu instruktorów musi być na pokładzie oraz jak powinien być wyposażony samolot”, wyjaśnia dalej mjr Markiewicz.

Przygotowali instrukcję pozwalającą na wykonywanie skoków ze spadochronem według trzech systemów otwarcia. W samoczynnym, potocznie nazywanym „na linę”, spadochron otwiera się automatycznie zaraz po tym, jak skoczek opuści pokład samolotu. W kombinowanym po wyskoczeniu z samolotu w pierwszej kolejności otwiera się mały spadochron – stabilizator, a dopiero potem napęnia się czasza główna. Trzeci system, czyli tzw. wolne otwarcie, to wariant, przy którym skoczek nie jest związany liną z pokładem samolotu (tak jak w poprzednich dwóch przykładach) i po oddzieleniu się od statku powietrznego samodzielnie decyduje, w którym momencie otworzyć spadochron.

Jak przyznają spadochroniarze, przygotowanie dokumentacji było sporym wyzwaniem. Przede wszystkim dlatego, że nie mogli korzystać z samolotu. „C-17 nie były dostępne, więc przyjętych rozwiązań nie mogliśmy na bieżąco weryfikować na pokładzie. Pracowaliśmy wyłącznie na amerykańskich instrukcjach, wspieraliśmy się także wiedzą pilotów, loadmasterów





TRANSPORT STRATEGICZNY

W sierpniu 2006 roku państwa członkowskie NATO oraz Szwecja i Finlandia zdecydowały o konieczności zwiększenia możliwości transportu powietrznego Europy. Opracowano wówczas program wspólnego strategicznego transportu lotniczego (Strategic Airlift Capability – SAC). Kraje członkowskie NATO zawarły porozumienie z firmą Boeing i na jego mocy podjęto decyzję o zakupie trzech samolotów C-17. Koszty zakupu, szkolenia

załóg i eksploatacji rozłożono na wszystkie państwa biorące udział w SAC. Polska przystąpiła do programu w 2008 roku. Oprócz Polski jest w nim jeszcze dziewięć państw należących do NATO: Stany Zjednoczone, Węgry, Bułgaria, Estonia, Litwa, Holandia, Norwegia, Rumunia i Słowenia oraz dwa kraje partnerskie: Finlandia i Szwecja. Pierwszy lot C-17 w ramach programu SAC dla polskich sił zbrojnych odbył się w listopadzie 2009 roku. ■

OPRÓCZ DESANTU ŻOŁNIERZY PRZYGOTOWANO TAKŻE ZRZUTY TOWAROWE. NA PUSTYNI BŁĘDOWSKIEJ WYLĄDOWAŁO SZEŚĆ KONTENERÓW, KAŻDY WAŻYŁ PO 750 KG, I CZTERY PLATFORMY, KAŻDA Z ŁADUNKIEM PO 2,5 T

i skoczków spadochronowych, którzy wykonywali już zadania na tym typie samolotu”, wyjaśnia mjr Markiewicz.

NA ZIEMI I W POWIETRZU

Po kilku miesiącach gotowa instrukcja desantowania z pokładu C-17 została zaakceptowana przez Dowództwo Generalne RSZ, a następnie Sztab Generalny WP. „Dokumenty obowiązują od kwietnia tego roku. Wtedy też rozpoczęliśmy rozmowy z bazą Pápa. W ich efekcie na nasze zaproszenie przyleciał na ćwiczenia do Polski samolot C-17 wraz z załogą i niezbędnym personelem obsługi”, wyjaśnia kpt. Agata Wilga.

Maszyna wylądowała w Polsce w lipcu. Załoga i samolot pięć dni stacjonowały w Balicach, w gotowości do desantowania naszych żołnierzy. „Bardzo ważny był dla nas pierwszy dzień wspólnych ćwiczeń. Mieliśmy czas nie tylko na briefingi z załogą i ustalanie planów lotów. Dla osób pracujących nad instrukcją desantowania kluczowy był dostęp do maszyny, techników i loadmasterów. Mogliśmy sprawdzić, czy przyjęte przez nas rozwiązania są prawidłowe, czy nie trzeba robić żadnych modyfikacji”, opowiada mjr Markiewicz i dodaje: „Krok po kroku sprawdzaliśmy zapisy instrukcji. Zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy prowadzili desantowanie, z tą różnicą, że byliśmy na ziemi. Pracowaliśmy także ze spadochronami, sprawdzaliśmy np. sposoby przypięcia karabńczyków do liny desantowej”. Początkowo zakładano, że pięciodniowa obecność C-17 w Polsce zostanie wykorzystana m.in. do sprawdzenia wszystkich wariantów desantowania. Ze względu na złe warunki pogodowe program skrócono do minimum, więc skoki wykonali

jedynie instruktorzy i zwiadowcy 6 BPD. Dodatkowo skoki wysokie, z użyciem aparatury tlenowej, trenowali żołnierze wojsk specjalnych.

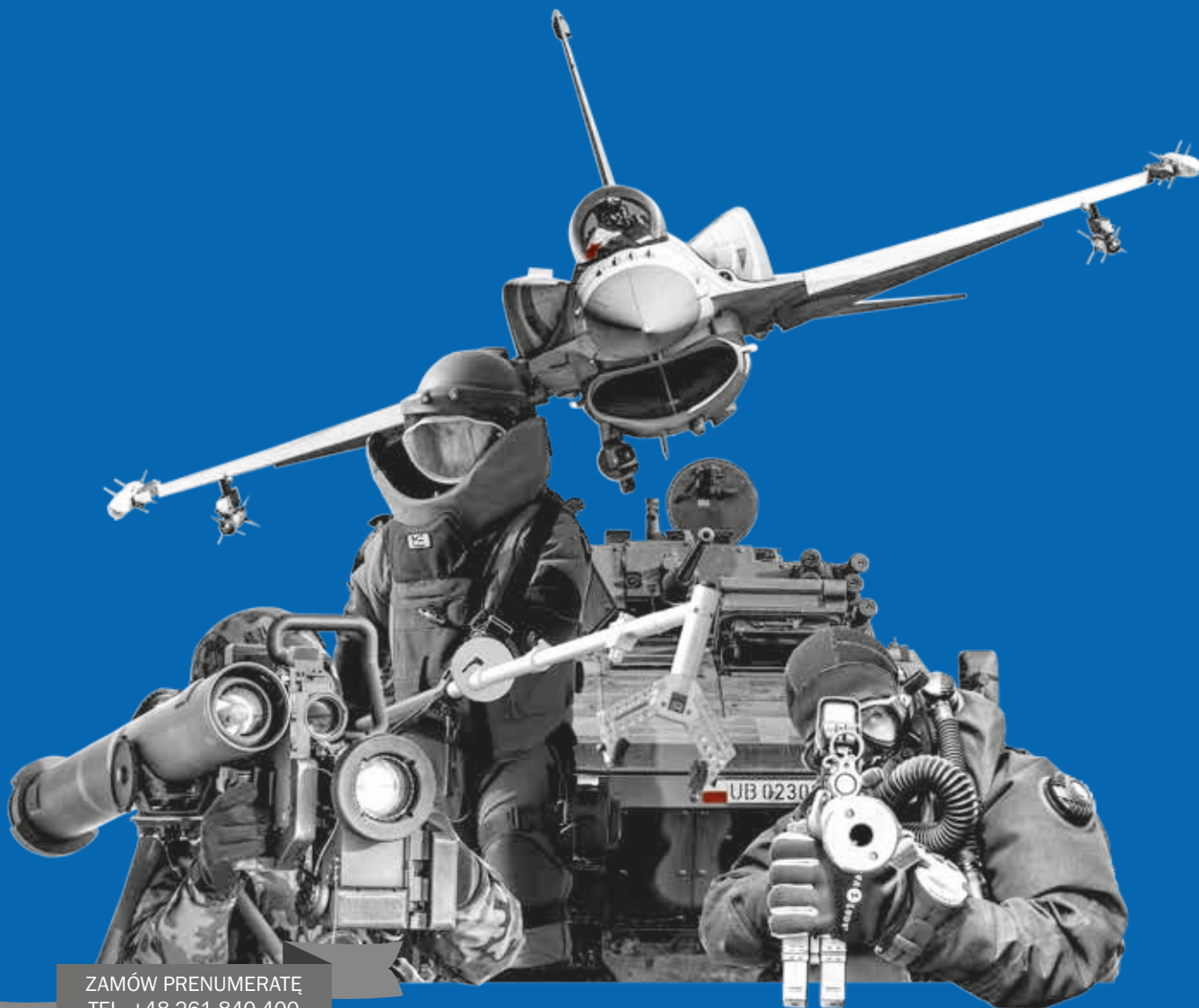
Żołnierze 6 Brygady desantowali się w systemie tzw. wolnego otwarcia. „C-17 leciał z prędkością 240 km/h, czyli taką, jaką w czasie desantowania ma o wiele mniejszy hercules. Przy gabarytach globemastera wydaje się to nierealne. Można odnieść wrażenie, jakby kołos zawisł w powietrzu”, przyznaje mjr Markiewicz. „Skoki wywoływały ogromne emocje, chociaż wykonywali je doświadczeni spadochroniarze. Wielu z nas nie skakało nigdy z pokładu odrzutowca”, przyznaje instruktor spadochronowy 6 Brygady Powietrznodesantowej. O emocjach i stresie wspomina także ppor. Adrian Jaśkowski, żołnierz kompanii rozpoznawczej 6 Batalionu Dowodzenia 6 Brygady Powietrznodesantowej. „Był stres, bo to jest naprawdę ogromny samolot. Podobało mi się najbardziej to, że ma bardzo szeroką rampę i dzięki dużej przestrzeni skoczkowie mają większą swobodę ruchu. Nigdy wcześniej nie skakałem z pokładu C-17. Wrażenie niesamowite, zwłaszcza gdy na wysokości 4 tys. m można spojrzeć w dół przez otwierającą się właśnie rampę samolotu”, opowiada zwiadowca.

Oprócz desantu żołnierzy przygotowano także zrzuty towarowe. Na Pustyni Błędowskiej wylądowało sześć kontenerów, każdy ważył po 750 kg, i cztery platformy po 2,5 t. Kolejne szkolenie z desantowania z pokładu C-17 według polskich przepisów ma się odbyć wiosną 2020 roku. Wówczas skoki wykonywać będą nie tylko doświadczeni skoczkowie, lecz także pozostali żołnierze z innych pododdziałów 6 Brygady. ■

POLSKA-ZBROJNA.PL

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

|WOJSKO
POLSKIE|

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy

KTO WYŁĄCZYŁ ŚWIATŁO?

**Noc zapewnia kamuflaż,
a noktowizja – przewagę nad
przeciwnikiem. Jest niezastąpiona
w działaniach wojsk specjalnych.**

EWA KORSAK

Co sprawia, że na polu walki już na starcie zdobywasz przewagę nad przeciwnikiem? To, że jesteś niezauważony. Takie możliwości daje noktowizja. „Tutaj zasada działania jest bardzo prosta: ja widzę wszystko, a mnie nie widzi nikt”, mówi „Voice”, pilot-instruktor z 7 Eskadry Działań Specjalnych. „To pierwsze, co przychodzi do głowy, gdy mówimy o noktowizji”, zgadza się Tomasz, oficer pionu szkolenia Jednostki Wojskowej GROM. „Nie jest prawdą, że wojska specjalne wykonują operacje tylko w nocy, ale nie ma co ukrywać, że warunki ograniczonej widoczności są naszym sprzymierzeńcem. Wtedy przeciwnik traci czujność, jest zmęczony, zasypia, więc łatwo go zaskoczyć. W ciemnościach operatorzy używają noktowizorów, które dają im dużą przewagę. O ile oczywiście przeciwnik nie ma takiego sprzętu”, dodaje oficer.

IRAK BEZ NOKTOWIZJI

Dziś nikt nie wyobraża sobie prowadzenia skutecznych działań bojowych bez noktowizji. „Uważam, że jest to niemożliwe”, mówi „Voice”. Tymczasem jeszcze kilkanaście lat temu nie było to takie oczywiste. Wprawdzie w noktowizory zostały wyposażone wojska specjalne czy

desantowo-szturmowe, ale już do lotników taki sprzęt nie trafił. Gdy piloci Mi-24, m.in. z 56 Bazy Lotniczej, w 2005 roku polecili do Iraku, w ogóle nie byli przygotowani do lotów z użyciem noktowizji. Nie mieli odpowiednich urządzeń, nie mówiąc już o szkoleniach. „Mi-24 nie miały czarnej kabiny, a przyrządy były podświetlane na czerwono. W takich warunkach używanie noktowizji nie miało by najmniejszego sensu, bo nic nie moglibyśmy zobaczyć”, wyjaśnia mjr Jacek Janowski, pilot-instruktor z 56 Bazy Lotniczej. Polscy żołnierze wojsk specjalnych w nocnych operacjach korzystali z maszyn sojusznicznych armii. „Niestety, wówczas nie mieliśmy możliwości, by współpracować z żołnierzami. Nie lataliśmy w nocy tak nisko, jak tego potrzebowali”, wspomina Janowski.

Nowy rozdział w tej dziedzinie otworzyła dopiero operacja w Afganistanie. Kabiny śmigłowców zmieniono na czarne, a przyrządy na kokpicie oświetliło zielone światło. Trzeba było jeszcze wyszkolić odpowiednich ludzi. „W Polsce nie było instruktorów od noktowizji na Mi-24. Zgodnie z procedurami wybrano dwóch najbardziej doświadczonych pilotów, którzy najpierw szkolili siebie nawzajem, a potem nadawali uprawnienia jeden drugiemu. Ktoś musiał to wszystko zacząć”,



W goglach noktowizyjnych najważniejsze są przetworniki, które wzmacniają obraz. Im są one wyższej generacji, tym lepszy i droższy jest noktowizor. Jego jasność określa również współczynnik wydajności (FOM). Im wyższy, tym mniej światła szczątkowego (np. księżyc) potrzeba, by obraz był jaśniejszy i w lepszej rozdzielczości.

DZIŚ NIKT NIE WYOBRAŻA SOBIE
PROWADZENIA **SKUTECZNYCH**
DZIAŁAŃ BOJOWYCH BEZ NOKTO-
WIZJI. „UWAŻAM, ŻE JEST TO NIE-
MOŻLIWE”, MÓWI „VOICE”. TYMCZA-
SEM JESZCZE KILKANAŚCIE LAT TE-
MU NIE BYŁO TO TAKIE OCZYWISTE

wspomina mjr Janowski. Piloci szybko zdobywali nowe uprawnienia. W Afganistanie już współpracowali z polskimi specjalsami – transportowali ich i osłaniali z góry w czasie prowadzenia działań. „Według mnie był to przełom. Ale nie dla nas, lecz dla polskich pilotów. Zdobywali wówczas wiele doświadczeń w lotach bojowych. My radzieliśmy sobie wcześniej, współpracując na przykład z Amerykanami”, mówi Tomasz.

W Jednostce Wojskowej GROM nauka działania z użyciem noktowizji rozpoczyna się już podczas szkolenia podstawowego operatora, na które jest kierowany po selekcji.

„Nie ma odrębnych kursów. Najpierw żołnierze uczą się wykonywania konkretnych zadań bez noktowizji, potem już z jej użyciem. Tak jak w życiu: najpierw uczysz się chodzić, potem biegać”, tłumaczy Tomasz.



Piloci śmigłowców również najpierw poznają zasady pilotowania w ciągu dnia, dopiero potem wkładają gogle.

„Loty w goglach noktowizyjnych to nie jest dla pilota podniesienie poprzeczki. Powiedziałbym wręcz, że to wielkie ułatwienie. Trzeba tylko nauczyć się ich używać”, wyjaśnia Janowski. „Oczywiście na początku trudności są ze wszystkim”, przyznaje Tomasz. „W noktowizji kąt widzenia wynosi około 40 stopni, czyli znacznie mniej niż naturalnie. Żeby zobaczyć coś z boku, trzeba odwrócić głowę. Nie zerkniesz kątem oka, bo niczego tam nie zobaczysz”, tłumaczy oficer GROM-u. Tomasz przyznaje, że początki szkolenia bywają też... zabawne. „Trudność może sprawić samo poruszanie się w goglach. Zdarza się, że niedoświadczeni operatorzy uderzają nimi w ścianę. Trzeba przywyknąć do tego, że ma się dodatkowe 10 cm na wysokości oczu”, mówi. Chociaż piloci akurat tego problemu nie mają. Siedzą w kabinie, więc nie muszą się poruszać w goglach. „Próbuję sobie przypomnieć więcej trudności związanych z noktowizorami, ale nic mi nie przychodzi do głowy. Choć w sumie problemem może być ich waga. Na początku bardzo bolała mnie szyja, bo ciągle musiałem tak ustawiać głowę, by nie przechylała się do przodu”, wspomina „Voice”.

Po kilku treningach prowadzenie operacji w goglach noktowizyjnych staje się naturalne i dla operatorów działających na lądzie, i dla pilotów. „To jak z jazdą na rowerze. Na początku ciągle myślimy o tym, by nie stracić równowagi. Po jakimś czasie po prostu jedziemy przed siebie”, mówi Tomasz. Oficer przyznaje jednak, że to, jak szybko człowiek oswaja się z noktowizją, zależy od predyspozycji. „W GROM-ie jednak czas szkolenia operatora nie jest krótki i kiedy trafia on do zespołów bojowych, w tego rodzaju działaniach jest na poziomie zaawansowanym. Po tem dalej szlifuje swoje umiejętności”, mówi specjals.

WSPARCIE Z GÓRY

Szkolenie z goglami pilotów śmigłowców, zarówno w 7 Eskadrze Działań Specjalnych, jak i jednostkach przeznaczonych do wsparcia wojsk lądowych, takich jak 56 Baza Lotnicza, trwa około 50 godzin. Według pilota Mi-17 to mało. „Latanie w goglach noktowizyjnych w naszym fachu jest szczególnie ważne. A żeby opanować



NOWY ROZDZIAŁ, JEŚLI CHODZI O UŻY-CIE NOKTOWIZJI, OTWORZYŁA OPERACJA W AFGANISTANIE. KABINY ŚMIGŁOWCÓW ZMIENIONO WÓWCZAS NA CZARNE, A PRZYRZĄDY NA KOKPICIE OŚWIEILIŁO ZIEŁONE ŚWIATŁO

wsparcie w operacjach wojsk specjalnych, ponieważ z góry dostrzegają zagrożenie, którego na ziemi nie widać. Nowoczesne statki powietrzne mają również bardzo silny laser, którego światło może precyzyjnie wskazać cel wojskom specjalnym. Mogą one też skierować słup światła w konkretne miejsce – na przykład na budynek, w którym schronił się przeciwnik. Ale może też być odwrotnie: „Wyobraźmy sobie operację, w której wskazujemy cele dla lotnictwa. Operatorzy obserwują jakiś obiekt i go podświetlają. Niech to będzie duży magazyn z bronią, do którego nie możemy podejść, bo jest zaminowany. W takiej sytuacji mogłyby go zniszczyć właśnie siły powietrzne”, mówi Tomasz. Technologia, która wspomaga widzenie w ciemności, wciąż się rozwija. Powstają urządzenia termowizyjne, kamery SWIR (short-wave infrared) działające w paśmie bliskiej podczerwieni, które pozwalają widzieć w zupełnej ciemności czy we mgle. Wciąż udoskonalana jest też sama noktowizja – urządzenie waży coraz mniej, zwiększane są jego parametry. „Z noktowizorami sprawa nie jest wcale taka oczywista. Albo masz na głowie coś cięższego, albo widzisz gorzej. Zwykle trzeba dostosować sprzęt do rodzaju misji”, wyjaśnia oficer GROM-u. „Niemniej jednak na współczesnym polu walki zdolność widzenia w ciemnościach jest niezbędna. Nie wyobrażam sobie współpracy z wojskami specjalnymi bez noktowizji”, przyznaje „Voice”.

WIESŁAW FRANZAK

dobrze tę sztukę, musimy trenować, czyli latać, latać i jeszcze raz latać”, wyjaśnia „Voice”.

Piloci i operatorzy wyszkoleni do działania z noktowizją tworzą w nocy doskonały zespół. „Można to sobie wyobrazić. Jest ciemno. Słychać, że leci śmigłowiec, ale rozglądasz się i... nic. Nie ma szans, żeby nas dostrzec. No chyba że przelecimy na tle księżycy”, mówi „Voice”. „Wyłączam wszystkie światła i widzą mnie tylko ci, którzy mają noktowizory”, dodaje Janowski. Dzięki temu lotnicy mogą niezauważeni wlecieć w rejon, w którym ze śmigłowca desantują się operatorzy wojsk specjalnych. „Zasada numer jeden w czasie takiej operacji to reżim dotyczący wykorzystywania światła. Nie wolno na przykład postużyć się latarką, bo to zdradziłoby nasze położenie. Często używamy specjalnego światła, widocznego tylko dla tych, którzy mają noktowizory”, tłumaczy Tomasz. Zwraca też uwagę na zupełnie inny aspekt ich działania – mogą stanowić

KPR. KINGA GÓRKA



Data i miejsce urodzenia:

17 lipca 1989 roku, Myślenice.

Edukacja

wojskowa:

Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych w Poznaniu.

W wojsku

służy od:

czerwca 2011 roku.

Zajmowane

stanowisko: magazynier w 6 Batalionie Logistycznym 6 Brygady Powietrznodesantowej.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

spełnienie marzeń o bordowym berecie.

MISJE I ĆWICZENIA:

udział m.in. w ćwiczeniach „Swift Response '15”, „Dragon '17”, „Dragon '19” oraz przygotowujących do dyżuru bojowego w UE, np. „Common Challenge '19”.

NAJLEPSZA BRON:

nie ma potężniejszej broni nad ludzką ambicję.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBA MI SIĘ:

odznaka skoczka wojsk powietrznodesantowych, którą mam zaszczyt nosić na piersi.

GDYBYM MOGŁA ZMIENIĆ COŚ W WOJSKU:

byłyby to zmiany w systemie edukacji.

CO ROBIE PO SŁUŻBIE:

pracuję jako ratownik medyczny.

NIEZAPOMNIANY FILM:

„Życie jest piękne” Roberta Benigniego.



ZDOBYŁAM ELBRUS (5642 M) –
NAJWYŻSZY SZCZYT KAUKAZU

HOBBY:



podróże



motoryzacja



wspinaczka



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. MARIUSZ BIENIEK/6 BPD

Na granicy dwóch żywiołów

Specjalnością plutonu rozpoznania inżynieryjnego 16 Batalionu Saperów jest rozpoznawanie zapór oraz śluz. Aby sprostać tym zadaniom, zwiadowcy biorą udział w cyklicznych ćwiczeniach wodnych.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Zołnierze niepostrzeżenie podpływają na łodziach w rejon śluzy. Gdy jedna drużyna zajmuje brzeg, w tej samej chwili druga z jeziora ubezpiecza kolegów. Wszystko przebiega błyskawicznie. Po kilku minutach łodzie są już ukryte, a zwiadowcy prowadzą obserwację obiektu z pobliskiego zagajnika. Ich celem jest przeniknięcie na teren przeciwnika oraz sporządzenie dokumentacji potrzebnej do przeprawy konwoju czołgów i wozów bojowych.

CIEMNO JAK W TUNELU

„W ramach szkolenia wodnego pododdziałów rozpoznawczych 21 Brygady Strzelców Podhalańskich ćwiczymy rozpoznanie obiektu hydrotechnicznego. W tym miejscu robimy to po raz pierwszy, dlatego trening ten ma dla nas szczególną wartość. Działamy na nieznanym terenie przy zachowaniu wszystkich zasad taktyki oraz na bojowo. Dodatkowo na śluzie, która częściowo jest zalana wodą”, wyjaśnia por. Marcin Janta-Lipiński, dowódca plutonu rozpoznania inżynieryjnego 16 Batalionu Saperów.

Podczas sprawdzania zabudowań znajdujących się przy śluzie zwiadowcy odkrywają prowadzący pod nią ciąg korytarzy. Żołnierze muszą się upewnić, dokąd one prowa-



W CZASIE TYCH
ĆWICZEŃ ŁĄCZĄ
NIEBIESKĄ, ZIELO-
NĄ ORAZ CZARNĄ
TAKTYKĘ

MICHAŁ ZIELIŃSKI





ZWIADOWCY MU-
SZĄ ZMIERZYĆ SZERO-
KOŚĆ PRZEPRAWY, SPRAW-
DZIĆ STAN NAWIERZCHNI ORAZ
UPEWNIĆ SIĘ, ŻE NIE MA W NIEJ
NACHYLEŃ LUB USKOKÓW, KTÓRE
MOGĄ STANOWIĆ ZAGROŻENIE DLA PO-
JAZDÓW. ZADANIEM ŻOŁNIERZY JEST
TAKŻE ROZPOZNANIE DRÓG DOJAZDO-
WYCH. DO WYKONANIA DOKUMENTA-
CJI UŻYWAJĄ DALMIERZY LASERO-
WYCH I APARATÓW FOTOGRA-
FICZNYCH ORAZ TAŚM
MINERSKICH.

MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)



ZWIADOWCÓW Z PODODDZIAŁÓW ROZPOZNAWCZYCH 21 BRYGADY STRZELCÓW PODHALAŃSKICH ŁĄCZĄ WSZECHSTRONNOŚĆ I PROFE- SJONALIZM



dzą, oraz sprawdzić, czy nie są zaminowane. Przeczesywanie tuneli utrudniają ograniczone oświetlenie i świadomość, że za każdym rogiem może kryć się przeciwnik. W takich sytuacjach nie ma miejsca na najmniejszy błąd.

„Cały czas łączymy niebieską, zieloną oraz czarną taktykę. Nasi nurkowie pod wodą zbierają informacje o głębokości, rodzaju dna oraz stanie śluży. Tak samo jak w środowisku wodnym, musimy swobodnie poruszać się także wewnątrz budynków oraz w tunelach”, tłumaczy porucznik.

Kiedy okazuje się, że obiekt jest bezpieczny, zwiadowcy przystępują do zbierania danych. Muszą zmierzyć szerokość przeprawy, sprawdzić stan nawierzchni oraz upewnić się, że nie ma w niej nachyleń lub uskoków, które mogą stanowić zagrożenie dla pojazdów. Rolą żołnierzy jest także rozpoznanie dróg dojazdowych.

Do wykonania dokumentacji używają dalmierzy laserowych, aparatów fotograficznych oraz taśm minerskich. Mimo presji czasu do zadania muszą podejść z dużą starannością, bo nie będą mogli go powtórzyć.

50 METRÓW POD WODĄ

Część ćwiczeń przeprowadzonych na Jeziorze Tarnobrzeskim przeznaczona była dla pływaczek z plutonu rozpoznania inżynieryjnego. Doskonali oni umiejętności poszukiwania zatopionych

obiektów i transportowania ich na powierzchnię. Szkolili się także z zaawansowanych technik nurkowania oraz reagowania w sytuacjach awaryjnych.

Jednym ze zwiadowców nurków jest szer. Grzegorz Czarnecki z plutonu rozpoznania inżynieryjnego 16 Batalionu Saperów. „Pod wodą musimy przygotować taką samą dokumentację jak w działaniach lądowych. Wykorzystujemy do tego specjalne tabliczki. Służą one nie tylko do sporządzania rysunków i notatek dotyczących zadania, lecz także do zapisania profili głębokości”, wyjaśnia żołnierz. Podczas prac podwodnych zwiadowcy używają aparatów fotograficznych zamontowanych w wodoszczelnych obudowach.

Nurkowie zaznaczają, że ich profesja wymaga nieustannej nauki. Od perfekcyjnego opanowania każdej umiejętności zależy nie tylko powodzenie operacji, ale przede wszystkim ich życie. Nie wolno przy tym zapominać o fundamentach, takich jak pływanie w umundurowaniu czy holowanie rannego.

„W zależności od uprawnień schodzimy na głębokość 20 lub 50 m. Jezioro Tarnobrzeskie umożliwia przeprowadzenie takiego ćwiczenia, ale przy nurkowaniu głębokim trzeba mieć na uwadze nie tylko cel misji, ale także bezpieczeństwo własne i kolegów. Jednym z poważnych zagrożeń jest choroba dekompresyjna. Aby jej uniknąć, należy wynurzać się powoli i z przystankami, żeby zebrane w organizmie pęcherzyki gazów obojętnych nie rozprężyły się gwałtownie na powierzchni”, zaznacza szer. Czarnecki.

Niezależnie od specjalizacji, rodzaju misji oraz wynikających z niej zagrożeń, zwiadowców z pododdziałów rozpoznawczych 21 Brygady Strzelców Podhalańskich łączy wszechstronność i profesjonalizm. To właśnie te cechy pozwalają im odnaleźć się zarówno na wodzie, jak i pod jej powierzchnią. ■

JAK PRZEŻYĆ NA DNE

Na morzu dochodzi do katastrofy promu. Statek osiada na dnie, ale w niezalanych częściach kadłuba ciągle przebywają żywi ludzie. Polscy marynarze wiedzą, jak ich uratować.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

W pobliżu włoskiej wyspy Giglio 13 stycznia 2012 roku doszło do katastrofy. Potężny prom „Costa Concordia” zahaczył o podwodną skałę, która wybiła dziurę w jego kadłubie. Statek zaczął przechylać się na prawą burtę i ostatecznie osiadł na mieliźnie. Część jednostki znalazła się pod wodą. Choć pogoda była dobra, a uszkodzony prom znajdował się zaledwie niecałe 100 m od brzegu, w katastrofie zginęły 32 osoby. Spora grupa pasa-

żerów utknęła w częściowo zalanych wnętrzach i ratownicy nie mogli szybko do nich dotrzeć. Pierwszy problem, z jakim się zderzyli, to pokonanie burty pochylonego statku.

Światowe media przez długie tygodnie informowały o tragedii. Dziennikarze koncentrowali się przede wszystkim na postawie kpt. Francesca Schettiny, który zaraz po wypadku uciekł z pokładu i porzucił blisko tysiąc pasażerów. Eksperci zwrócili jednak uwagę na coś zupełnie innego.

GERASIMOVICH/OLEKSANDR/SHUTTERSTOCK



„Analiza przeprowadzonej wówczas akcji ratowniczej pokazała, że istnieje luka w przygotowaniu służb na wypadek tego rodzaju katastrof”, podkreśla kmdr dr hab. inż. Ryszard Kłos z Akademii Marynarki Wojennej.

KUCHARZ W GŁĘBINACH

Pierwsi na ten problem zareagowali Szwedzi. Nic dziwnego, skoro Bałtyk uchodzi za najbardziej zatłoczone morze na świecie. „Ruch jest oczywiście stale nadzorowany, a ostatnio nie dochodziło w tym rejonie do większych kolizji. Nie można jednak wykluczyć katastrofy”, uważa kmdr Kłos. Dlatego właśnie Szwecja już w 2013 roku rozpoczęła projekt z udziałem służb ratowniczych, specjalistów od nurkowania oraz na-

ukowców. Nosił on kryptonim „DykSMART” i miał przynieść odpowiedź na pytanie, w jaki sposób nieść pomoc pasażerom, którzy po zatonięciu statku zostali uwięzieni pod wodą. Projekt Szwedów stał się inspiracją dla międzynarodowego przedsięwzięcia pod nazwą „DiveSMART Baltic”, sfinansowanego przez Unię Europejską. Wzięły w nim udział państwa leżące nad Bałtykiem – w tym Polska, którą reprezentowały m.in. Akademia Marynarki Wojennej, Ośrodek Szkolenia Nurków i Płetwonurków Wojska Polskiego oraz Dywizjon Okrętów Wsparcia z 3 Flotylli.

Tymczasem życie szybko dostarczyło kolejnych materiałów do analizy. W maju 2013 roku na Atlantyku w pobliżu Nigerii na dno poszedł holownik „Jascon”. Osiadł na głębokości 30 m. Trzy dni później pod wodę zeszli nurkowie, żeby przeprowadzić inspekcję wraku. Jeden z nich przypadkowo odkrył, że w wytworzonej we wnętrzu kadłuba poduszce powietrznej przebywa żywy człowiek. Okrętowy kucharz Harrison Okene przetrwał w oceanie 62 godziny. W kwietniu 2014 roku u wybrzeży Korei Południowej zatonął z kolei prom „Sewol”. Wcześniej odwrócony do góry dnem statek przez długi czas dryfował po powierzchni. „Ratownicy przez bulaje w jego burtach widzieli uwięzionych pasażerów, ale nie byli w stanie do nich się dostać”, tłumaczy kmdr por. Robert Szymaniuk, komendant Ośrodka Szkolenia Nurków i Płetwonurków WP. Ostatecznie w katastrofie śmierć poniosło ponad 300 osób.

Zatonięcie statku nie powinno oznaczać końca akcji ratunkowej, bo w jego wnętrzu mogą znajdować się żywi ludzie. W przestrzeniach, które nie uległy zalaniu, są w stanie przetrwać długo, w skrajnych wypadkach nawet kilkadziesiąt godzin. Pozostaje pytanie, w jaki sposób się do nich dostać ➔

TRAGEDIA PASAŻERÓW „COSTA CONCORDII” POKAZAŁA, ŻE SŁUŻBY RATOWNICZE NIE SĄ PRZYGOTOWANE NA TEGO TYPU KATASTROFY





i jak skutecznie wydobyć ich na zewnątrz. I przede wszystkim: kto miałby to robić?

PODWODNY LABIRYNT

W Polsce najlepiej przygotowana do tego rodzaju działań jest marynarka wojenna. Ma wysoko wykwalifikowanych nurków, którzy mogą wykonywać zadania na głębokości sięgającej 90 m. „Nurkowie szkolą się przede wszystkim w niesieniu pomocy załogom uszkodzonych okrętów podwodnych, które osiadły na dnie morza. Sprzęt i procedury wykorzystywane podczas takich akcji mogą się przydać również do penetracji wraków cywilnych. Mówimy tutaj o tzw. technologii podwójnego przeznaczenia”, przyznaje kmr Kłos. Pozostaje kwestia skali i okoliczności. „Nurkowie w takich akcjach muszą działać w niestabilnej przestrzeni, bo wrak w każdej chwili może się poruszyć, zmienić położenie. Poza tym czeka na nich płatanina częściowo zalanych korytarzy”, wylicza kmr por. Szymaniuk. „Należy też pamiętać, że w tym wypadku potencjalne ofiary to cywile, więc nie znają technik samoratownictwa. Można założyć, że przynajmniej część z nich ulegnie panice.

W jaki sposób bezpiecznie pokonać z nimi drogę do wyjścia? Przecież aby dotrzeć do miejsca, w którym się znaleźli, potrzeba było profesjonalnego sprzętu i umiejętności szkolącego się przez lata nurka!”, podkreśla oficer.

A na tym nie koniec. „Niekontrolowane wypłynięcie z wraku może wywołać u poszkodowanych chorobę dekompresyjną. Tak więc z jednej strony, podczas tego rodzaju akcji ratunkowych kluczowa kwestia to czas. Z drugiej jednak, niewskazany jest nadmierny pośpiech. Musimy być technicznie przygotowani na dekompresję tych osób w warunkach kontrolowanych”, tłumaczy komendant OSNiP-u.

Jak bardzo złożony jest to problem, można się było przekonać choćby podczas serii ćwiczeń, które towarzyszyły programowi „DiveSMART Baltic”. W 2018 roku na jednym z nich w fińskim mieście Kotka Polskę reprezentowało dziesięciu nurków z OSNiP-u oraz dOW 3 Flotylli, dwóch policjantów, a także przedstawiciel Morskiej Służby Poszukiwania i Ratownictwa (SAR).

„Do Finlandii zabraliśmy ciężki sprzęt nurkowy, choćby hełmy KM-37, różnego rodzaju narzędzia do prac podwodnych czy pontony wydobywcze”, wylicza kmr por. Szymaniuk. Pierwszym zadaniem, z którym musieli się zmierzyć nurkowie, było wejście na pokład statku „Turva”, należącego do fińskiej straży granicznej. Miał wysokie na 10 m burty,

W „DIVESMART BALTIC” WZIĘŁY UDZIAŁ PAŃSTWA LEŻĄCE NAD BAŁTYKIEM. POLSKĄ REPREZENTOWAŁY M.IN. AKADEMIA MARYNARKI WOJENNEJ, OŚRODEK SZKOLENIA NURKÓW I PŁETWONURKÓW WOJSKA POLSKIEGO ORAZ DYWIZJON OKRĘTÓW WSPARCIA Z 3 FLOTYLLI

więc znakomicie nadawał się do imitowania częściowo zatopionego promu. Ćwiczący wspinali się na burtę bez pomocy załogi, a następnie wciągali na górę sprzęt ważący kilkadziesiąt kilogramów. Z pokładu schodzili wprost pod wodę, by przeszukać rozmieszczone na dnie kontenery. W ich wnętrzu znajdowały się korytarze i pomieszczenia, w toni unosiły się walizki, koce i manekiny udające ciała ludzi. Nurkowie wydobywali je na powierzchnię. W pobliżu znajdowały się też częściowo zanurzone kontenery. Siedzieli w nich ludzie, których należało wyprowadzić na zewnątrz.

Polscy marynarze spędzili w Kotce pięć dni. Ćwiczyli zarówno w dzień, jak i w nocy. „Na wiele problemów, z którymi musieliśmy się tam zmierzyć, byliśmy przygotowani. Inne nas zaskoczyły, ale myślę, że sobie z nimi poradziliśmy”, wspominał kmr por. Szymaniuk krótko po zakończeniu ćwiczeń. „Z Finlandii przywieźliśmy mnóstwo nowych, cennych doświadczeń i materiału do analizy”.

CZAS NA PROCEDURY

Program „DiveSMART Baltic” dobiegł już końca. „Pozwolił nam uświadomić sobie, w którym miejscu jesteśmy, jakie mamy możliwości, jeśli chodzi o niesienie pomocy rozbitkom we wrakach. Następnym krokiem jest stworzenie precyzyjnych procedur pozwalających sprawnie przeprowadzić ewentualną akcję”, podkreśla kmr Kłos. „Już teraz można założyć, że w wypadku zatonięcia np. promu akcja ratunkowa w jego wnętrzach nie będzie prowadzona przez służby jednego państwa. Podobnie dzieje się, kiedy trzeba ratować załogę okrętu podwodnego. Skomplikowana operacja wymaga zaangażowania mnóstwa sił i środków. Dlatego powstała specjalna międzynarodowa instytucja ISMERLO [International Submarine Escape and Rescue Liaison Office], która ma koordynować tego rodzaju przedsięwzięcia”, dodaje. Zdaniem kmr por. Szymaniuka położone nad Bałtykiem państwa do prowadzenia działań ratowniczych we wrakach są przygotowane w różnym stopniu. „Duże możliwości ma Finlandia, ale też Polska – właśnie za sprawą świetnie wyszkolonych nurków głębokowodnych”, podkreśla oficer. „Teraz trzeba przejść od możliwości do realnych zdolności, czyli wypracować pewne mechanizmy. W Polsce zajmuje się tym Morska Służba Poszukiwania i Ratownictwa, która koordynuje wszystkie działania ratownicze w naszym rejonie odpowiedzialności”, podsumowuje kmr por. Szymaniuk. ■



TRIADA BIEGOWA
ZABIEGAJ O PAMIĘĆ



31. BIEG
NIEPODLEGŁOŚCI



AKTYWNA
WARSZAWA

11 XI 2019

WARSZAWA

DYSTANS 10 km
START 11:11

ZAPISY ▶ WWW.AKTYWNAWARSZAWA.PL  **AKTYWNAWARSZAWA**

**POLSKA
ZBROJNA**

Rozumiemy się bez słów

Z Iloną Szczepkowską o trudnej służbie w rozpoznaniu i o tym, że armia pomaga w rozwoju zawodowym rozmawia Bogusław Politowski.

Mundur to świadomy wybór? Wojsko jest w moim życiu tak naprawdę od urodzenia. Tata był żołnierzem. Ja od dziecka chciałam iść w jego ślady, ale po szkole średniej znalazłam zatrudnienie w hotelarstwie.

W końcu jednak włożyła pani mundur?

Byłam zadowolona z pracy. Nieźle zarabiałam, ale to nie było to. Zebrałam się na odwagę i złożyłam dokumenty w wojskowej komendzie uzupełnień. 5 maja 2015 roku po raz pierwszy włożyłam mundur. Wyjechałam do Torunia i w centrum artylerii odbyłam czteromiesięczne szkolenie służby przygotowawczej do narodowych sił rezerwowych.

To był pierwszy krok, ale nie poprzestała pani na służbie w NSR-ze.

W lutym 2017 roku zgłosiłam się na kwalifikację do 9 Pułku Rozpoznawczego w Lidzbarku Warmińskim. Choć test sprawności fizycznej zaliczyłam na ocenę bardzo dobrą, usłyszałam, że w jednostce nie ma wolnych etatów. Nie odpuściłam. Byłam bardzo uparta i zdeterminowana, systematycznie dowiadywałam się, czy coś się zmieniło. Po krótkim czasie etat się znalazł. 26 czerwca 2017 roku rozpoczęłam pracę jako kierowca radiotelefonista. Byłam wówczas drugą kobietą, która służyła w kompanii dalekiego rozpoznania w moim pułku.

Od razu trafiła pani do elity rozpoznania. To dopiero było wyzwanie...

Nie było lekko. Pierwszy dzień służby rozpoczął się dla mnie od intensywnego treningu. Kompania miała zaliczyć bieg nad jezioro. Tam były zajęcia siłowe, a później powrót do koszar, znowu biegiem. Po 4 km w jedną i drugą stronę. Dałam radę, ogólnie lubię biegać. Czułam jednak, że jestem uważnie obserwowana. Dowódcy ocenili, że było nieźle.

Nie odstawałam od kolegów. Okazało się, że to dopiero początek. Po dwóch miesiącach zostałam skierowana na dwutygodniowy kurs spadochronowy grupy A. Skakaliśmy w Pruszczu Gdańskim. Dla niedawnej barmanki było to wielkie wyzwanie. Emocjonalnie doświadczyłam tam wszystkiego – od ciekawości po wielki strach, czy spadochron się otworzy. Wykonałam pięć skoków i otrzymałam tytuł skoczka spadochronowego.

Można odnieść wrażenie, że początek służby był miły, łatwy i przyjemny...

Nie zawsze. Były też chwile zwątpienia. Kiedyś na poligonie zaplanowano nam trzydniowy marsz połączony z bytowaniem w norkach [namiotach jednoosobowych] w przygodnym terenie i ze wspinaczką górską w nakazanym miejscu. To były bardzo gorące dni września. Łącznie pokonaliśmy prawie 90 km. Każdy z nas miał broń i całe wyposażenie, czyli dźwigał



ARCH. ILONY SZCZEPKOWSKIEJ

ROBIMY W ZASADZIE WSZYSTKO TO, CO ŻOŁNIERZE INNYCH RODZAJÓW WOJSK, ALE MY MUSIMY POZOSTAĆ NIEWIDZIALNI

około 25 kg. Ostatniego dnia miałam kryzys. Obtarte nogi, dyskomfort z powodu braku możliwości umycia się i obolałe całe ciało dawały się we znaki. 5 km przed celem zabrakło mi sił. Koledzy przemówili mi do rozsądku i przekonali, że niekiedy nie można tracić czasu na walkę z samym sobą. Z ich pomocą udało mi się dotrzeć na miejsce.

W tak specyficznym pododdziale musiała się pani wiele nauczyć...

Zwiadowcy muszą wiele umieć. Trenujemy wspinaczkę górską, jazdę na nartach, zjazdy na linie. Dookoła mamy techniki pływania i pokonywania przeszkód wodnych na różne sposoby. Podstawą są strzelania, w tym wiele sytuacyjnych. W strzelaniu w pozycji leżącej idzie mi dobrze, gorzej jednak, kiedy kłęczę lub stoję. To jest kwestia siły w rękach i panowania nad odrzutem broni. Staram się w miarę możliwości korzystać z tego, co daje wojsko, zdobywać nowe doświadczenia. Naprowadzanie śmigłowca, strzelanie z UKM-u, PK, granatnika, rzuty granatem i wiele innych ciekawych rzeczy. Robimy w zasadzie wszystko to, co żołnierze innych rodzajów wojsk, ale my musimy pozostać niewidzialni. Dlatego tak ważne są kamuflaż i maskowanie. Gdy organizujemy dywersję, zasadzkę, wejście do budynku, wszystko ma się odbywać po cichu i jak najszybciej. U nas ludzie muszą się rozumieć bez słów...

Zwiadowcy często doposażają się we własnym zakresie. Pani też wybrała się na zakupy?

Podobnie jak wielu zwiadowców, zaopatrzyłam się m.in. w dobrej klasy pas taktyczny, buty, plecak, czapkę kominiaarkę i dodatkowe kieszenie do pasa taktycznego. Koledzy podpowiedzieli mi, co powinnam kupić, i zaufałam ich doświadczeniu.

Poligony to nie wszystko, reprezentowała pani również jednostkę w różnych zawodach sportowych...

Startowałam na przykład w pięcioboju wojskowym. Trzeba pokonać naziemny i wodny tor przeszkód, przebiec 4 km, strzelać i rzucać granatem. Brałam także udział m.in. w biegach przełajowych i zawodach pływackich.

Trudną służbę udaje się pani połączyć ze studiami...

Wkrótce po przyjęciu do jednostki rozpoczęłam naukę w Olsztyńskiej Szkole Wyższej na kierunku wychowanie fizyczne. Zaczynam już specjalizację.

Pierwszy kierunek, czyli pływanie, z pewnością przyda się w służbie, a fitness – być może kiedyś w życiu prywatnym. Moim marzeniem jest po zakończeniu studiów cywilnych rozpoczęcie kolejnych, w szkole oficerskiej. Wojsko jak mało która instytucja pomaga zdobywać wykształcenie i stwarza duże możliwości w rozwijaniu kariery zawodowej.

Nie służy już pani w tak zwanej bojówce?

Nadal jestem w kompanii dalekiego rozpoznania, tyle że nie kierowcą, lecz kancelistą-ratownikiem. Nie oznacza to jednak, że cały czas siedzę za biurkiem. Marsz po górach, o którym wspominałam, zaliczyłam, gdy już nie byłam w bojówce. Niedawno ukończyłam kurs ratownictwa pola walki. W tej dziedzinie czeka mnie jeszcze wiele szkoleń. Nadal biorę udział w ćwiczeniach, różnych szkoleniach taktycznych i strzelaniach. Razem z kompanią wyjeżdżam na poligony. Nadal jestem zwiadowcą...

Nie żałuje pani decyzji o wstąpieniu do wojska?

Absolutnie nie. Bardzo lubię to, co robię. Praca jest ciekawa, pozbawiona monotonii. Mam możliwość rozwoju. Uważam, że to jest jedna z kilku najlepszych rzeczy, jakie mnie w życiu spotkały. To, że kobieta służy w wojsku, świadczy tylko o jej sile i niezależności. ■

ILONA SZCZEPKOWSKA
jest żołnierzem kompanii
dalekiego rozpoznania
9 Warmińskiego Pułku
Rozpoznawczego.

**ZWIADOWCY
MUSZĄ WIELE
UMIEĆ. TRENUJEMY
WSPINACZKĘ GÓRSKĄ,
JAZDĘ NA NARTACH,
ZJAZDY NA LINIE.**



Życie po zdjęciu munduru

Potrafia zarządzać ludźmi i działać pod presją czasu, znają języki obce, często są specjalistami w dziedzinach, w których o fachowców naprawdę trudno. Byli żołnierze stają się łakomym kąskiem na rynku pracy.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Wojskowi są bardzo zmotywowani i na co dzień zajmują się zaawansowanymi technologiami. Wiedzą, jak odnaleźć się w pełnym wyzwani i szybko zmieniającym się otoczeniu”, podkreśla Gillian Russel. Sama przez 18 lat służyła w brytyjskiej Royal Navy. Była m.in. oficerem w załodze lotniskowca HMS „Invincible”, gdzie odpowiadała za logistykę. Dziś pracuje w Amazonie, największym na świecie przedsiębiorstwie z branży e-commerce, czyli handlu elektronicznego. Zajmuje się rekrutacją byłych żołnierzy.

Kompleksowy projekt zatrudniania byłych wojskowych ruszył w USA pięć lat temu. Jak zapewniają szefowie Amazona, przyniósł tak dobre rezultaty, że firma postanowiła go rozszerzyć na inne kraje. „W Polsce funkcjonuje od ponad roku”,

ARMIA NADAL CIESZY SIĘ OPINIĄ ATRAKCYJNEGO PRACODAWCY, ALE ODEJŚCIE ZE SŁUŻBY WCALE NIE MUSI OZNACZAĆ STOCZENIA SIĘ W ZAWODOWĄ PUSTKĘ

informuje Marta Rzetelska, rzecznik lokalnej filii koncernu. „Rekrutujemy na wiele stanowisk: od tych na poziomie podstawowym po menadżerskie. Szeregowy może dołączyć do nas jako pracownik niższego szczebla, rozwijać swoją karierę i awansować. Z kolei jako zarządzających szukamy oficerów i podoficerów, którzy służyli w wojsku przynajmniej przez pięć lat, a optymalnie od siedmiu do dziesięciu”, tłumaczy. Ważne, by mieli doświadczenie dowódcze.

Byli żołnierze, jak wyjaśnia Rzetelska, przechodzą rekrutację. Jeśli zakończy się ona powodzeniem, mogą objąć posadę menadżera zespołu logistycznego i kierować nawet stoma osobami, z czasem zaś awansować na stanowisko menadżera logistycznego. Zarządza on pracą kilku zespołów logistycznych, a liczba jego podwładnych sięga od pięciuset do tysiąca osób. „Jesteśmy bardzo zadowoleni z dotychczasowych wyników rekrutacji w Polsce”, zapewnia Rzetelska.

Jednym z byłych oficerów, którzy skorzystali z oferty amerykańskiego koncernu, jest Łukasz Boguszewski. Wcześniej służył m.in. w lotnictwie marynarki wojennej czy Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. W Amazonie pracuje na stanowisku menadżera operacyjnego. Niedawno w rozmowie z „Rzeczpospolitą” swoje obowiązki porównał do pracy w wojskowym centrum operacyjnym. „Amazon ceni te zdolności żołnierzy, które są w armii ciągle rozwijane: zarządzanie zespołami, pracę w zmiennym środowisku, podejmowanie ryzyka i decyzji wobec deficytu czasu”, mówił.

KOLEJ NA BIZNES

Program pozyskiwania do pracy byłych wojskowych nadal ma posmak nowości. Amazon nie jest jednak wyjątkiem. Duże koncerny coraz chętniej zatrudniają osoby, które w przeszłości służyły w armii. Niedawno na przykład kompleksową współpracę z amerykańską armią nawiązała firma BMW. Byli żołnierze US Army z niższymi stopniami są zatrudniani w salonach samochodowych jako pracownicy techniczni. Kilka lat temu podobną umowę z kanadyjskim wojskiem podpisały tamtejsze koleje. Donosił o tym korespondent Polskiej Agencji Prasowej. Na dowód tego, że po przejściu do cywila można za oceanem osiągnąć wiele, przytaczał serię przykładów z tamtejszych korporacji. Emerytowanym oficerem, weteranem wojny w rejonie Zatoki Perskiej jest Keith Creel, szef koncernu transportowego Canadian Pacific Railway. Służbę w mundurze ma za sobą także Tim Hodgson, były szef Goldman Sachs Canada.

Podobne przykłady można znaleźć również w Polsce. Wystarczy wspomnieć emerytowanego gen. Włodzimierza Nowaka, który jako wojskowy był na przykład dyrektorem Departamentu Informatyki i Telekomunikacji MON, a także dyrektorem operacyjnym natowskiej instytucji NCSA (NATO

CIS Services Agency). Po odejściu do cywila dołączył do zarządu firmy T-Mobile Polska. Jest dyrektorem ds. prawnych, bezpieczeństwa i zarządzania zgodnością. „Ma bardzo szerokie doświadczenie i kompetencje z zakresu cyberbezpieczeństwa. Zdobywał je zarówno w Ministerstwie Obrony Narodowej, jak i Ministerstwie Cyfryzacji”, tłumaczy Katarzyna Sosnowska z Departamentu Komunikacji Korporacyjnej T-Mobile Polska i dodaje, że choć firma nie prowadzi systemowych działań w celu pozyskania do pracy byłych żołnierzy, to na wielu stanowiskach pracują osoby o takiej przeszłości zawodowej.

Zgodnie z przepisami ci, którzy opuścili wojsko, mogą skorzystać z pomocy ośrodków aktywizacji zawodowej. Obejmuje ona doradztwo, szkolenia, ale też pomoc w przekwalifikowaniu się w ramach tzw. rekonwersji. Żołnierz ma prawo skorzystać z niej nawet dwa lata po zdjęciu munduru. W zależności od stażu w armii, może na ten cel otrzymać aż 8,2 tys. zł. W 2018 roku przekwalifikowanie rozpoczęło 3,7 tys. wojskowych, głównie z korpusu podoficerów. „Spywają do nas oferty pracy, choćby od firm z branż telekomunikacyjnej, informatycznej, logistycznej czy transportowej. Jednak mniej więcej 90% osób, które tu przychodzą, zwykle już wie, co będzie robić w przyszłości”, przyznaje Daniel Grzelak, dyrektor Centralnego Ośrodka Aktywizacji Zawodowej w Warszawie.

STERY W DOBRYCH REKACH

Niektórzy z nich po zdjęciu munduru idą drogą, która wydaje się najbardziej oczywista. Jedni zasilają koncerny zbrojeniowe, inni na uczelniach i w szkołach wyższych wykładają przedmioty związane z bezpieczeństwem, kolejni dołączają do firm zajmujących się szeroko pojętą ochroną – na przykład statków. Paweł Kalinowski znalazł pracę w Lotniczym Pogotowiu Ratunkowym. Wcześniej przez lata służył w Brygadzie Lotnictwa Marynarki Wojennej, gdzie był pilotem śmigłowca ratowniczego Anakonda. Dosłużył stopnia kapitana. „Odszedłem w wieku 44 lat, by spróbować czegoś innego. Więcej latać, usiąść za sterami nowego śmigłowca. A doświadczenie wyniesione z armii bardzo mi w tym pomogło”, przyznaje. Przede wszystkim jako wojskowy pilot spędził w powietrzu blisko 1700 godzin. To o 700 więcej niż musi mieć na koncie kandydat na dowódcę załogi LPR-u. Do tego Kalinowski mógł się pochwalić licencją cywilną, którą zdobył jeszcze podczas studiów w Dęblinie. „Teraz LPR samo szkoli pilotów. Niedawno kupiło specjalnie przeznaczone do tego śmigłowce. Ale cztery lata temu, kiedy przyszedłem tutaj do pracy, nie miało jeszcze takich możliwości. O pilotów z odpowiednimi kwalifikacjami było trudno. Poszukiwanie ludzi z doświadczeniem w armii wydawało się naturalną kolejną rzeczą”, wspomina



Paweł Kalinowski znalazł pracę w Lotniczym Pogotowiu Ratunkowym. Wcześniej przez lata służył w Brygadzie Lotnictwa Marynarki Wojennej, gdzie był pilotem śmigłowca ratowniczego Anakonda. ➔



Gillian Russel przez 18 lat służyła w brytyjskiej Royal Navy. Dziś pracuje w Amazonie, największym na świecie przedsiębiorstwie z branży e-commerce.

i dodaje, że wielu jego kolegów poszło taką drogą jak on. Na początek musiał zapoznać się z nowym sprzętem. „Śmigłowce, którymi latałem w wojsku, miały urządzenia analogowe. Eurocoptery LPR-u wykorzystują oprzyrządowanie cyfrowe. Do tego inna jest specyfika samych lotów”, wylicza Kalinowski. „Doświadczony pilot poradzi sobie z takimi różnicami”, dodaje. Kalinowski formalnie został przydzielony do placówki LPR-u w Olsztynie. Często jednak pełni dyżury w innych częściach Polski, przede wszystkim w Gdańsku. „Przez te cztery lata wylatałem 700 godzin, wyszkoliłem się w korzystaniu z gogli noktowizyjnych. I choć nie zarabiam więcej niż w wojsku, to jestem zadowolony”.

JAK RYBA W WODZIE

Zupełnie inną drogę wybrał Grzegorz Marszałek, który przez kilkanaście lat służył w marynarce wojennej. Dowodził okrętem transportowo-minowym ORP „Kraków”, a jako zastępca dowódcy ORP „Konradziński” wziął udział w misji Stałego Zespołu Sił Obrony Przeciwminowej NATO Grupy 1 (Standing NATO Mine Countermeasures Group One – SNMCMG1). „Jeszcze podczas służby poszedłem na studia podyplomowe z zarządzania projektami na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu. W ich trakcie zostałem zaproszony na rozmowę rekrutacyjną do Objectivity”, wspomina. To międzynarodowa firma z branży IT. Zajmuje się projektowaniem i dostarczaniem oprogramowania, a także utrzymywaniem systemów informatycznych. Marszałek dostał propozycję pokierowania zespołem projektowym w jej polskim oddziale. „Przyjęcie oferty oznaczałoby, że moje zawodowe życie całkowicie się zmieni. Ale była ona na tyle atrakcyjna, że pomyślałem: właściwie, dlaczego nie? Doszedłem do wniosku, że może to już ostatni moment na taką rewolucję”, opowiada. W Objectivity każdy kandydat do pracy musi przejść procedu-



Mjr rez. Szczepan Chrzęszcz, absolwent Wojskowej Akademii Technicznej, do 2012 roku służył w siłach powietrznych. Dziś jest rolnikiem. A ściślej, prowadzi własny biznes – hodowlę pstrągów.

rę rekrutacyjną. „Dostaje do rozwiązania wiele problemów z dziedziny zarządzania zespołem IT i mierzy się z nimi przez cały dzień. Tyle że ja nie miałem wiedzy technicznej. Nie mam też doświadczenia biznesowego”, opowiada Marszałek.

Firma zainteresowała się nim z innego powodu. „Dla nich atrakcyjne były tzw. kompetencje miękkie – wyniesione z wojska umiejętności z dziedziny leadership, czyli przywództwa, oraz sposób podejścia do rozwiązywania problemów”, wspomina oficer. Szefowie firmy przystali na to, by rekrutacja Marszałka przebiegała inaczej. Zaprosili go na pięciomiesięczną praktykę w centrali. Wówczas podjął ostateczną decyzję: złożył wypowiedzenie, przeszedł proces rekonwersji i przeniósł się z Warszawy do Wrocławia”, wyjaśnia



Grzegorz Marszałek, który przez kilkanaście lat służył w marynarce wojennej, dowodził okrętem transportowo-minowym ORP „Kraków”, dziś kieruje kilkunastoosobowym zespołem informatyków.

Marszałek. Do rezerwy został przeniesiony na początku 2018 roku. Dziś kieruje kilkunastoosobowym zespołem informatyków. Organizuje jego pracę, odpowiada za negocjacje i kontakty z klientami, pilnuje terminów realizacji poszczególnych zleceń. „Szybko okazało się, że praca aż tak bardzo nie różni się od tego, co robiłem w wojsku. Jako dowódca okrętu, również kierowałem zespołem. I nie musiałem znać się na wszystkim.

ARCH. P. KALINOWSKIEGO (2)
ARCH. G. MARSZAŁKA

Od specjalistycznych kwestii technicznych miałem dowódców poszczególnych działów i podległych im ludzi”, podkreśla. Marszałek przyznaje, że także dla Objectivity zatrudnienie go było formą eksperymentu. „Firma realizuje pilotażowy program pozyskiwania menadżerów spoza branży IT”. Ostateczny wpływ na moje zatrudnienie miała decyzja jednego ze współwłaścicieli firmy. Był to Brytyjczyk, który na Wyspach zatrudniał w poprzednich firmach ludzi z tamtejszej armii.

Zajęcie zupełnie niezwiązane z wyuczonym zawodem znalazł sobie także mjr rez. Szczepan Chrząszcz, absolwent Wojskowej Akademii Technicznej. Do 2012 roku służył w siłach powietrznych. „Zaczynałem od obsługi myśliwców MiG-21. Potem służyłem w 13 Pułku Lotnictwa Transportowego. W samych Balicach przeszedłem w sumie przez osiem różnych stanowisk. Na końcu byłem dowódcą Eskadry Dowodzenia w 8 Bazie Lotniczej”, wylicza. Dziś jest rolnikiem. A ściślej, prowadzi własny biznes – hodowlę pstrągów. „Jestem jednym z największych producentów w południowej Polsce. Co setny pstrąg wyhodowany w tej części kraju pochodzi ode mnie”, tłumaczy z dumą. Skąd taki właśnie pomysł na zarabianie pieniędzy? „Z hobby”, przyznaje emerytowany major. „Rybami interesowałem się już w dzieciństwie. Miałem w domu akwaria, a na działce strumień. W czasie wolnym od służby założyłem pierwsze stawy”, opowiada. „Osiem lat temu doszedłem do wniosku, że powyżej stopnia majora już się w wojsku nie przebiję. Postanowiłem pójść inną drogą”, dodaje. Chrząszcz zainwestował wszystkie pieniądze, także te, które otrzymał po odejściu z armii, kupił działkę pod Częstochową i wybudował tam stawy hodowlane. Z czasem jego biznes zaczął się rozrastać. „Dziś mam gospodarstwo rybackie, punkt sprzedaży ryb i łowisko”, mówi przedsiębiorca. A w jaki sposób pomogło mu w tym doświadczenie wyniesione z armii? „Prowadzenie biznesu to także pisanie podań, sporządzanie dokumentów, walka z przeciwnościami losu, obsługa różnego rodzaju urządzeń, praca z ludźmi. W wojsku nauczyłem się, jak w uporządkowany, systematyczny sposób poruszać się w gąszczu przepisów”, przyznaje i po chwili dodaje: „Zresztą w mojej branży nie jestem jedyny. Mamy swój Związek Producentów Ryb. Jego wiceprezes Lech Staniszewski to też były żołnierz. Dosłużył się pełnego pułkownika. Kiedyś latał na iskrach”.

Armia nadal cieszy się opinią atrakcyjnego pracodawcy. Paradoksalnie również dlatego, że za sprawą zmian, którym podlega, odejście ze służby wcale nie musi oznaczać stoczenia się w zawodową pustkę. „Dopiero po zdjęciu munduru uświadomiłem sobie, jak mało sami siebie doceniamy”, przyznaje były oficer, a obecnie pracownik dużej międzynarodowej firmy. „Ludzie ciągle jeszcze skłonni są postrzegać żołnierza jako człowieka, który tylko biega z karabinem po lesie. Taki obraz pokutuje zwłaszcza wśród pokolenia, które wyrosło na serialu »Czterej pancerni i pies«. Tymczasem wojsko się zmieniło. Oficerowie mają kontakt z nowoczesnymi technologiami, znają angielski, nieustannie się doszkacają, a przy tym na jednym stanowisku nie spędzają więcej niż trzy lata. Potrafią naprawdę sporo i są elastyczni. A to na cywilnym rynku pracy cecha bardzo pożądana”, podsumowuje. ■

MANEWRY Z KLASĄ

W szkołach średnich powstaną oddziały przygotowania wojskowego. To krok milowy na drodze porządkowania systemu klas mundurowych.

PAULINA GLIŃSKA

Nauka w klasach mundurowych staje się atrakcyjna dla coraz większej grupy młodzieży. Zostały one utworzone już w kilkuset szkołach w całej Polsce, ale tylko w części placówek edukacja wojskowa odbywa się według innowacyjnego programu „Certyfikowane wojskowe klasy mundurowe”. Jego wprowadzenie w 2017 roku miało na celu m.in. ujednolicenie szkolenia i przygotowanie młodzieży do służby w armii. Szkoły, które zakwalifikowały się do niego, korzystają ze wsparcia wojska, a absolwenci mogą ubiegać się np. o powołanie do służby przygotowawczej pełnionej w skróconym trybie oraz liczyć na dodatkowe punkty podczas rozmów kwalifikacyjnych do uczelni wojskowych.

Programem zostało już objętych ponad 6,8 tys. uczniów, w tym młodzież z I Liceum Ogólnokształcącego PUL im. 111 Eskadry Myśliwskiej w Wołominie. „Klasy wojskowe prowadzimy od 16 lat. Dzięki temu, że przystąpiliśmy do programu, stało się to o wiele łatwiejsze. Nauka jest ustandaryzowana, zajęcia są doskonale zorganizowane, a samo szkolenie weryfikowane pod kątem jakości”, mówi Agnieszka Kaczyńska, dyrektor placówki w Wołominie.



WALDEMAR ZUBEK, dyrektor Biura do Spraw Proobronnych MON: „Mamy do czynienia z dużą różnorodnością organizacyjną i programową. Nawet jeśli dana szkoła korzysta ze wsparcia wojska w postaci sprzętu czy instruktorów, to my nie mamy żadnego wpływu na sposób organizacji zajęć, standardy ich prowadzenia czy wymagania stawiane uczniom”.

SPÓJNY SYSTEM

Szkoły, które nie realizują programu zaproponowanego przez MON, określają działalność takich klas we własnym zakresie. „Mamy do czynienia z dużą różnorodnością organizacyjną i programową. Nawet jeśli dana szkoła korzysta ze wsparcia wojska w postaci sprzętu czy instruktorów, to my nie mamy żadnego wpływu na sposób organizacji zajęć, standardy ich prowadzenia czy wymagania stawiane uczniom”, tłumaczy Waldemar Zubek, dyrektor Biura do Spraw Proobronnych MON. Dlatego od dłuższego czasu mówiło się o potrzebie systemowego unormowania funkcjonowania klas wojskowych. Chodzi o zaangażowanie wojska w szko-

lenie młodzieży, a także zwiększające się potrzeby sił zbrojnych w kwestii uzupełniania rezerw osobowych. W 2017 roku rozpoczęły się prace nad rozwiązaniami systemowymi. „Od samego początku braliśmy pod uwagę wprowadzenie klas wojskowych do systemu oświaty, coś na wzór klas sportowych. Dzięki temu wsparcie resortu miało by charakter systemowy. Możliwe stałoby się także mierzenie efektów udzielanego wsparcia i dostosowywania go do potrzeb resortu”, wyjaśnia Zbigniew Ciosek, zastępca dyrektora Departamentu Edukacji, Kultury i Dziedzictwa MON.

Efektem kilkuletnich prac jest podpisana przez prezydenta nowelizacja ustawy o prawie oświatowym. Po raz pierwszy pojawił w niej zapis o klasach wojskowych. Zgodnie z nowymi przepisami zmienia one nazwę na oddziały przygotowania wojskowego i będzie można je utworzyć w publicznych i niepublicznych szkołach ponadpodstawowych. Zwiększy się wpływ MON-u na ich działalność, bo resort będzie odpowiadał m.in. za określenie organizacji i form prowadzonych zajęć (w tym liczebność klasy, liczbę zajęć teoretycznych i praktycznych oraz ich tematykę).

SPRAWDZONE ROZWIĄZANIA

Resort obrony w porozumieniu z Ministerstwem Edukacji Narodowej ma także odpowiadać za opracowanie programu szkolenia dla oddziałów. Wiadomo jednak, że zostaną wykorzystane doświadczenia certyfikowanych wojskowych klas mundurowych.

„Ten program miał służyć właśnie przetestowaniu rozwiązań, które moglibyśmy wprowadzić jako celowe”, mówi Zbigniew Ciosek. Jak dodaje, planuje się skumulować zajęcia wojskowe w II i III klasie w ramach przedmiotu obejmującego łącznie 180 godzin teorii i praktyki. „W I klasie zajęcia będą miały charakter przygotowujący, a w IV, kiedy uczniowie szykują się do matury, ich intensywność będzie mniejsza. Wtedy główny wysiłek zostanie

PIERWSI ABSOLWENCI

Wogłoszonych przez resort obrony narodowej trzech edycjach programu nauczania przedmiotu edukacja wojskowa bierze udział w sumie ponad 6,8 tys. uczniów ze 124 szkół. Przed wakacjami ponad tysiąc z nich, jako pierwsi, zakończyło edukację w szkole średniej. Z niemal 1400 uczniów ponad 330 skorzystało z możliwości odbycia skróconej służby przygotowawczej w pięciu jednostkach wojskowych. Po złożeniu przysięgi i zakończeniu tej służby stali się żołnierzami rezerwy.

włożony w utrwalenie praktycznych umiejętności oraz motywowanie do podjęcia służby wojskowej”.

Równolegle do prac nad nowymi treściami programowymi przedstawiciele MON-u przygotowują akty wykonawcze do ustawy. W rozporządzeniach ministra obrony zostaną określone m.in. zasady prowadzenia oddziałów przygotowania wojskowego. „Teraz dyskutujemy nad warunkami i formami zorganizowania zajęć teoretycznych i praktycznych oraz nad liczbą i sposobem rozłożenia godzin w ciągu czterech lat kształcenia”, podkreśla zastępca dyrektora DEKiD MON. W przepisach musi także zostać określony zakres wsparcia udzielanego przez wojsko szkołom prowadzącym oddziały przygotowania wojskowego. Funkcjonowanie klas w nowej formule przyniesie korzyści zarówno armii, jak i uczniom. „Zależy nam na przygotowaniu wartościowych kandydatów do służby wojskowej, zasileniu rezerw osobowych sił zbrojnych, wojsk obrony terytorialnej ochotnikami, a w dalszej perspektywie czasowej zwiększenie liczności sił zbrojnych”, mówi wicedyrektor Ciosek.

WARTO APLIKOWAĆ

O otwarciu oddziału przygotowania wojskowego będzie mogła się ubiegać każda szkoła średnia. Nowością jest to, że aplikująca placówka nie będzie musiała mieć doświadczenia w prowadzeniu tego typu klas. „Do programu pilotażowego przyjmowaliśmy wyłącznie te szkoły, które prowadzą edukację wojskową od kilku lat”, wyjaśnia dyrektor Zubek.

Nie oznacza to jednak, że każda placówka może prowadzić oddziały przygotowania wojskowego. Warunkiem będzie uzyskanie zgody ministra obrony, która zostanie wydana m.in. po zasięgnięciu opinii u właściwego kuratora oświaty oraz szefa wojewódzkiego sztabu wojskowego. „Ważne są m.in. potrzeby rekrutacyjne wojska na danym terenie. W małych powiatach, gdzie będziemy mieli wielu aplikujących i żadnej jednostki wojskowej w okolicy, to z pewnością może być trudne”, tłumaczy Waldemar Zubek.

Pierwsze oddziały przygotowania wojskowego zostaną uruchomione w roku szkolnym 2020/2021. Potem, sukcesywnie co roku otwierane będą kolejne. „Wpisanie oddziałów przygotowania wojskowego w system oświaty to bardzo dobre rozwiązanie. Zachęcam inne szkoły do zgłaszania się, bo wiem, jak duże wsparcie merytoryczne i organizacyjne można w ten sposób dostać”, mówi dyrektor Kaczyńska.

Dyrektor Zubek zapewnia, że klasy uczestniczące w innowacyjnym programie wciąż będą funkcjonować: „Zostały dwa lata do jego końca, dlatego uczniowie mogą kontynuować naukę dotychczasowym trybem. W przyszłym roku ich młodszy koledzy rozpoczną już edukację w oddziale przygotowania wojskowego. Przez pewien czas oba te systemy będą więc działały równolegle”.

Szkoła Doktorska utworzona w Wojskowej Akademii Technicznej jest pierwszą tego typu placówką w wyższym szkolnictwie wojskowym w Polsce. Dlaczego powstała?

Zostało to wymuszone zmianami w kształceniu doktorantów wprowadzonymi tzw. ustawą 2.0. Obowiązujące od 1 października 2018 roku przepisy stanowią, że może ono odbywać się wyłącznie w szkołach doktorskich.

W jakich dziedzinach mogą się kształcić doktoranci?

Będą się kształcić w trzech dziedzinach nauki i siedmiu dyscyplinach naukowych. Jeśli chodzi o nauki inżyniersko-techniczne, mają do wyboru: automatykę, elektronikę i elektrotechnikę, informatykę techniczną i telekomunikację, inżynierię lądową i transport, inżynierię materiałową oraz mechaniczną. Dostępna dyscyplina z nauk społecznych to nauki o bezpieczeństwie, a ze ścisłych i przyrodniczych – nauki chemiczne.

Pierwsza rekrutacja już się zakończyła. Jak przebiegała?

Do oceny kandydata zastosowano trzy zasadnicze grupy kryteriów: wynik ukończenia studiów magisterskich, kwalifikacje i kompetencje kandydata do kształcenia w wybranej dyscyplinie naukowej oraz osiągnięcia naukowe. W odróżnieniu od rekrutacji na dotychczasowe studia doktoranckie, do Szkoły Doktorskiej nie mogli aplikować nauczyciele akademicki i pracownicy naukowcy, co było powszechną praktyką. To istotne ograniczenie, ale ustawodawca przewidział dla tej grupy możliwość przygotowania rozprawy doktorskiej w trybie eksternistycznym.

Ilu doktorantów rozpoczęło kształcenie 1 października?

Do postępowania kwalifikacyjnego przystąpiły 72 osoby. Najwięcej, 31 osób, ubiegało się o siedem miejsc na naukach

o bezpieczeństwie, ostatecznie zwiększyliśmy więc limit przyjęć do dziesięciu miejsc. Kształcenie w nowej formule rozpoczęło 46 osób, w tym 22 absolwentów innych uczelni. Co więcej, spośród przyjętych aż 74% stanowią ci, którzy studia magisterskie ukończyli z wynikiem bardzo dobrym z wyróżnieniem i bardzo dobrym.

Z Piotrem Zalewskim o zmianach w systemie kształcenia doktorantów rozmawia Paulina Glińska.

ZRÓB U NAS DOKTORAT

NOWY PROGRAM JEST BARDZIEJ ZINDYWIDUALIZOWANY, DZIĘKI CZEMU DOKTORANT BĘDZIE MÓGŁ SIĘ SKUPIĆ PRZED WSZYSTKIM NA PRACY BADAWCZEJ

Jakie zmiany w programach kształcenia czekają przyszłych doktorantów?

Przeprowadziliśmy sondaż wśród aktualnych doktorantów, który pokazał, że zajęcia na studiach doktoranckich nie miały atrakcyjnej formy. Nowy program jest bardziej zindywidualizowany, dzięki czemu doktorant będzie mógł się skupić przede wszystkim na pracy badawczej. Kształcenie potrwa osiem semestrów. W miejsce wykładów pojawiły się seminaria i warsztaty. Intencją ustawodawcy było też to, by ten rodzaj kształcenia odbywał się na zasadzie partnerstwa między promotorem a młodym badaczem.

Czy zmieni się sposób oceny wiedzy i umiejętności doktoranta?

Doktoranci nie będą już zdawać egzaminów i otrzymywać ocen końcowych. Te ostatnie zastąpią noty ogólne w systemie zero-jedynkowym, czyli będzie zaliczone lub niezaliczone. Semestralnej oceny postępów doktoranta ma dokonywać zespół naukowców. Nowość wprowadzoną ustawą stanowi też

średokresowa ocena wystawiana po drugim roku kształcenia przez trzyosobową komisję z udziałem osoby spoza uczelni. Negatywna nota będzie skutkować skreśleniem z listy doktorantów.

Ustawa przewiduje stypendium dla doktorantów?

Tak, będą je dostawać wszyscy słuchacze nieposiadający stopnia doktora. Do czasu otrzymania oceny średokresowej miesięczne świadczenie wyniesie co najmniej 37% wynagrodzenia zasadniczego profesora, czyli minimum 2104,65 zł netto. Później może wzrosnąć do wyso-

kości 57%, czyli minimum 3242,29 zł netto. Stypendia doktoranckie będą mogły być wypłacane maksymalnie przez cztery lata.

Co z doktorantami, którzy rozpoczęli studia przed 1 października?

Zgodnie z ustawą studia doktoranckie na dotychczasowych zasadach będą funkcjonowały do końca 2023 roku, czyli w Akademii do tego czasu będą zarówno doktoranci wygaszanych studiów III stopnia, jak i ci sukcesywnie rekrutowani do Szkoły Doktorskiej. ■

Dr inż. PIOTR ZALEWSKI jest dyrektorem Szkoły Doktorskiej Wojskowej Akademii Technicznej.



MICHAŁ NIWICZ

Od lewej: Michał Krydowski, Weronika Kazimierczak, Jan Adamowicz

Kodowanie licealistów

„Ta szkoła to świetna droga do wojska”, mówią przyszli żołnierze wojsk obrony cyberprzestrzeni.

ANNA DĄBROWSKA

Weronika Kazimierczak z Krotoszyna o Wojskowym Ogólnokształcącym Liceum Informatycznym w Warszawie dowiedziała się od brata, który studiuje w Wojskowej Akademii Technicznej. „Ktoregoś dnia przywiózł do domu informację, że przy uczelni powstaje szkoła średnia o profilu informatycznym”, opowiada Weronika. „Ponieważ chciałam w przyszłości studiować kryptologię i cyberbezpieczeństwo na WAT, uznałam, że to idealna okazja, aby dobrze przygotować się do studiów i poznać uczelnię”, dodaje nastolatka.

Michał Krydowski z Karczewa też myślał o nauce w Akademii i wojskowej karierze. Kiedy do jego gimna-

zjum przyszła wiadomość, że powstaje liceum informatyczne, nie namyślał się długo. „Moim zdaniem to świetna droga do armii”, stwierdza Michał. O mundurze marzył też Janek Adamowicz z Łowicza. „Chciałem dostać się do Ogólnokształcącego Liceum Lotniczego w Dęblinie, potem do Wojskowej Akademii Lotniczej i zostać pilotem, ale wymagania zdrowotne są bardzo wysokie i raczej nie miałbym szans. Wtedy trafiła w moje ręce ulotka informująca o powstaniu liceum wojskowego w Warszawie. Stwierdziłem, że to ciekawa alternatywa, tym bardziej że interesuje mnie kryptologia”, mówi licealista.

Utworzenie w lutym 2019 roku Wojskowego Ogólnokształcącego Liceum Informatycznego jest jednym z ele- ➔



LICEUM MA PRZYGOTOWAĆ

NAJLEPSZYCH KANDYDATÓW DO WOJSKOWEJ AKADEMII TECHNICZNEJ, A W PRZYSZŁOŚCI DO WOJSK OBRONY CYBERPRZESTRZENI

mentów budowy wojsk obrony cyberprzestrzeni. Inne to powstanie Narodowego Centrum Bezpieczeństwa Cyberprzestrzeni, formowanie cyberkomponentu w wojskach obrony terytorialnej oraz zwiększenie na uczelniach wojskowych liczby miejsc na kierunkach związanych z cyberbezpieczeństwem. „Armia poszukuje specjalistów od informatyki i cyberbezpieczeństwa, chcemy wiele z tych kadr wykształcić od początku, stąd projekt powołania szkoły w Warszawie”, tłumaczył wiceminister obrony Tomasz Zdzikot podczas inauguracji roku szkolnego w liceum.

Szkoła ma przygotować najlepszych kandydatów do Wojskowej Akademii Technicznej. MON liczy na to, że absolwenci liceum informatycznego będą kontynuowali naukę na studiach wojskowych na kierunkach informatyka oraz kryptologia i cyberbezpieczeństwo, a w przyszłości wstąpią w szeregi wojsk obrony cyberprzestrzeni.

NAPIĘTY GRAFIK

W pierwszym roku w liceum naukę w dwóch klasach rozpoczęło 52 uczniów z całej Polski (w tym 16 dziewczyn). Połowa z nich to absolwenci gimnazjów, którzy będą się w szkole uczyć trzy lata. Druga klasa przeznaczona jest dla absolwentów ośmioletniej szkoły podstawowej, oni w liceum spędzą cztery lata. „Mamy szczęście, że udało się nam dostać, bo było ponad 500 chętnych”, zaznaczają

licealiści. O przyjęciu, podobnie jak w innych szkołach ponadpodstawowych, decydowały wyniki egzaminu ósmoklasisty lub gimnazjalisty, oceny z języka polskiego, matematyki, fizyki i języka angielskiego oraz wyniki testu z wychowania fizycznego.

„Wszyscy, którzy się dostali, mają bardzo wysokie oceny, ale ponieważ poziom każdej szkoły jest inny i szóstka



MICHAŁ NIWICZ

szóstce nie zawsze jest równa, w przyszłości planujemy dodatkowy test z matematyki, aby sprawdzić rzeczywisty poziom wiedzy kandydatów”, zapowiada Ewa Kacprzyk, dyrektor placówki. Teraz młodych adeptów informatyki czeka sporo pracy, ponieważ oprócz lekcji, które w programie szkolnym mają wszyscy licealiści, przewidziano dla nich dużo zajęć dodatkowych. „Mamy rozszerzony program nauki z matematyki, fizyki i informatyki oraz zwiększoną liczbę godzin języka angielskiego”, wyliczają uczniowie. Będą się też uczyć niemieckiego, przedmiotu edukacja wojskowa, poza tym zwiększono liczbę zajęć wychowania fizycznego. „Chcemy przede wszystkim, aby szkoła pobudzała ich kreatywność, zachęcała do rozwijania zainteresowań, uczyła nie tylko teorii, ale przede wszystkim praktyki”, wyjaśnia pani dyrektor.

Większość kadry szkoły to nauczyciele licealni, natomiast zajęcia dodatkowe poprowadzą wykładowcy z Wojskowej Akademii Technicznej. Liceum zresztą ściśle współpracuje z uczelnią, na której terenie zostało ulokowane. „Udostępniliśmy część naszych pomieszczeń internatowych oraz sale lekcyjne w Studium Języków Obcych”, mówi gen. bryg. Tadeusz Szczurek, rektor-komendant WAT-u. Uczniowie mogą też korzystać z innych elementów infrastruktury Akademii, m.in. obiektów sportowych. „Mamy bardzo dobre warunki, dwuosobowe pokoje, możemy się uczyć w bibliotece WAT-u i chodzić na basen uczelni”, wyliczają licealiści.

POD PATRONATEM AKADEMII

Uczniowie będą też mogli brać udział w zajęciach fakultatywnych organizowanych przez kadrę WAT-u oraz korzystać z laboratoriów i pracowni akademickich, w których na co dzień uczą się studenci i podchorążowie. „Od października w ramach współpracy oferujemy im pozalekcyjne zajęcia dodatkowe w studenckich kołach naukowych, m.in. cybernetycznym”, dodaje gen. Szczurek. Jak tłumaczy, wykładowcy nie będą nastolatków uczyć tak jak słuchaczy. „Zależy nam raczej, aby motywować ich do poszukiwania wiedzy, zwrócić uwagę na możliwości jej wykorzystania oraz praktycznego zastosowania różnych technologii, np. biosensoryki. Licealiści poznają też laboratoria i pracownie automatyki, technologii mobilnych, symulacji wirtualnej. Dowiedzą się, jak budować aplikacje mobilne służące wojsku, np. we wsparciu dowodzenia”, wylicza rektor. Już w pierwszych dwóch tygodniach nauki uczniowie mieli możliwość obejrzenia nowoczesnej pracowni informatycznej. „Plusem jest to, że mamy szansę korzystać z zajęć na WAT.

Poznamy uczelnię i wykładowców, zanim zaczniemy tam studiować”, cieszy się Michał.

„Liczymy na to, że gros absolwentów liceum po maturze będzie u nas kontynuować naukę jako podchorążowie i dzięki dodatkowym zajęciom chcemy ich dobrze do tego przygotować”, podkreśla gen. Szczurek. Z kolei Ewa Kacprzyk dodaje, że szkoła ma za zadanie wykształcić jak najlepszych kandydatów do Akademii i przyszłej służby wojskowej. „Nasi absolwenci będą tak dobrze przygotowani, że dostaną się na WAT bez problemu”, obiecuje dyrektorka.

WRÓCILI WSZYSCY

Liceum oferuje podopiecznym bezpłatne zakwaterowanie w internacie, wyżywienie, opiekę lekarską i umundurowanie. Na podobnych zasadach od kilkudziesięciu lat funkcjonuje lotnicze liceum w Dęblinie. „To szansa dla młodzieży z mniejszych miejscowości lub uboższych rodzin na dobrą edukację”, zaznacza Ewa Kacprzyk. „Dzięki temu nasi rodzice płacą tylko za książki”, dodaje Janek. Jak przyznaje, jego rodzice trochę się denerwowali, że pojedzie tak daleko od domu, ale nauczyciele w szkole przekonywali ich, że liceum to ogromna szansa na ciekawą naukę i dalsze studia. „Moja mama też się martwiła, że szkoła dopiero rusza i nic nie jest do końca wiadome, ale ją przekonałem, że chcę się tutaj uczyć”, dodaje Michał. Z kolei u Weroniki najbardziej zdziwieni jej decyzją o wyborze liceum byli koledzy z klasy i wychowawcy. „Byli w szoku, że zdecydowałam się na taką szkołę, a dla mnie to, że mamy obowiązkowe umundurowanie i zajęcia wojskowe, to zaleta liceum, a nie uciążliwość”, podkreśla Weronika. Podobnie myślą jej koledzy. Jak mówi dyrektor, uczniowie chcą być żołnierzami, sami dopominają się o więcej zajęć z musztry, dopytują podchorążych WAT-u, jak nosić berety i krawaty. „To zaszczyt nosić mundur, możemy już choć trochę poczuć się wojskowymi i w pewnym stopniu być częścią armii, poznać ją od podstaw”, uważa Janek.

„Po pierwszym tygodniu nauki i wizycie podczas weekendu w domach pytałam rodziców o wrażenia dzieci dotyczące liceum. Były w większości pozytywne, choć oczywiście niektórzy tęsknią trochę za bliskimi”, opowiada pani dyrektor. Jak przyznaje, kadra z liceum w Dęblinie ostrzegała ją, że po pierwszym weekendzie w domu zwykle co najmniej jeden z uczniów nie wraca do szkoły, bo w jakiejś mierze nie spełnia ona jego oczekiwań. „Czekałam w niedzielę z niecierpliwością i liczyłam uczniów, ale wrócili wszyscy”, uśmiecha się pani Ewa. ■



EWA KACPRZYK, dyrektor Wojskowego Ogólnokształcącego Liceum Informatycznego: „Chcemy, aby szkoła pobudzała kreatywność i zachęcała do rozwijania zainteresowań”.

Na początku września tego roku rozpoczęła się akcja „Niepodległą mamy we krwi”, która ma zachęcić ochotników do tego, aby dołączyli do grona honorowych dawców. Wojskowy Instytut Wydawniczy i Stowarzyszenie Honorowych Dawców Krwi Legion już po raz drugi łączą siły, aby szerzyć ideę krwiodawstwa. „Wojskowy Instytut Wydawniczy wspiera wiele inicjatyw społecznych, a chęć bezinteresownego dzielenia się krwią jest nam szczególnie bliska. Ubiegłoroczna edycja kampanii zakończyła się sukcesem. Wzięło w niej udział ponad 1600 dawców i zebrano ponad 800 l krwi. Dlatego zdecydowaliśmy się kontynuować ten projekt”, mówi Maciej Podczaski, dyrektor WIW-u. „Krew to lek, który ratuje życie, a nie można go pozyskać w inny sposób niż od drugiej osoby. Wszyscy powinni być tego świadomi. Dlatego mam nadzieję, że dzięki akcji zwrócimy uwagę na to, jak ważne jest krwiodawstwo”, dodaje sierż. Robert Kowalewski, prezes Stowarzyszenia HDK Legion, a także żołnierz 6 Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej.

W ten sposób przyszli oficerowie pokazują, że nie trzeba walczyć na misji, aby uratować komuś życie”, mówi por. Paweł Żałoba, dowódca kompanii w WAT. Dodaje także, że na uczelni studiuje 630 honorowych krwiodawców, a ich liczba ma się wkrótce zwiększyć. „Zamierzamy sami zorganizować zbiórki krwi, liczymy, że wówczas dołączą do naszego grona także osoby, które dopiero rozpoczynają naukę na uczelni”, podkreśla. Krew będzie można oddawać 10, 16 i 30 października, a także 6 listopada.

BEZCENNE WSPARCIE

Podczas inauguracyjnej akcji zbiórki, która na początku września odbyła się przed siedzibą Ministerstwa Obrony Narodowej, krew oddało m.in. kilkunastu podchorążych z Wojskowej Akademii Technicz-

Daj część siebie

**Przyłącz się do akcji „Niepodległą mamy we krwi”!
Oddaj honorowo krew, wygraj cenne nagrody i złóż hołd
tym, którzy walczyli o niepodległość naszego kraju.**

MAGDALENA MIERNICKA

Akcja rozpoczęła się na początku września i potrwa do 18 listopada, żeby w ten sposób uczcić Narodowe Święto Niepodległości. „Dzięki temu możemy nie tylko wspierać osoby potrzebujące krwi, lecz także podkreślić rolę żołnierzy krwiodawców i przypomnieć o wydarzeniach sprzed 101 lat”, wyjaśnia Maciej Podczaski. „Naszej akcji towarzyszy cykl »Zbrojnie o niepodległość«, mający na celu przybliżyć informacje o najważniejszych wojnach, powstaniach i bi-

ne. „W ten sposób przyszli oficerowie pokazują, że nie trzeba walczyć na misji, aby uratować komuś życie”, mówi por. Paweł Żałoba, dowódca kompanii w WAT. Dodaje także, że na uczelni studiuje 630 honorowych krwiodawców, a ich liczba ma się wkrótce zwiększyć. „Zamierzamy sami zorganizować zbiórki krwi, liczymy, że wówczas dołączą do naszego grona także osoby, które dopiero rozpoczynają naukę na uczelni”, podkreśla. Krew będzie można oddawać 10, 16 i 30 października, a także 6 listopada.

Do akcji zamierzają się przyłączyć żołnierze z 9 Brygady Kawalerii Pancernej. Jak mówi st. chor. sztab. Sebastian Jaszak, prezes wojskowego klubu krwiodawców działającego przy jednostce, w Braniewie zbiórki odbywają się przynajmniej raz w miesiącu. „Żołnierze chętnie włączają się w tego typu inicjatywy. Zaplanowaliśmy także zbiórkę w ramach akcji »Niepodległą mamy we krwi«. Będzie ona połączona z obchodami 25-lecia naszej brygady, dlatego już dziś zapraszamy do udziału tych, którzy chcieliby oddać część siebie, aby komuś pomóc”, zaznacza.



Patronami honorowymi akcji „Niepodległą mamy we krwi” są **MARIUSZ BŁASZCZAK**, minister obrony narodowej, oraz **ŁUKASZ SZUMOWSKI**, minister zdrowia. Szczegółowy regulamin, terminy zbiórek oraz lista nagród znajdują się na portalu LegionHDK.pl.

To jednak nie wszystko – podobne wydarzenia planują kluby krwiodawców z całej Polski. Tylko w tym miesiącu zbiórki krwi będą prowadzone m.in. w Płocku, Szczecinie, Przemyśle, Serocku, Poznaniu, Gdyni, Wrocławiu, Ostrołęce, Olsztynie, Kielcach czy Legionowie. Ci, którzy zdecydują się wziąć w nich udział, będą mieli szansę otrzymać certyfikat oraz pamiątkową monetę.

WYGRAJ CENNE NAGRODY

Nasza akcja nie jest skierowana tylko do żołnierzy. Może się do niej włączyć każdy, w dogodnym dla siebie miejscu i ter-

W sumie podczas 71 dni kampanii upominki od sponsorów otrzyma 355 osób. Ponadto spośród wszystkich uczestników wylosujemy szczęśliwców, którzy dostaną specjalne zestawy. Znajdą się w nich m.in. produkty ze srebra od jubilerskiej firmy Enigma, słuchawki, plecaki, narzędzia wielofunkcyjne, koszulki i czapki, a nawet przewidziano skoki w tandemie z żołnierzami Jednostki Wojskowej Komandosów. Wręczymy także nagrody, które dla uczestników kampanii przekazali dowódcy jednostek wojskowych. Gen. dyw. Jarosław Gromadziński, dowódca 18 Dywizji Zmechanizowanej, i gen. dyw. Wiesław Kukuła, dowódca WOT,

AKCJA ROZPOCZĘŁA SIĘ NA POČZĄTKU WRZEŚNIA I POTRWA DO 18 LISTOPADA, ŻEBY W TEN SPOSÓB UCZCIĆ NARODOWE ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI

minie. Wystarczy udać się do centrum krwiodawstwa i oddać honorowo krew. Należy to uwiecznić na zdjęciu, a następnie zarejestrować donację (oddanie jednej jednostki, czyli 450 ml krwi) na portalu LegionHDK.pl za pośrednictwem przeglądarki internetowej lub aplikacji „Legion HDK”. Ważne, aby zaznaczyć, iż krew została oddana w ramach kampanii „Niepodległa mamy we krwi”. A warto to zrobić, bo na uczestników czeka wiele nagród. Firma Militaria.pl ufundowała plecaki i kubki termiczne, Helikon-Tex – apteczki, czapki, saszetki (tzw. nerki) oraz bidony, a firma ZoKart przygotowała koszulki z logo kampanii. W puli znajdują się także gadżety dla fanów gier komputerowych od firmy Pompa Team oraz egzemplarze wydanego przez Wojskowy Instytut Wydawniczy albumu o życiu Ryszarda Białousa „Jerzego”, dowódcy Batalionu AK „Zośka”.

Codziennie nagrody będzie mogło wygrać pięć osób. Co istotne, uczestnicy akcji sami wskażą, który upominek chcieliby dostać. „O tym, kto zwycięży, zadecydują sponsorzy, dlatego warto ich do siebie przekonać, na przykład udostępniając informację o swojej donacji na portalach społecznościowych, oznaczając profil fundatora nagrody”, zachęca Kowalewski.

podarowali po pięć zestawów upominków. W każdym pakiecie od Żelaznej Dywizji znajduje się obraz z czołgiem Leopard 2A5, a także kubki, smycze i notesy z logo związku taktycznego, natomiast nagrody od terytorialsów to m.in. termosy, bidony, apteczki, pendrivy, monety okolicznościowe czy magnesy.

„Zwycięzcy naszych konkursów będą mogli otrzymać także upominki od Centrum Weterana czy Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Ale pula cały czas się powiększa, wkrótce mają do niej trafić kolejne upominki od kadry dowódczej Wojska Polskiego”, zapowiada Kowalewski. Dodaje także, że nagrodę dla krwiodawców przekazał także prezydent Andrzej Duda. Jedna osoba będzie miała szansę otrzymać pióro z faksymile głowy państwa.

A o tym, kto dostanie nagrody, przekonamy się już 18 listopada. Wówczas w Arkadach Kubickiego odbędzie się konferencja, podsumowująca kampanię, podczas której wręczymy jej laureatom naszych konkursów.

Zachęcamy wszystkich, żeby przyłączyli się do naszej akcji! Wspólnie udowodnimy, że „Niepodległa mamy we krwi”! ■



WOT

Szukamy liderów

Jak zbudować sobie autorytet w grupie, dowodzić żołnierzami, szybko podejmować decyzje w sytuacjach kryzysowych? Tego wszystkiego uczą się kandydaci na podoficerów w Szkole Niższych Dowódców WOT.

PIOTR RASZEWSKI

Program kursu podoficerskiego dla żołnierzy wojsk obrony terytorialnej opracowano praktycznie od podstaw, zgodnie ze standardami kształcenia podoficerów obowiązującymi od 2019 roku w Siłach Zbrojnych RP, ale też z uwzględnieniem specyfiki formacji. „Stworzyliśmy innowacyjny i dostosowany do ochotniczego charakteru służby system kształcenia kandydatów na podoficerów. Istotna jest forma, bo jest to kurs o dużej intensywności, z samokształceniem w ramach e-learningu.

Poza tym nastąpiła decentralizacja nauczania, bo brygady stały się niejako hubami szkoleniowymi”, tłumaczy ppłk Piotr Wołyński, starszy specjalista w Pionie Szkolenia Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej. Twórcy programu podkreślają, że zależało im, by kurs Sonda, odbywający się pod szyldem Szkoły Niższych Dowódców WOT, był połączeniem kilku doświadczeń. „Mamy tu odwołania do modelu kształcenia podoficerskiego prosto z USA oraz praktyk w polskim wojsku”, dodaje z kolei



TAJNA SONDA

KURS WOJSK OBRONY TERYTORIALNEJ KRYPTONIMEM NAWIAZUJE DO SZKOLEŃ ORGANIZOWANYCH PRZEZ ARMİĘ KRAJOWĄ.

W maju 1941 roku rozkazem gen. bryg. Stefana Grot-Roweckiego została utworzona Szkoła Podchorążych Rezerwy Piechoty „Agricola”. Była to jedyna tajna podchorążówka działająca w okupowanych państwach w czasie II wojny światowej. W latach 1942–1944 szkolenie ukończyło ponad 8,5 tys. elewów. W 1944 roku Komenda Główna Armii Krajowej zdecydowała o zmianie systemu szkolenia. Placówka została zlikwidowana, a zamiast niej uruchomiono zastępcze kursy szkolenia niższych dowódców – SND. Brali w nich udział m.in. członkowie Szarych Szeregów, którzy od tego skrótownica nadali im kryptonim „Sonda”. PR ■



St. chor. GRZEGORZ WARDZIŃSKI z 2 Lubelskiej Brygady Obrony Terytorialnej: „Jednym z założeń kursu jest to, by uczestnicy ćwiczyli na sobie. Każdy występuje w roli instruktora, dowódcy sekcji, drużyny czy zespołu, i to grupa omawia pozytywne oraz negatywne aspekty jego zachowania”.

st. chor. sztab. Andrzej Wojtusik z Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej.

By wziąć udział w kursie, trzeba zaliczyć minimum rok służby wojskowej i samemu się na niego zgłosić. „Same aspiracje nie wystarczą, bo kandydat musi mieć co najmniej wykształcenie średnie, uzyskać zgodę swoich przełożonych i wypełnić specjalną ankietę”, wyjaśnia st. chor. Grzegorz Wardziński, starszy podoficer dowództwa 2 Lubelskiej Brygady Obrony Terytorialnej, i dodaje: „Kolejny krok to rozmowy kwalifikacyjne i egzamin z wychowania fizycznego”. Dodatkowe punkty można uzyskać m.in. za działalność społeczną czy wyróżnienia w czasie służby.

PRZED SZYKIEM I W SZYKU

Dlaczego jest potrzebne tak gęste sito kwalifikacyjne? „Szukamy liderów”, odpowiada krótko st. chor. sztab. Andrzej Wojtusik, i dodaje, że jest to związane z mandatowymi obowiązkami wojsk obrony terytorialnej. „Nasi podoficerowie muszą wiedzieć, jak się zachować w sytuacjach kryzysowych i ekstremalnych, i w sposób przemyślany, skoordynowany prowadzić ludzi do działania. Tego chcemy ich nauczyć podczas Sondy”, tłumaczy.

Kurs trwa kilka miesięcy, a składa się na niego około 35 dni zajęć po 12 godzin dziennie. Żołnierze mają najpierw zajęcia instruktorsko-metodyczne, które kończy test kwalifikujący ich do części specjalistycznej. Tu zagadnienia obejmują głównie metodykę szkolenia, a następnie zajęcia praktyczne, podczas których przyszli podoficerowie wcielają się w rolę instruktorów. „Jednym z ważniejszych założeń kursu jest to, by uczestnicy ćwiczyli na sobie. Jest to o tyle dobre, że zarazem stoją przed szykiem i w szyku. Każdy występuje w roli instruktora, dowódcy sekcji, drużyny czy zespołu i to grupa omawia pozytywne oraz negatywne aspekty jego zachowania. Dzięki temu wszyscy wyciągają wnioski i korygują swoje podejście”, mówi st. chor. Grzegorz Wardziński.

Instruktorzy przywiązują niezwykle dużą wagę do zajęć z przywództwa. „Tego nie da się nauczyć w sali wykładowej. Poza tym to jest proces i ludzi trzeba motywować cały czas – czy to na zajęciach z bronią, czy podczas musztry. Dlatego uczymy kursantów, jak się zachowywać, by stać się liderem, jak budować autorytet. Staramy się wykorzystać ich wrodzone cechy. Jak mantrę



wbijamy im do głowy maksymy: »chcesz zapalić innych, sam musisz płonąć« i »siła twojego słowa jest warta tyle, ile twoja wiara w to słowo«, wyjaśnia podoficer dowództwa WOT.

Instruktorzy podkreślają, że nie tylko uczą żołnierzy technik przywództwa, lecz także wyposażają ich w fachową wiedzę. „Zależy nam na tym, by podoficer wiedział, jakie są jego zadania, jakie ma możliwości, a także, jakie są oczekiwania wobec niego. Bez tego nigdy nie będzie prawdziwym przywódcą”, przyznaje st. chor. Grzegorz Wardziński.

Co istotne, kurs prowadzą tylko podoficerowie. „Są wykonawcami, realizatorami, instruktorami i egzaminatorami”, mówi st. chor. sztab. Andrzej Wojtusik i zapewnia, że ma to podwójną wartość. „Dzięki temu podoficerowie odświeżają swoją wiedzę, a jednocześnie poznają ludzi, którzy po szkoleniu do nich wrócą”.

PIERWSZE WNIOSKI

Do tej pory kurs ukończyło blisko stu żołnierzy wojsk obrony terytorialnej. Pierwsza edycja rozpoczęła się w kwietniu, a jej zwieńczeniem była sierpniowa promocja na pierwszy stopień podoficerski. „Zajęcia były bardzo ciekawe, a prowadzący potrafili zainteresować nawet pozornie niezbyt interesującymi rzeczami”, śmieje się Katarzyna Szejn, która podczas promocji otrzymała stopień kaprała i została dowódcą sekcji w 24 Batalionie Lekkiej Piechoty. Szejn dodaje, że udział w kursie był przemyślaną decyzją. „Choć wiedziałam, że będzie się to wiązało z większą odpowiedzialnością i koniecznością jeszcze większego zaangażowania w życie batalionu, po ukończeniu Sondi tylko utwierdziłam się w przekonaniu, że to był bardzo dobry wybór”, przyznaje.

Kpr. Jarosław Bąk zaznacza, że dla niego to była forma rozwoju – nie tylko zawodowego, ale też osobistego. „Jako cywil nie mogłbym sobie pozwolić na to, by pójść na bardzo długi czas do szkoły podoficerskiej. Tu otrzymaliśmy skondensowaną, ale bardzo pożyteczną, także w życiu codziennym, wiedzę. Każdego dnia musimy przecież odnajdywać się w sytuacjach, w których trzeba kierować ludźmi i wydawać im polecenia”, przekonuje dowódca sekcji w 21 Batalionie Lekkiej Piechoty, na co dzień ratownik medyczny, pracujący w pogotowiu ratunkowym w Lublinie.

„Wydawało się, że będziemy mieli więcej zajęć z prowadzącymi, ale gros czasu poświęciliśmy na samokształcenie. Nawet podczas zajęć stawaliśmy przed grupą i to my wcielaliśmy się

JESZCZE W TYM ROKU KURS ROZPOCZNIE SIĘ W PIĘCIU NAJWCZEŚNIEJ POWOŁANYCH BRYGADACH OBRONY TERYTORIALNEJ

w rolę instruktorów. Właśnie o to chodzi, bo po ukończeniu kursu taka sytuacja stanie się dla nas codziennością”, mówi kpr. Dariusz Gromadzki z 25 Batalionu Lekkiej Piechoty z Zamościa. „Instruktorzy uświadomili nam również, że ukończenie kursu oznacza dopiero początek pracy nad sobą. Aby stać się dobrym dowódcą, trzeba bowiem poświęcić sporo czasu na samodoskonalenie”.

Po pierwszych edycjach Sondi przyszedł również czas na uwagi jej twórców i instruktorów. „Pilotażowe edycje pozwoliły nam zoptymalizować model kształcenia, ale też udowodniły, że szkolenie na pierwszy stopień podoficerski z powodzeniem może być organizowane na poziomie brygady”, dowodzi ppłk Piotr Wołyński. Oficer zaznacza, że pierwsza odsłona ukazała też słabe strony programu. „Zauważyliśmy u kursantów braki w metodyce szkolenia. Dlatego w kolejnych edycjach pojawiają się tzw. weekendowe bloki metodyczne, podczas których kandydat na podoficera będzie występował w charakterze instruktora lub dowódcy i szkolił swoich kolegów oraz koleżanki, biorących udział w weekendowych szkoleniach rotacyjnych”, zdradza.

Sonda jeszcze w tym roku rozpocznie się w pięciu najwcześniej powołanych brygadach obrony terytorialnej. Dowództwo szacuje, że do końca roku uda się wyszkolić 250 podoficerów OT. „Nasze potrzeby szkoleniowe bardzo wzrosły, a system szkolnictwa w Wojsku Polskim niestety nie jest z gumy. Sonda jest alternatywnym rozwiązaniem i w przyszłości będziemy mogli zaproponować, by włączyć ją do systemu wojskowego szkolnictwa”, tłumaczy st. chor. sztab. Andrzej Wojtusik. „Mamy także zgodę na utworzenie szkoły podoficerskiej WOT, więc gdy tylko powstanie, wdrożymy w niej gotowy system szkolenia”, dodaje. ■



St. chor. sztab. **ANDRZEJ WOJTUSIK** z Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej: „Nasi podoficerowie muszą wiedzieć, jak się zachować w sytuacjach kryzysowych i ekstremalnych, i w sposób przemyślany, skoordynowany prowadzić ludzi do działania. Tego chcemy ich nauczyć podczas Sondi”.

Wkręcone w wojsko

**„Coś mnie ciągnęło do armii,
ale sama bym nie wstąpiła”,
przyznaje Kinga Walczewska.
Odwagi dodała jej mama, która
postanowiła włożyć mundur.
Teraz razem służą w tym
samym plutonie.**

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

Dorota Walczewska, drobna blondynka, żołnierz wojsk obrony terytorialnej, dźwiga 25-kilogramowy plecak. Towarzyszy jej córka, Kinga, studentka, która poszła w ślady mamy. Od kilkunastu miesięcy służą w 5 Mazowieckiej Brygadzie Obrony Terytorialnej. Obie zgodnie przyznają, że była to jedna z najlepszych życiowych decyzji. Chętnie opowiadają o tym, jak wojsko zmieniło ich życie.

W dzieciństwie Dorota Walczewska z wypiekami na twarzy słuchała opowieści ojca o tym, jak w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia służyło się w armii. Sama jednak wybrała inną drogę zawodową i została pielęgniarką. Mimo to bywały dni, kiedy zastanawiała się, czy zamienić fartuch na mundur.

W 2018 roku w regionalnej prasie Dorota znalazła informację, że w Ciechanowie powstała brygada wojsk obrony terytorialnej. Pomyślała, że to coś dla niej. Ojciec ucieszył się na wieść, że córka wstępuje do WOT-u. A gdy Kinga dowiedziała się o jej planach, powiedziała: „Idę z tobą”. Na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, gdzie studiuje bezpieczeństwo narodowe, oglądała ulotki zachęcające do wstąpienia w szeregi nowej formacji. „Coś mnie ciągnęło do wojska, ale sama bym się nie zdecydowała. Potrzebuję kogoś, kto mnie motywuje”, opowiada. Dlatego kobiety razem złożyły wniosek w wojskowej komendzie uzupełnień, przeszły badania lekarskie i zostały żołnierzami 51 Batalionu Lekkiej Piechoty w Ciechanowie. Służą w jednym plutonie.

ŁATWIEJ NIŻ W CYWILU

Jak wszyscy ochotnicy, którzy nie mieli dotąd styczności z wojskiem, Dorota i Kinga Walczewskie musiały zaliczyć



ARCH. 5 MAZOWIECKIEJ BRYGADY OT

szkolenie podstawowe, czyli tzw. szesnastkę. „Kiedy zamiast pielęgniarskiego czepka włożyłam na głowę hełm, a zamiast fartucha – kamizelkę kuloodporną, zaczęłam się zastanawiać, czy dam radę”, wspomina Dorota. „Też się nad tym zastanawiałam”, dodaje Kinga. „Wiedziałam jednak, że bez względu na to, jak

Przez 16 dni nauczyły się rzeczy, o których dotychczas nie miały pojęcia – taktyki, topografii oraz zachowania na polu walki. Instruktorzy kładli duży nacisk na szkolenie ogniowe, które obejmowało m.in. bezpieczne posługiwanie się bronią. Od razu po wcieleniu obie panie dostały bowiem karabinki MSBS Grot. Dorota przyznaje, że dla niej właśnie szkolenie strzeleckie było największym wyzwaniem. „Musiałam rozebrać i złożyć karabinek, a także oddać kilka strzałów do tarczy oddalonej o 100 m. Na co dzień ratuję ludzkie życie, a na strzelnicy trzymałam w ręku broń z ostrą amunicją, która je odbiera”, opowiada. Ostatecznie jednak bez problemu zdała egzamin, czyli zaliczyła tzw. pętlę taktyczną. Spodobało się jej takie życie. Uważa, że w wojsku jest łatwiej niż w cywilu, bo podczas szkoleń o nic nie musiała się martwić. „Może dlatego wojsko tak wciąga ludzi?”, zastanawia się Dorota Walczewska.

**5 MAZOWIECKA
BRYGADA OBRONY TERY-
TORIALNEJ LICZY PONAD
2000 ŻOŁNIERZY, W TYM BLISKO
1800 TO OCHOTNICY. CO DZIESIĄTY
Z NICH JEST KOBIETĄ. WYWODZĄ SIĘ
Z RÓŻNYCH ŚRODOWISK I WYKONUJĄ
RÓŻNE ZAWODY. CO TRZECI MA WY-
KSZTAŁCENIE WYŻSZE, BLISKO POŁOWA
ŚREDNIE. TRZY CZWARTE NIE PRZE-
KROCZYŁO 35. ROKU ŻYCIA.
NA ZDJĘCIU KINGA WALCZEWSKA
RAZEM Z MAMĄ DOROTĄ
WALCZEWSKĄ**



Na pierwszych zbiórkach Dorota i Kinga przyglądały się innym żołnierzom z kompanii. Przeważali mężczyźni. „W naszych szeregach mamy zarówno osoby aktywne społecznie, jak i te, które dopiero szukają pomysłu na siebie. Jedni kontynuują rodzinne tradycje patriotyczne, inni szukają przygody. Naszymi żołnierzami są nie tylko osoby młode i energiczne, lecz także nieco starsze, z doświadczeniem życiowym i zawodowym”, mówi Aneta Szczepaniak, rzecznik prasowy 5 Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej.

JA, ŻOŁNIERZ WOJSKA POLSKIEGO

Zwieńczeniem szkolenia podstawowego była przysięga. 25 listopada 2018 roku na Rynku Mariackim w Węgrowie zebrał się żołnierz 5 Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej, ich rodziny, przedstawiciele samorządu lokalnego, kombatan ci, dowództwo WOT-u oraz mieszkańcy. Przysięgę złożyło 102 żołnierz, wśród nich Dorota i Kinga Walczewskie. Dorota wspomina, jak wielkie emocje jej towarzyszyły. Podczas przygotowań do przysięgi wiele razy powtarzała rotę, aby opanować drżenie głosu. „Miałam świadomość, że wypowiadając słowa »Ja, żołnierz Wojska Polskiego, przysięgam...«, biorę za nie odpowiedzialność. Jako dojrzała kobieta zrealizowałam swoje marzenie, poczułam się spełniona. To nie był przypadek, że stałam się żołnierzem”, opowiada.

Po przysiędze rozpoczął się kolejny etap podnoszenia kwalifikacji terytorialsów – szkolenia rotacyjne. Raz w miesiącu w sobotę i w niedzielę wcześniej rano Dorota i Kinga zgłaszają się do brygady. „Przekraczam bramę ciechanowskich koszar i trafiaam do innego życia”, mówią zgodnie matka i córka. Podczas weekendowych zajęć rozwijają umiejętności zdobyte w czasie „szesnastki”, m.in. poruszanie się po polu walki, ewakuację rannego, strzelanie, pierwszą pomoc medyczną. Minimum, jakie przypada na jednego żołnierza w ciągu trzech lat służby, wynosi 124 dni szkoleniowe. Dorota znacznie przekroczy tę normę. W jednym tygodniu melduje się na swoje szkolenie, a w drugim, gdy ćwiczą inne kompanie, zgłasza się jako instruktor. Zdobyła takie uprawnienia, bo skończyła kurs instruktorsko-metodyczny prowadzony przez byłych żołnierzy wojsk specjalnych, którzy należą do mobilnego zespołu szkoleniowego. Już prowadziła zajęcia na poligonie, głównie na temat pierwszej pomocy medycznej. W tej dziedzinie czuje się najpewniej, bo wykorzystuje swoje doświadczenia z pracy pielęgniarki. Uczy, jak opatrywać rany, zakładać stazy, usztywniać złamane kończyny, przeprowadzić reanimację, a przede wszystkim, jak na polu walki selekcjonować rannych. „Wiedza, którą przekazuję na tych szkoleniach, może się przydać, gdy na przykład ktoś zasłabnie na ulicy”, tłumaczy Dorota.

Często też zgłasza się, gdy przełożony wzywa żołnierzy do wykonania dodatkowych zadań. „Kiedy tylko pozwala mi na to

praca zawodowa, staram się być w jednostce. Czasem nawet z tego powodu zamieniam się z koleżanką na dyżur”, mówi Dorota. „Chcę wykorzystać każdą okazję, aby podnosić swoje wojskowe umiejętności”. 1 września 2019 roku zgłosiła się również do kompanii honorowej, która wzięła udział w przysiędze kolejnych żołnierz.

Po szkoleniu indywidualnym, w drugim roku służby w WOT, przychodzi czas na szkolenie specjalistyczne. Żołnierze, zgodnie z ich kwalifikacjami i predyspozycjami, mogą kształcić się w 15 specjalnościach, m.in. dowódców, strzelców wyborowych, saperów, medyków czy snajperów. „Żołnierze w naszej brygadzie mają również możliwość odbycia dodatkowych szkoleń, które poszerzą ich kwalifikacje lub pozwolą zdobyć nowe umiejętności. Dotychczas mogli skorzystać m.in. z kursu ratowników wodnych, operatorów silników pozaburto-

wych, szkolenia nurków, pilarzy, przewodników psów ratowników”, wymienia Aneta Szczepaniak.

Kinga zostanie radiotelefonistą i już rozpoczęła naukę obsługi radiostacji. Dorota z kolei otrzymała przydział – ratownik medyczny.

„Zarówno w wojsku, jak i w cywilu mam jeden cel – ratować życie ludzkie. Jako pielęgniarka umiejętności oraz doświadczenie zdobywałam przez lata pracy przy łóżku chorego. Bycie ratownikiem natomiast jest dla mnie wyzwaniem”, przyznaje Dorota. Jak tłumaczy, podczas pracy w szpitalu po-

maga jej sztab ludzi i ma do dyspozycji nowoczesną aparaturę, a na poligonie czy polu walki ratownik zdany jest głównie na siebie.

MAGIA WOT-U

Dorota chce w cywilu rozpocząć specjalizację chirurgiczną, aby zdobyć większe doświadczenie, które może być pomocne w opatrywaniu rannych. Uważa, że te umiejętności przydadzą się jej w wojsku. We wrześniu zgłosiła się też na kurs podoficerski, czeka na kwalifikację. Nie podjęła jeszcze decyzji, czy po trzech latach spędzonych w WOT zdecyduje się na zawodową służbę.

Takich wątpliwości jednak nie ma Kinga, która wiąże swoją przyszłość z wojskiem. Myśli o studiach magisterskich na kierunku kryminologia, a potem o szkole oficerskiej. „Nie lubię, gdy ktoś wymaga ode mnie więcej niż to konieczne. Należę do pokolenia, któremu na co dzień wystarczają komputer, smartfon, seriale. Okazało się jednak, że dotyczy to życia w cywilu. W wojsku bez mrugnięcia okiem wykonuję rozkazy i nie mam problemu, aby się komuś podporządkować. Nie potrafię tego wytłumaczyć”, mówi Kinga. „Działa magia WOT-u”, dorzuca jej mama. A córka puentuje: „Kiedy w sobotę wstaję o 4.00 rano, aby zdążyć na kolejne szkolenie, odechciwa mi się wszystkiego. Gdy jednak przy biurku oficera dyżurnego witam się z kumplami z wojska, życie znowu staje się piękne”.

UMIEJĘTNOŚCI ZDOBYTE W WOT PRZYDAJĄ SIĘ W CYWILNYM ŻYCIU



TOMASZ ZDZIKOT

Bronimy polskiej cyberprzestrzeni



W dzisiejszym świecie zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa i obywateli nie muszą mieć wyłącznie charakteru kinetycznego. Postępująca cyfryzacja kolejnych dziedzin życia, połączona z potencjalną łatwością przeprowadzenia wrogich operacji w cyberprzestrzeni sprawia, że zdolność do obrony własnych sieci i systemów teleinformatycznych stanowi jeden z fundamentów bezpieczeństwa.

To zupełnie nowy wymiar myślenia o siłach zbrojnych. Stoimy wobec wyzwań hybrydowych, transgranicznych i musimy umieć na nie odpowiadać. W związku z tym cyberprzestrzeń została także włączona w prace NATO. Już w deklaracji końcowej szczytu z 2014 roku Sojusz Północnoatlantycki potwierdził, że ataki cybernetyczne będą coraz częstsze, bardziej złożone i niszczące. Jednocześnie podkreślono, że obrona cybernetyczna należy do podstawowych zadań kolektywnej obrony NATO. Zwrócono jednocześnie uwagę na możliwość zastosowania – w przypadku ataku w cyberprzestrzeni – art. 5 traktatu północnoatlantyckiego. Podczas szczytu warszawskiego w 2016 roku NATO potwierdziło swój mandat do obrony w tej sferze i uznało cyberprzestrzeń za obszar działań, w którym musi bronić się tak samo skutecznie, jak w powietrzu, na lądzie i morzu. Kolejne spotkanie, tym razem w Brukseli w 2018 roku, oprócz podkreślenia znaczenia nowej domeny, przyniosło także decyzje o reformie struktur dowodzenia NATO i utworzeniu Centrum Operacji w Cyberprzestrzeni.

Polska ma aspiracje, by być liderem zmian w obszarze cyberprzestrzeni i – co ważne – ma też do tego odpowiednie siły i środki. W 2018 roku opracowaliśmy w Ministerstwie Obrony Narodowej kompleksowy program zmierzający do podniesienia zdolności Sił Zbrojnych RP i resortu obrony narodowej do działania w cyberprzestrzeni. Program CYBER.MIL.PL opieramy na czterech kluczowych filarach związanych z konsolidacją i budowaniem jeszcze skuteczniejszych struktur oraz rozbudową narodowych zdolności, edukacją, współpracą międzynarodową, a także podniesieniem poziomu bezpieczeństwa infrastruktury teleinformatycznej. Jesteśmy przekonani, że sukces w tych dziedzinach mogą zagwarantować wybitni polscy eksperci i specjaliści, którzy każdego roku wygrywają cywilne i wojskowe konkursy oraz olimpiady informatyczne w kraju i za granicą. Promując program i nowe możliwości oferowane przez resort obrony narodowej, jesteśmy obecni wszędzie tam, gdzie możemy zachęcać do podjęcia najważniejszego wyzwania – stania na straży bezpieczeństwa polskiej cyberprzestrzeni.

MON i Wojsko Polskie są otwarte dla tych wszystkich, którzy chcą stać się częścią systemu cyberbezpieczeństwa i dołączyć do nas jako żołnierze zawodowi lub pracownicy, np. w Narodowym Centrum Bezpieczeństwa Cyberprzestrzeni czy wkrótce w wojskach obrony cyberprzestrzeni. Przygotowaliśmy też ofertę umożliwiającą łączenie pracy na rynku cywilnym ze służbą w nowo powstałym cyberkomponencie WOT. Z tym przesłaniem byliśmy we wrześniu tego roku, już po raz drugi, partnerem największego w Europie stacjonarnego maratonu programowania – HackYeah, który odbył się w Warszawie. Służba i praca w strukturach odpowiedzialnych za piątą domenę operacyjną to nie tylko możliwość rozwoju zawodowego, podniesienia kwalifikacji czy dostęp do technologii, z którymi nie można się zetknąć na rynku cywilnym, lecz przede wszystkim odpowiedzialność za nasze wspólne bezpieczeństwo. Warto dołączyć!



TOMASZ ZDZIKOT jest sekretarzem stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej.

MILITARIA

/ PRZEGLĄD

SIŁA OGNIA

Poprady zapewniają skuteczną obronę przeciwlotniczą na niskim pułapie. Teraz z ich możliwości korzystają podhalańczycy.

MICHAŁ ZIELIŃSKI



POPRADY
są nie tylko
skuteczne
o każdej porze
dnia, lecz
także trudne
do wykrycia.



D

ziewięć zestawów Poprad trafiło do 21 Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej w Jarosławiu z 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. Nowoczesny sprzęt zwiększa siłę ognia wyposażonych w niego pododdziałów, ale to niejedyny jego atut. Pełna kompatybilność z systemem dowodzenia Łowcza-Rega oraz współpraca ze stacjami radiolokacyjnymi Soła umożliwiają

przeciwlotnikom skuteczne namierzanie i niszczenie celów w niemal każdych warunkach. W znaczący sposób skrócono także czas potrzebny na zajęcie stanowiska ogniowego oraz osiągnięcie gotowości do działania.

Dowódca 21 Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej ppłk Jarosław Fedyniuk podkreśla, że te zmiany mają bardzo duże znaczenie nie tylko dla podhalańczyków, lecz także np. dla powstającej 18 Dywizji Zmechanizowanej. „Naszym zadaniem jest zapewnienie osłony przeciwlotniczej elementom ugrupowania bojowego brygady. Jest to sprzęt bardzo mobilny, poruszający się w każdych warunkach terenowych i atmosferycznych. Dzięki tym cechom nie ma żadnych przeszkód, żeby współpracował z pododdziałami wyposażonymi m.in. w rosomaki czy raki”, mówi oficer.

Przygotowanie do przyjęcia nowych zestawów przeciwlotniczych podhalańczycy rozpoczęli już w pierwszym kwartale 2019 roku. Właśnie wtedy załogi popradów trafiły na kurs przygotowawczy organizowany w Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie. Wszystkie uczestniczyły także w zajęciach praktycznych prowadzo-

nych przez przedstawicieli PIT-Radwar. To jednak dopiero pierwszy etap zaplanowanego programu szkoleniowego. „W przyszłym roku najprawdopodobniej osiągniemy pełną gotowość do wykonywania zadań zgodnie z przeznaczeniem”, podkreśla ppłk Fedyniuk.

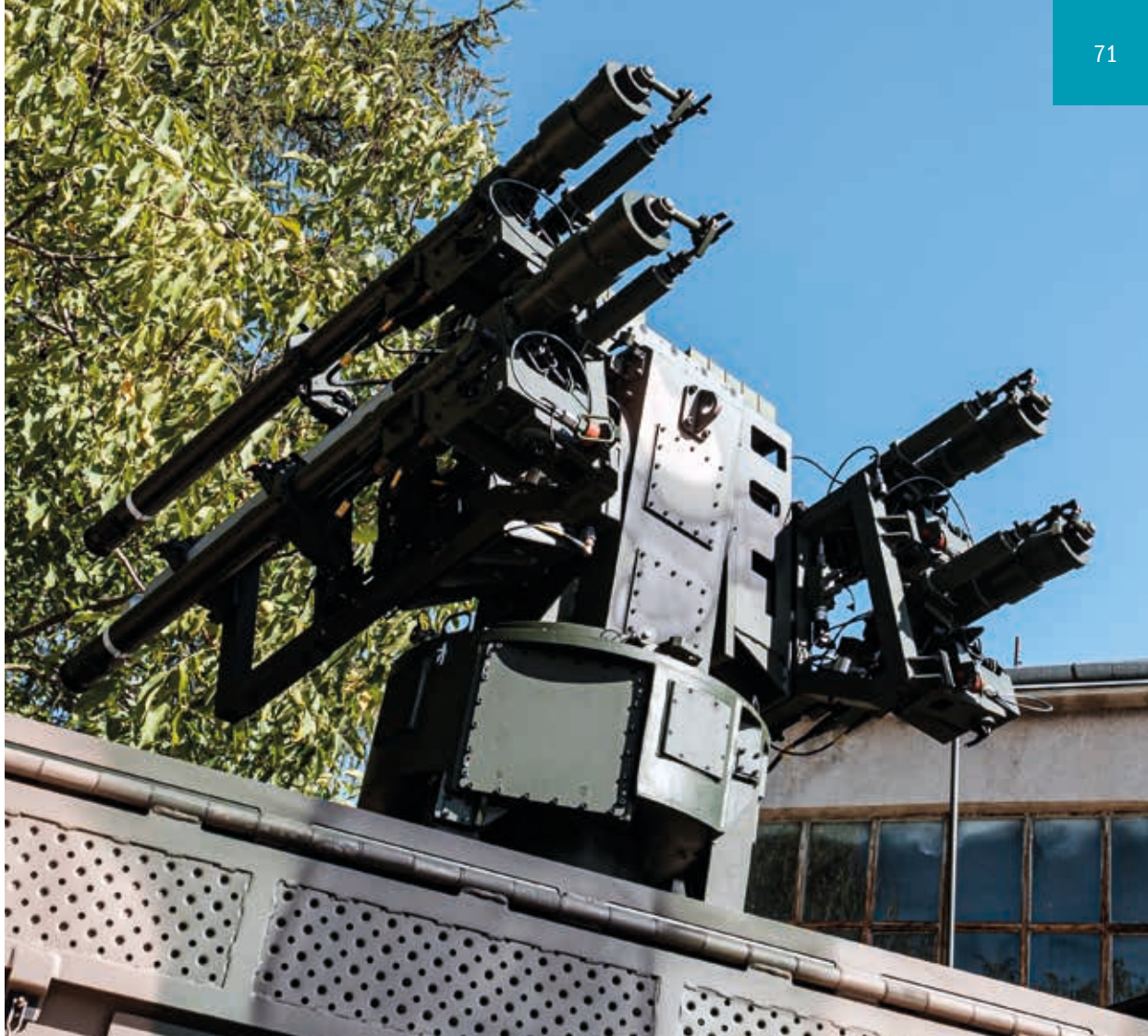
ROZWÓJ MOŻLIWOŚCI

Samobieżne przeciwlotnicze zestawy rakietowe Poprad są przeznaczone do wykrywania, rozpoznawania i niszczenia celów powietrznych na bliskich odległościach do 5500 m i małych wysokościach od 10 do 3500 m. Ich głównym przeznaczeniem jest niszczenie samolotów, śmigłowców oraz bezzałogowych statków powietrznych (w przyszłości także pocisków rakietowych), które utrzymują niewielką wysokość, żeby uniknąć wykrycia i w ten sposób przechytrzyć systemy średniego zasięgu. Wskazywanie celów odbywa się za pomocą w pełni zautomatyzowanego systemu kierowania obroną przeciwlotniczą Łowcza-Rega i jest przekazywane cyfrowo (zestaw może także działać autonomicznie). Namierzanie nawet szybko lecących statków powietrznych umożliwiają kamery: termalna i światła dziennego oraz dalmierz laserowy. System został wyposażony także w nadajnik identyfikacji radiolokacyjnej „swoj-obcy”, który rozpoznaje zarówno rodzaj, jak i przynależność państwową nadlatujących statków powietrznych.

W praktyce oznacza to, że poprady są nie tylko skuteczne o każdej porze dnia, lecz także trudne do wykrycia. „Podczas wykrywania celu nie musimy go promieniować, dlatego pilot nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia aż do momentu wystrzelenia rakiety. W zależności od sytuacji,



Ppłk JAROSŁAW FEDYNIUK, dowódca 21 Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej: „W związku z wprowadzeniem nowego sprzętu musimy certyfikować nasze pododdziały na wszystkich szczeblach dowodzenia”.



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Zestawy rakietowe są używane do zwalczania celów powietrznych w odległości do 5500 m oraz na wysokości od 10 do 3500 m.

ZESTAWY RAKIETOWE POPRAD TO PRZYKŁAD ZAAWANSOWANEJ TECHNIKI I PROSTOTY W EKSPLOATACJI ORAZ UŻYTKOWANIU BOJOWYM

po kilku sekundach możemy oddać ponownie strzał, co jeszcze bardziej zwiększa naszą skuteczność. Pilot, żeby uniknąć podążającej za nim rakiety, musi wykonać gwałtowne manewry powodujące duże przeciążenia. Trudno je powtórzyć natychmiast, jeden po drugim”, tłumaczy kpt. Mariusz Szklarz, dowódca 2 baterii przeciwlotniczej 21 Dywizjonu. Moduł bojowy popradu jest uzbrojony w cztery rakiety Grom, ale będą one systematycznie zastępowane przez pociski przeciwlotnicze nowej generacji Piorun. Wyposażono je w nowy układ detekcji o zwiększonej czułości podnoszący skuteczność wykrywania celów, co automatycznie zwiększyło zasięg rakiety, oraz zapalnik zbliżeniowy umożliwiający niszczenie nawet niewielkich obiektów (np. pocisków manewrujących).

Poprad przystosowany jest do użycia w klasycznym systemie obrony powietrznej. Działa wtedy w ramach systemu dowodzenia i kierowania ogniem Łowcza-Rega. Elementami tej infrastruktury są wozy dowodzenia, które z różnych źródeł (np. stacji lokacyjnej) otrzymują informacje rozpoznawcze o przestrzeni powietrznej. Na ich podstawie dowódcy kierują środkami walki i przydzielają określone cele swoim podwładnym. System 21 Dywizjonu Obrony Przeciwlotniczej tworzą stacje lokacyjne NUR-21 oraz Soła. „Zasięg Soły sięga 50 km, przy czym stacja może znajdować się setki kilometrów od dowódcy i tam samodzielnie wykrywać, rozpoznawać oraz przydzielać cele. Dzięki niej w pełni wykorzystujemy możliwości popradów. Zestawy współpracują także ze starszym wypo-



POPRAD PRZYSTOSOWANY JEST DO UŻYCIA W KLASYCZNYM SYSTEMIE OBRONY POWIETRZNEJ. DZIAŁA WTEDY W RAMACH SYSTEMU DOWODZENIA I KIEROWANIA OGNIEM ŁOWCZA-REGA

Opancerzenie spełniające wymagania dotyczące kuloodporności oraz odporności na działanie pocisków artyleryjskich według STANAG 4569 poziom 2 i 2A

Liczba pocisków rakietowych na wyrzutni – 4

Załoga – 2 żołnierzy

Prędkość maksymalna – 90 km/h

Podwozie w kształcie litery V – AMZ Żubr

automatyczne nastawienie. Jeżeli wrogi statek powietrzny znajdzie się w zasięgu zamontowanych na głowicy czujników, może ona również samoczynnie śledzić cel za pomocą video trackera. „Jeżeli otrzymamy taką komendę, zwalczanie celu będzie kwestią kilku sekund. W wypadku awarii lub uszkodzenia systemu możemy także przejść na tryb ręczny, który pozwala kontynuować pracę”, mówi młodszy chor. Mateusz Szymański, dowódca-operator popradu. Jego stanowisko znajduje się w środku pojazdu, ale w razie potrzeby może on sterować na zewnątrz.

AMZ Żubr, na którego podwoziu zamontowano poprad, to wóz o dużych możliwościach terenowych. Wyposażony został w napęd na cztery koła z blokadą mostów oraz dyferencjałów. Konstrukcję chroni opancerzenie spełniające wymagania dotyczące kuloodporności oraz odporności na działanie pocisków artyleryjskich według STANAG 4569 poziom 2 i 2A. Podwozie w kształcie litery V lepiej chroni załogę w razie wybuchu miny pułapki. Ciekawostką jest wyposażenie wozu w system AdBlue, który w silnikach Diesla redukuje emisję szkodliwych dla środowiska tlenków azotu. Technologia ta staje się normą nie tylko na rynku cywilnym, lecz także w wojsku.

„Pojazdy te są przystosowane do wsparcia pododdziałów zmotoryzowanych. Prędkość poruszania się po drogach utwardzonych wynosi do 90 km/h, na gruntowych może natomiast sięgać 50 km/h. Automatyczna skrzynia biegów odciąża kierowcę podczas jazdy w bardzo trudnym terenie. Zarówno głowica, jak i platforma to nowoczesny sprzęt, który stanowi dla nas duży przeskok technologiczny. Nowy system zapewnia mobilność, niezależność i precyzję”, chwali konstrukcję chor. Szymański. ■

sażeniem dywizjonu, w tym ze stacjami NUR-21. Można zatem powiedzieć, że rozwijają możliwości sprzętu, którym dysponujemy”, wyjaśnia kpt. Szklarz. W przyszłości stacje radiolokacyjne Soła mogą zostać zastąpione przez radary Bystra lub jakiegokolwiek inne, które trafią do uzbrojenia polskiej armii w ramach programów modernizacyjnych „Narew” lub „Wisła”.

DUŻY PRZESKOK

Zestawy rakietowe Poprad, mimo zaawansowania technologicznego, są proste w eksploatacji. Ich załoga składa się tylko z dwóch osób, dowódcy-operatora oraz kierowcy-mechanika. Sterowanie głowicą odbywa się za pomocą intuicyjnego pulpitu. Po zatwierdzeniu celu wskazanego przez system dowodzenia następuje jej

Nie tylko fotografia

Produkty firmy Canon docenili już reporterzy z całego świata. Teraz japoński gigant chce nimi zainteresować wojsko. Oferta producenta sprzętu foto i wideo jest skierowana przede wszystkim do przedstawicieli służb specjalnych, a także do żołnierzy wojsk rozpoznawczych i żandarmów.



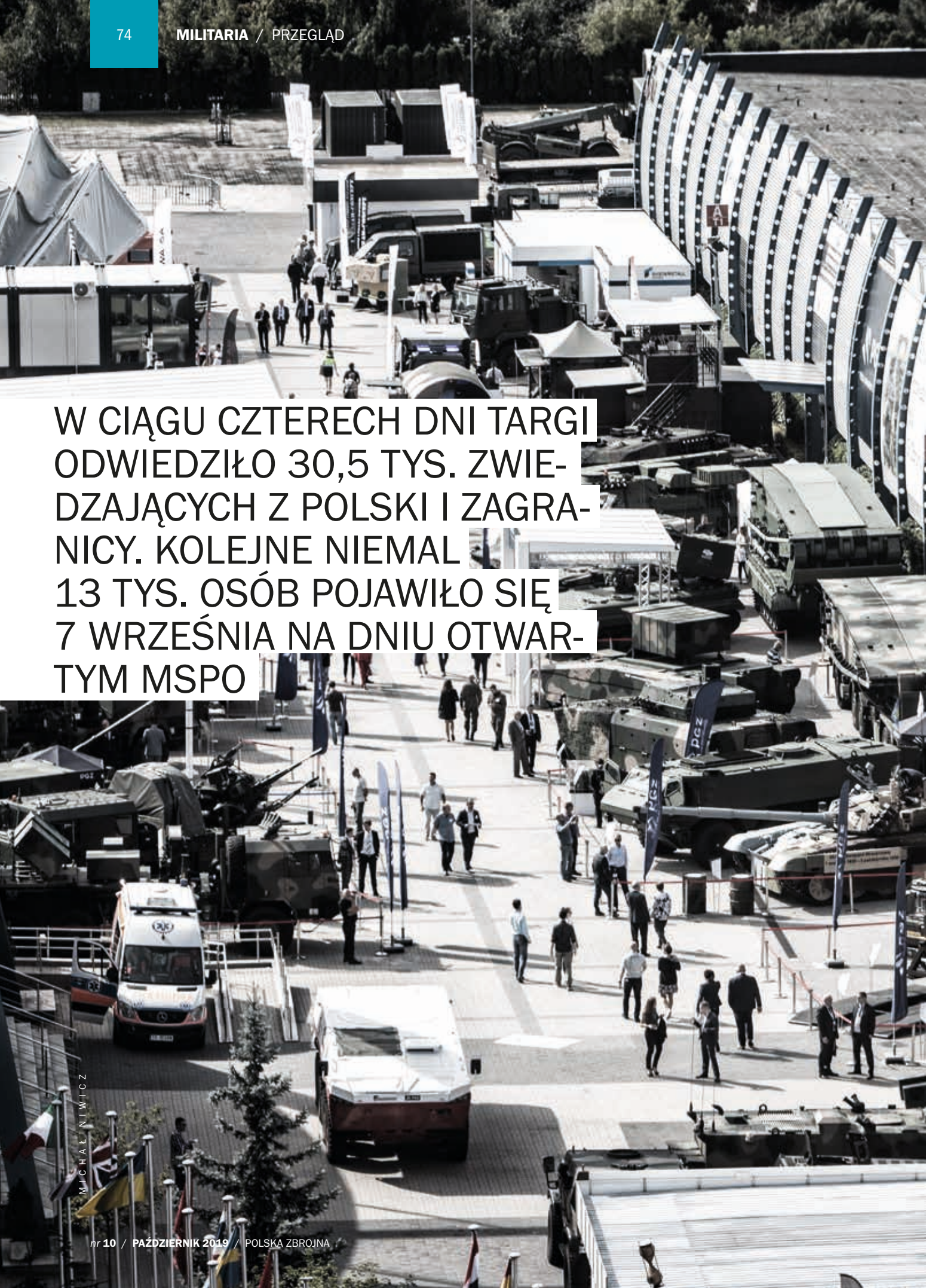
DAMIAN KRAMSKI / COMCAM

Firma Canon jest kojarzona głównie z branżą fotograficzną. Niewiele osób zdaje sobie jednak sprawę z tego, że nasza oferta jest o wiele szersza. Projektory instalacyjne, drukarki, skanery, monitory, teleobiektywy, kamery to cała gama specjalistycznego sprzętu, który usatysfakcjonuje nawet najbardziej wymagających użytkowników”, mówi Piotr Wieczorek, business development manager z Canona.

Jednym z najbardziej innowacyjnych produktów, który znajduje się w ofercie firmy, jest kamera ME20F-SHN. Ta, choć sprawia wrażenie niepozornej – waży zaledwie 1,1 kg, a jej wymiary to 102x116x113 mm – umożliwia pracę w ekstremalnych warunkach. Nie strasze jej ciemność i mgła, a dzięki specjalnej obudowie można z niej korzystać nawet pod wodą, uzyskując przy tym bardzo wyraźnie zarejestrowany obraz. A wszystko za sprawą niebotycznie wysokiej czułości, wynoszącej aż 4,5 mln ISO. Sprzęt rejestruje obraz także w paśmie podczerwieni. Aby zarejestrować świetnej jakości obraz, wystarczy minimalna ilość światła, choćby 0,0005 luksa. Dodatkowo, dzięki wykorzystaniu jednego z obiektywów, których jest ogromny wybór, użytkownik ME20F-SHN ma w zasadzie nieograniczone możliwości rejestrowania zdarzeń zarówno w szerokim planie, jak i z bardzo dużej odległości. „Ten sprzęt na pewno zainteresuje wszystkich, którzy zajmują się obserwacją i zależy im na zarejestrowaniu dobrej jakości materiału, na przykład dowodowego, przy jednoczesnym zachowaniu anonimowości”, mówi Wieczorek.

Osoby, które działają w tak wrażliwym obszarze, jakim są działania rozpoznawcze czy specjalne, nie powinny także przejść obojętnie obok całej gamy oferowanych przez Canona lornetek. A wszystko dlatego, że ta firma wdrożyła w konstrukcji know-how, które wcześniej stosowała w teleobiektywach. Dzięki temu jej produkty nie tylko umożliwiają kilkunastokrotne (wartość różni się w zależności od modelu) przybliżenie obserwowanych obiektów, lecz także idealnie odwzorowują ich barwy. Japoński gigant, jako jedyny w branży, wyposażył swój sprzęt w stabilizatory. Dzięki temu obraz obiektu jest bardzo ostry, nawet gdy podczas obserwacji znajduje się on w ruchu. Warto dodać, że wszystkie lornetki są także wodoodporne, dzięki czemu można ich używać nawet w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych.

Jak zapewnia przedstawiciel Canona, w ofercie firmy każdy znajdzie coś dla siebie. A nad tym, aby potencjalny użytkownik nie zginął w gąszczu informacji, będą czuwać eksperci. „Jesteśmy w stanie nie tylko pomóc w doborze sprzętu do potrzeb klienta, lecz także możemy zorganizować specjalistyczne szkolenia, podczas których wyjaśnimy, jak z niego korzystać, aby efekt był jak najbardziej satysfakcjonujący”, wyjaśnia Wieczorek. „Zresztą współpracujemy z przedstawicielami służb mundurowych od wielu lat. Te doświadczenia są najlepszym dowodem na to, że nasz sprzęt rzeczywiście sprawdza się w obszarze bezpieczeństwa”, dodaje.



W CIĄGU CZTERECH DNI TARGI
ODWIEDZIŁO 30,5 TYS. ZWIE-
DZAJĄCYCH Z POLSKI I ZAGRA-
NICY. KOLEJNE NIEMAL
13 TYS. OSÓB POJAWIŁO SIĘ
7 WRZEŚNIA NA DNIU OTWAR-
TYM MSPO

CZAS DLA ZBROJENIÓWKI

Na tegorocznych targach kieleckich, jednej z największych imprez branży zbrojeniowej w Europie, zaprezentowało się 610 wystawców z 31 państw.

T A D E U S Z W R Ó B E L

Organizowany po raz 27. Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego przeszedł już do historii. Wśród ważnych wydarzeń targowych można wymienić parafowanie przez ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka wniosków na dostawę systemu przeciwpancernego Javelin oraz transportowców C-130 Hercules. Resort obrony zawarł również kontrakty ze spółkami należącymi do Polskiej Grupy Zbrojeniowej, m.in. na 16 mobilnych radarów Bystra. Podpisano też umowę między firmami Raytheon i Huta Stalowa Wola, na produkcję w Polsce wyrzutni dla systemu Patriot. Ważne było też porozumienie Mesko SA z MBDA, włączające polską firmę do łańcucha dostawców elementów dla pocisków rakietowych, przeciwlotniczego CAMM i przeciwpancernego Brimstone.

Polskę reprezentowały w Kielcach oprócz PGZ także prywatne firmy zbrojeniowe, m.in. Grupa WB,

Teldat i Lubawa, które zdobyły wiele targowych wyróżnień. Nagrodę Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej przyznano opracowanej przez Grupę WB rodzinie amunicji krążącej Warmate. To pierwszy wypadek uhonorowania przez prezydenta firmy prywatnej, w której Skarb Państwa ma mniejszościowy udział. Ta firma wraz z spółkami PGZ otrzymała również wyróżnienie ministra obrony za bojowy pływający wóz piechoty Borsuk. Minister przedsiębiorczości i technologii jako najlepszego eksportera uzbrojenia wyróżnił natomiast Lubawę. Prywatni producenci znaleźli się też w gronie uhonorowanych Defenderami.

Po rocznej przerwie wróciła koncepcja wystawy narodowej. W tym roku w Kielcach prezentował się amerykański przemysł obronny. Na MSPO pojawiło się ponad 60 firm zza Atlantyku. Największe zainteresowanie budził model samolotu wielozadaniowego F-35.

DEFENDERY 2019

Wyróżnieni nagrodą zostali:

- konsorcjum WTI: Teldat (lider), Siltec za węzeł teleinformatyczny w wersji przenośnej;
- UMO za miniaturowy bezzałogowy śmigłowiec rozpoznawczy Black Hornet Nano;
- CS Veterans w konsorcjum z Bumeksem i Hydronautyką za technologię i urządzenia do termohydrografiki;
- Celtech za kontenerową pralnię połową KPP-600;
- Polska Grupa Zbrojeniowa i spółki uczestniczące: Huta Stalo-

wa Wola, Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Urządzeń Mechanicznych OBRUM, Wojskowe Zakłady Motorzacyjne, Wojskowe Zakłady Uzbrojenia i Mesko za koncepcję wariantową niszczyciela czołgów;

– Wojskowy Instytut Techniczny Uzbrojenia (lider), Autocomp Managment za mobilny, modułowy symulator dla załogi czołgu Leopard 2A5 (Table Top Trainer-TTT-Leo2A5);

– Zakłady Chemiczne Nitro-Chem (lider), Wojskowy Instytut Techniczny Uzbrojenia (konsor-

cjant) za pierwszy polski małowrażliwy ładunek wybuchowy elaborowany w prototypie pocisku artyleryjskiego wraz ze stanowiskiem badawczym oraz kompletem badań zgodnych z wymaganiami STANAG 4439;

– Grupa WB za zintegrowany system zarządzania walką Topaz;

– PCO za lornetkę termowizyjną NPL-1T Agat;

– Szczeńiak Pojazdy Specjalne za ciężki specjalny samochód ratownictwa drogowego na podwoziu Renault K520 8x4.



GOGLE MU-3ADM CHARAKTERYZUJĄ SIĘ DOSKONAŁYMI PARAMETRAMI WYKRYWANIA, ROZPOZNAWANIA I IDENTYFIKACJI

OPTOELEKTRONIKA

COŚ DLA OKA

Na MSPO podpisano trzy, warte łącznie 70 mln zł, kontrakty na dostawę optoelektronicznego wyposażenia osobistego dla żołnierzy wojsk obrony terytorialnej i jednostek operacyjnych.

Pierwsza umowa jest na dostawę 125 sztuk celownika PCS-5M oraz 140 lornetek noktowizyjnych NPL-1M. Drugi kontrakt obejmuje dostawę 119 monokularów noktowizyjnych MU-3AM oraz

527 zminiaturyzowanych gogli noktowizyjnych **MU-3ADM**. Trzecie zlecenie dotyczy dostarczenia 45 strzeleckich celowników termowizyjnych SCT Rubin. WSKI ■

AERO 4X4

Pojazd na pokład



Jeszcze w 2019 roku do Wojska zostanie przekazana pierwsza partia 15 pojazdów wysokiej mobilności Aero 4x4 wraz z przyczepami Aero TR. W grudniu 2018 roku Inspektorat Uzbrojenia podpisał umowę z konsorcjum KAFAR Bartłomiej Sztukiert na 55 pojazdów

i 105 naczep. Zawarta została w niej opcja rozszerzenia zamówienia o 25 wozów i 55 przyczep. Zaprojektowany na podwoziu jednego z wariantów samochodu Toyota Land Cruiser pojazd Aero można przewozić na pokładach samolotów transportowych, w tym znajdujących się w wyposażeniu polskich sił powietrznych maszyn C-130 Hercules i C-295M oraz śmigłowców (wewnątrz lub podwieszony). Przy dopuszczalnej masie całkowitej 3,5 t jego ładowność wynosi 1,2 t. TED ■



SKYCEPTOR

Krótszy zasięg

A amerykański koncern Raytheon na kieleckich targach jako propozycję dla polskiego systemu obrony powietrznej zaprezentował pocisk krótkiego zasięgu Skyceptor bez silnika startowego, czyli boostera. Przedstawiciele firmy nie podali, o ile zmniejszy się zasięg skyceptora bez silnika startowego, ale zapewnili, że będzie on większy niż nasze wymagania. Amerykanie zadeklarowali, że w Polsce byłoby wytwarzane 60% komponentów pocisku, w tym wyrzutnie dla systemu krótkiego zasięgu. WT ■

HARDUN

TECHNICZNE POGOTOWIE

W ramach porozumienia z 2015 roku wojsko
ma otrzymać **27 hardunów** (dostawy już trwają).

Szerzej pierwszy raz zaprezentowano ciężki kołowy pojazd ewakuacji i ratownictwa technicznego Hardun w układzie napędowym 8x8, stworzony przez firmę Rosomak SA na podwoziu samochodu ciężarowego Scania. Wóz o dopuszczalnej masie całkowitej 26 t



jest przeznaczony do zabezpieczenia technicznego pododdziałów wyposażonych w pojazdy kołowe, w tym w różne wersje transportera opancerzonego Rosomak. Do akcji ratowniczo-ewakuacyjnych i holowniczych służy specjalistyczne wyposażenie: dwie wciągarki hydrauliczne (główna i pomocnicza), urządzenie podnosząco-holownicze o napędzie hydraulicznym i dwuczłonowy hydrauliczny żuraw o udźwigu 3,9–16 t. Hardun ma też sprzęt do ratownictwa drogowego, podpory stabilizujące i lemiesz o napędzie hydraulicznym. Czteroosobowa opancerzona kabina zapewnia ochronę balistyczną oraz przeciwminową. Do osłony pojazdu służą wyrzutnie grantów dymnych 81 mm i wielozakresowe pokrycie maskujące. WR

KUTRY HOLOWNICZE

Więcej niż kuter

Na targach w Kielcach można było zobaczyć dwa kutry holownicze przeznaczone do budowy i obsługi mostów pontonowych. Jednostki zapewniają ich tymczasowe zakotwiczenie i stabilizację. Mogą też być wykorzystane do przepraw promowych, transportu ludzi oraz ładunków, a także w działaniach ratowniczych, rozpoznawczych czy patrolowych. Pierwszy z nich, bridge erection boat (BEB) o długości 7,2 m, australijska firma Birdon produkuje dla saperów US Army. Drugi, vedette F2 o długości 7,75 m, jest dziełem francuskiej firmy CEFA. Płaskodenne kadłuby obu jedno-

stek są wykonane z aluminium i mają podobne zanurzenie 0,5–0,56 m. Ładowność BEB wynosi ponad 900 kg, a vedette F2 – 600 kg, ale masa australijskiej jednostki jest większa o tonę niż francuskiej. WRT



OTTOKAR-BRZOZA

Można wybierać

Polska Grupa Zbrojeniowa wzięła sobie do serca sugestie wojskowych, którzy wskazywali, że przemysł obronny najczęściej nie zostawia żołnierzom żadnego wyboru, jeśli chodzi o nowy sprzęt wojskowy. Pokazuje się im gotowy projekt i oni mają go kupić lub nie. W efekcie na tegorocznym MSPO zaprezentowano nie jedną, lecz aż trzy propozycje polskiego niszczyciela czołgów na podwoziu gąsienicowym. Przypomnijmy, że polskie wojsko niedawno uruchomiło program pozyskania tego typu konstrukcji o kryptonimie „Ottokar-Brzoza”. PGZ, nie czekając na wyniki dialogu technicznego w tej sprawie, pokazała na targach, jak szeroką ofertę ma dla naszej armii. Od budżetowej wersji – BWP-1, przez droższe, lecz nowocześniejsze wozy bojowe Anders, po układ jezdny od kraba – najdroższy, ale dający najwięcej możliwości, jeśli chodzi o warianty zabudowy.

Co do uzbrojenia ottokarów-brzóz z PGZ to z racji podpisanego podczas MSPO porozumienia z MBDA UK w sprawie produkcji w Mesku podzespołów przeciwpancernych pocisków kierowanych Brimstone Grupa promuje te brytyjskie rakiety. Jednocześnie podkreśla, że gdy wybór armii padnie np. na izraelskie pociski Spike ER, to nie będzie najmniejszego problemu z ich integracją. KW



BORSUK
zostanie uzbrojony
w automatyczną wieżę
z armatą Mk44
Bushmaster II kalibru
30 mm z pociskami
Spike LR.

BORSUK

Potrzebny od zaraz

Następcą BWP-1 ma zostać pojazd **Borsuk**.

Analizując potencjał rodzimych wojsk pancernych i zmechanizowanych, nie sposób nie zauważyć, że polska armia bewupami stoi. Z każ-

dym rokiem coraz bardziej odstają one od wymagań współczesnego pola walki. Za cienki pancerz, za słabą armatą, brak skutecznych środ-

ków przeciwpancernych. Wymiana BWP-1 na nową konstrukcję to już nie potrzeba, lecz wymóg. Ich następcą ma być pojazd Borsuk, nad którym na zlecenie wojska pracuje konsorcjum polskich firm na czele z Hutą Stalowa Wola.

Na MSPO 2019 pokazano prototyp, który za kilka tygodni rozpocznie ostatni etap prób, czyli badania zakładowe mające zakończyć się opracowaniem dokumentacji do produkcji seryjnej. Nowy polski bewup będzie ważył niecałe 25 t, zostanie uzbrojony w automatyczną wieżę z armatą Mk44 Bushmaster II kalibru 30 mm z pociskami Spike LR i okryty pancerzem odpornym w klasie STANAG 3 (z boku) i STANAG 4 (z przodu) i, co najważniejsze, błędzie pływał. WIL ■

SCORPIO

OFERTA Z ZAPOROŻA

Ukraińska firma Infocom Ltd pokazała na MSPO mobilną wielozadaniową platformę bezałogową Scorpio na podwoziu gąsienicowym. Jedną z jej wersji może być robot do wsparcia ogniowego i rozpoznania dla małych pododdziałów. W jego wyposażeniu znajdują się cztery kamery oraz po dwa radary przednie i tylne o zasięgu 70–170 m. Można na niej zamontować wieżyczkę ze sprzętem wojskowym, takim jak granatnik automatyczny 40-milimetrowy czy wyrzutnie pocisków przeciwpancernych, a także różne kamery. W ■



MI-24

Skok w XXI wiek

Polska Grupa Zbrojeniowa wraz Instytutem Technicznym Wojsk Lotniczych oraz izraelską firmą Rafael przygotowały pakiet modernizacyjny dla rodzimych śmigłowców Mi-24W oraz

Mi-24D. Maszyny mają otrzymać system samoobrony, scentralizowany system zarządzania lotem (Flight Management System, FMS), zaawansowaną głowicę optoelektroniczną oraz cyfrowy system zarządzania uzbrojeniem, ale przede wszystkim przeciwpancerne pociski kierowane, za pomo-

cą których mogłyby razić cele oddalone o kilkanaście kilometrów. Jak wyjaśniali przedstawiciele konsorcjum, przygotowany pakiet można zastosować we wszystkich typach śmigłowców byłego bloku wschodniego – Mi-2, Mi-8, Mi-17 albo ich odmian, jak np. W-3 Sokół. WIL ■



KOMUNIKACJA

BEZPIECZNE MELDUNKI

Zeby wojsko mogło sprawnie działać, nie tylko na polu walki, lecz także w czasie pokoju, potrzebuje skomputeryzowanych sieci wsparcia dowodzenia, którymi będzie mogło się bez przeszkód komunikować. Do ich zbudowania w polu nie wystarczą komputery wraz z odpowiednim oprogramowaniem. Konieczna jest infrastruktura sieciowa, która zadba o stabilną transmisję danych, a także ich bezpieczeństwo. Na kieleckim MSPO bydgoska firma Teldat zaprezentowała mobilną wersję węzłów teleinformatycznych WTI, które od końca 2018 roku dostarcza polskiej armii. Te niepozornie wyglądające urządzenia pozwalają naszym rodzimym systemom wsparcia dowodzenia, np. **SWD C3IS Jaśmin** (który wdrożono do służby w 2018 roku i przetestowano podczas ćwiczeń „Anakonda”), na pracę w dowolnym miejscu z systemami dowodzenia o najwyższych klauzulach tajności używanymi przez naszych sojuszników. Krz ■

WARSZAWA / WARSAW
20 LISTOPADA 2019
20 TH NOVEMBER 2019
NOVOTEL HOTEL
AIRPORT WARSZAWA



**XV MIĘDZYNARODOWA
KONFERENCJA I WYSTAWA
NOWOCZESNE TECHNOLOGIE
DLA BEZPIECZEŃSTWA KRAJU
I JEGO GRANIC 2019**

**XV INTERNATIONAL
CONFERENCE AND EXHIBITION
ADVANCED TECHNOLOGIES
FOR HOMELAND DEFENCE
AND BORDER PROTECTION 2019**

ORGANIZATOR: **ztw.pl**
NOWOCZESNETECHNOLOGIE.ZTW.PL

GŁÓWNY PARTNER PRZEMYSŁOWY:



WYŚCIG BLIŹNIAKÓW

Po analizie tego, co pokazano na londyńskich targach zbrojeniowych, można wyciągnąć ciekawe wnioski. Zarówno wojsko, jak i przedstawiciele przemysłu uważają, że czeka nas klasyczna, konwencjonalna wojna linearna.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Jeden z wojskowych ekspertów, porównując londyńskie targi zbrojeniowe DSEI, czyli Defence and Security Equipment International (odbywające się w latach nieparzystych), z paryskimi Eurosatory (organizowanymi w latach parzystych), stwierdził, że przypominają mu one rywalizujące ze sobą bliźniaki.

Obie imprezy powstały na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku jako wewnętrzne, rządowe targi zbrojeniowe, na które raczej nie zapraszano delegacji zagranicznych. Zmieniło się to pod koniec stulecia, kiedy obie inicjatywy sprywatyzowano. Wówczas goście z zagranicy stali się wręcz pożądanymi.

Od tej pory te dwie wystawy zawzięcie ze sobą rywalizują o prymat największej w regionie. Przez kilka lat było tak, że padały kolejne rekordy i na czoło wyścigu wysuwał się ten, kto był w danym roku organizatorem. W 2009 roku Brytyjczycy ściągnęli 1280 wystawców z 40 krajów. Rok później na Eurosatory przyjechało 1327 firm z 54 krajów, a na DSEi w 2011 – 1392 wystawców z 46 państw. Teraz wszystko wskazuje jednak na to, że tytuł zwycięzcy zostaje przy Francuzach. Rok temu pojawiło się w Paryżu 1789 wystawców z 63 krajów. I Brytyjczykom w tym roku tych wyników poprawić się nie udało. Organizatorzy londyńskich targów w dniu otwarcia deklarowali, iż

jest ponad 1700 wystawców z ponad 60 państw, ale dokładnych liczb nie podali.

SIŁA NA MORZU

DSEI od Eurosatory zdecydowanie różni się profilem imprezy. Londyńskie targi są nie tylko bardziej otwarte na Stany Zjednoczone oraz kraje Wspólnoty Narodów, czyli będące kiedyś częścią brytyjskiego imperium kolonialnego. DSEI są również zdecydowanie bardziej nastawione na morską gałąź przemysłu w stosunku do mocno lądowych Eurosatory. Znajduje to odzwierciedlenie chociażby w nawodnej wystawie, która im towarzyszy. W dokach na Tamizie pojawiło się aż osiem okrętów wojennych: brytyjskie to HMS „Argyll” – fregata rakietowa typu 23, HMS „Medway” – patrolowiec, HMS „Grimsby” – niszczyciel min, HMS „Dasher” i HMS „Trumpeter” – patrolowce i okręty szkolne; belgijski BNS „Pollux” – patrolowiec; holenderski HNLMS „Zeeland” – patrolowiec; francuski FS „Garonne” – okręt wsparcia. Na takie atrakcje w sercu Paryża nie ma co liczyć.

Trudno się dziwić takiemu profilowi targów, skoro ich organizator, Wielka Brytania, do wybuchu II wojny światowej miał największą flotę wojenną na świecie, a obecnie dysponuje najsilniejszą, po Rosji, na Starym Kontynencie. Ponadto w najbliższych latach Royal Navy chce znacząco zwiększyć



Adm. TONY RADAKIN, szef Royal Navy: „Cała marynarka wojenna musi się zmienić, by podołać stawianym jej wyzwaniom. Chcemy być gotowi do użycia naszych sił na całym świecie na takim poziomie, jak nasi sojusznicy ze Stanów Zjednoczonych i Francji”.



Belgijski patrolowiec BNS „Pollux”



Holenderski patrolowiec HNLMS „Zeeland”

KRZYSZTOF WILEWSKI (2)

LONDYŃSKIE TARGI ZBROJENIOWE DSEI TO OBOK PA- RYSKICH EUROSAT- ORY NAJWIĘKSZA IMPREZA WYSTA- WIENNICZA BRANŻY OBRONNEJ NA ŚWIECIE

swoj potencjał, o czym głośno mówiono właśnie na DSEI. Adm. Tony Radakin, szef Royal Navy, na towarzyszącej targom konferencji poświęconej przyszłości brytyjskiej marynarki wojennej zapowiedział, że w najbliższych latach stoi przed nią pięć najważniejszych zadań: zwiększenie obecności na północnym Atlantyku, stworzenie grupy uderzeniowej lotniskowca, utworzenie dowództwa V generacji, wprowadzenie do służby nowych typów okrętów oraz wdrażanie nowych technologii. „Cała marynarka wojenna musi się zmienić, by podolać stawianym jej wyzwaniom. Chcemy być gotowi do użycia naszych sił na całym świecie na takim poziomie, jak nasi sojusznicy ze Stanów Zjednoczonych i Francji. Chcemy mieć globalną marynarkę wojenną, oddziaływać, wywierać wpływ i reagować na zagrożenia dużo szybciej”, podsumował admirał.

Na targach DSEI można było zatem zobaczyć projekty zarówno nowych fregat rakietowych typu 31E, które mają zastąpić w linii okręty typu 23 (obecny na wystawie HMS „Argyll” jest najstarszy z nich), nowych atomowych okrętów podwodnych, jak i szeroki wachlarz mniejszych jednostek wsparcia.

REFORMA LĄDÓWKI

Na tegorocznych targach w Londynie swoje wyroby prezentowali również bardzo licznie producenci czołgów, transporterów opancerzonych czy sprzętu artyleryjskiego. Brytyjska armia przeprowadza bowiem zakrojony na szeroką skalę program modernizacji sił lądowych. W 2015 roku zamówiła prawie 600 bojowych wozów piechoty Ajax, a w tym roku chce podpisać kontrakt na zakup ponad 500 nowych transporterów opancerzonych. Najprawdopodobniej będą to wozy Boxer, których opracowanie Brytyjczycy sfinansowali, a w 2003 roku wycofali się z prac badawczo-rozwojowych prowadzonych przez Niemców i Holendrów. Ostatnim w kolejce sprzętem do wymiany są czołgi Challenger II. Brytyjczycy z powodów finansowych zdecydowali się raczej nie na zakup nowych konstrukcji, lecz na głęboką modernizację, żeby można było z nich korzystać jeszcze przez 10–15 lat.

Zarówno na DSEI, jak i na Eurosatory bardzo licznie prezentują się producenci zagraniczni. Znamienne jest to, że i w Londynie, i w Paryżu mocno chciała się pokazać Turcja. Ismail Demir, szef rządowej tureckiej agencji Savunma Sanayii Başkanlığı, która ma wspierać firmy zbrojeniowe w walce o eksport, podkreślał podczas targów, że w ostatnich 15 latach tamtejszy przemysł obronny zrobił znaczący postęp i teraz szuka nie tylko rynków zbytu, lecz także zagranicznych partnerów. „Dziś niewiele krajów jest w stanie prowadzić samodzielnie duże projekty badawczo-rozwojowe. Chcemy zwiększyć eksport i współpracę z innymi państwami szczególnie w dużych projektach”, komentował.

Nasz kraj na DSEI reprezentowały Polska Grupa Zbrojeniowa, spółki MSP i Advanced Protection Systems oraz Grupa WB. ■

Pancerna karuzela

Dzięki modernizacji T-72 do wersji B3M powstała niezwykle groźna dla przeciwnika maszyna, szczególnie jeśli Rosjanie użyją jej zgodnie z nową taktyką działania sił pancernych.

TOMASZ OTŁOWSKI

Kilka lat temu Rosja zaczęła intensywnie wzmacniać siły militarne stacjonujące w obwodzie kalininogradzkim, wyposażając je m.in. w zmodernizowane czołgi T-72 w wersji B3M. Wielu polskich ekspertów bagatelizowało te doniesienia, twierdząc, że rosyjskie wozy nawet po głębokiej modernizacji nie będą w stanie zagrozić naszym leopardom i twardym. Takie podejście do polityki modernizacyjnej sił pancernych Federacji Rosyjskiej jest jednak całkowicie nieuzasadnione.

REWOLUCJA, A NIE KOSMETYKA

Najnowszy pomysł na odmłodzenie T-72 jest niezwykle efektywny konstrukcyjnie. Powstała maszyna bardzo groźna dla przeciwnika pod względem operacyjnym, zwłaszcza jeśli uwzględni się rewolucyjne zmiany w taktyce działania sił pancernych FR, opracowane głównie na podstawie doświadczeń z walk w Syrii. Te nowatorskie rozwiązania w dużym stopniu dotyczą właśnie czołgów rodziny T-72 – wciąż będących najliczniejszym komponentem sprzętowym pancernych formacji armii rosyjskiej.

T-72 w wersji B3M (niekiedy zwanej także B4) to największy i najdalej idący w zastosowanych rozwiązaniach spośród dotychczasowych rosyjskich projektów modernizacyjnych tego typu czołgów. Umożliwia przekształcenie tych maszyn pod względem parametrów bojowych do stan-



dardu T-90, a w wielu aspektach nawet wyższego. O ile bowiem poprzednie modernizacje T-72 były kosmetyczne, o tyle ta polega na wielowymiarowej ingerencji w oryginalną konstrukcję.

Ogólny układ i wygląd czołgów T-72 zmodernizowanych do wersji B3M niewiele różni się od pierwowzoru, który zaczął opuszczać sowieckie (i nie tylko) fabryki przed ponad czterema dekadami. Tak jak w oryginale, unowocześnione konstrukcje są obsługiwane przez trzysobową załogę w składzie dowódca, kierowca-mechanik i działonowy-celowniczy, a podział zadań między nimi pozostał w zasadzie taki sam. Zmianie uległo jedynie wyposażenie zastosowane w wersji B3M, zwłaszcza w odniesieniu do obserwacji pola walki oraz poprawy świadomości sytuacyjnej załogi czołgu.

T-72/B3M zostały uzbrojone w 125-milimetrową gładkolufową armatę typu 2A46M-5, będącą kolejną wersją standardowego dla T-72 działa 2A46M. Oprócz tradycyjnej amunicji czołgowej (pociski podkalibrowe, odłamkowo-burzące oraz kumulacyjne) można z niego wystrzeliwać przeciwpancerne pociski kierowane typu 9M119 Refleks o zasięgu do 4 km. Tak jak wszystkie serie wozów typu T-72, również wersja B3M jest wyposażona w karuzelowy automat ładowania amunicji działowej z 22 pociskami, a maksymalny zapas ładunków armatnich to 45 sztuk.



ILIYA PITALEV / EAST NEWS

DZIĘKI TAKTYCE WYMYŚLONEJ PRZEZ GEN. WŁADIMIRA ROCHLINĄ DO CZOŁGÓW NIE TRZEBA ZABIERAĆ ZAPASU AMUNICJI DO AUTOMATU KARUZELOWEGO, CO ZWIĘKSZA ICH PRZEŻYwalność W BOJU

W uzbrojeniu znajduje się także karabin maszynowy PKTM kalibru 7,62 mm (z 2 tys. naboju), zamontowany wspólnie z działem, oraz wielkokalibrowy karabin maszynowy typu NSW lub Kord kalibru 12,7 mm, umocowany na wieży przy kopule dowódcy (300 pocisków w zapasie).

SZEROKIE POLE DZIAŁANIA

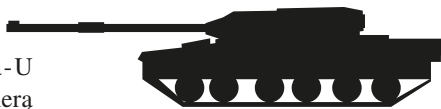
Obronę i osłonę T-72/B3M zapewnia przede wszystkim pancerny reaktor nowej generacji typu Relikt. Według Rosjan, ma on aż dwukrotnie lepsze parametry ochrony przed ładunkami kumulacyjnymi niż ten poprzedniej generacji, czyli Kontakt. Ułożenie dużych kaset pancerza reaktywnego ERA (explosive reactive armour) oraz dodatkowych modułów opartych na elementach SLERA (self-limiting explosive reactive armour) na wieży upodabnia nieco T-72/B3M do T-90.

Dodatkowo jako ochronę czołgu zastosowano klasyczne rozwiązania w postaci ekranów prętowych (tył wieży i kadłuba), a także osłony burt i zawieszania ze zmodyfikowanych ciężkich fartuchów balistycznych. Po lewej stronie wieży znajduje się kasetka z wyrzutnią granatów dymnych. Całości środków bezpieczeństwa pojazdu i załogi dopełnia system przeciwpożarowy 3EC-13-1 Iniej oraz nowy system ochrony przed skażeniami ABC (bronią atomową, biologiczną, chemiczną). Według niepotwierdzonych informacji, najnowsze modele T-72/B3M (roczniki 2018–2019) mają być także wyposażane w system aktywnej obrony (active protection system – APS) typu Arena-E.

T-72/B3M otrzymały też nowe silniki o mocy 1130 KM z automatyczną skrzynią biegów, które zastąpiły oryginalne dieselskie jednostki napędowe czołgów tego typu o mocy 780 KM. Ten nowy pozwala osiągnąć prędkość maksymalną do 75 km/h na drodze utwardzonej i 60 km/h na gruncie, przy zasięgu do 550 km, znacznie zwiększając również manewrowość i mobilność pojazdu w terenie.

Jednym z najważniejszych nowych rozwiązań technologicznych wdrożonych w projekcie B3M jest jednak odrębny panoramiczny przyrząd obserwacyjny dowódcy wozu. Urządzenie to, w pełni stabilizowane i wyposażone w zintegrowaną kamerę dzienną i nocną oraz dalmierz laserowy, zostało zamontowane centralnie między dwoma włazami na szczycie wieży. Pozwala ono obserwować pole walki niezależnie od celowniczego, wyznaczać kolejne cele i namierzać ich koordynaty. W efekcie maszyny typu T-72/B3M uzyskały pełną zdolność hunter-killer (symultanicznego atakowania dwóch i więcej celów), charakterystyczną dla współczesnych czołgów zachodnich. Jako alternatywę i rezerwę pozostawiono w zmodernizowanych wozach stary system obserwacyjny dowódcy (TKN-3). Podobnie postąpiono z przeznaczonym dla celowniczego systemem TPD-K1, który został zastąpiony przez nowoczesny modu-





łowy celownik PNM-T Sosna-U z optycznym torem dziennym i kamerą termalną typu Catherine-FC.

Nowością w T-72/B3M jest również zautomatyzowany system kierowania ogniem z cyfrowym przelicznikiem balistycznym. Dodatkowo w czołgach zainstalowano cyfrowe radiostacje R-168-25UE-2 oraz interkom R-168AWSK-B. Świadomość sytuacyjną kierowcy zwiększa też zainstalowana z tyłu wozu kamera, działająca w trybie światła dziennego i nocnego.

TAKTYKA WYKUTA NA WOJNIE

Przede wszystkim jednak to nowa taktyka użycia w boju sprawia, że czołgi T-72 w wersji B3M są szczególnie groźne dla przeciwnika. Już na podstawie doświadczeń z asymetrycznych walk w Czeczenii w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia Rosjanie zaczęli dopuszczać w szkoleniu swych sił pancernych nowatorskie metody działania. Prawdziwy przełom w tej dziedzinie nastąpił jednak dopiero teraz. Początkowo w konflikcie syryjskim uczestniczyli wyłącznie rosyjscy doradcy, w tym także oficerowie formacji pancernych, których zadaniem było szkolenie sił rządowych oraz asystowanie walczącym wojskom prorządowym na szczeblu operacyjnym. Później, po 2015 roku, do walk w Syrii po stronie reżimu Baszszara al-Asada włączyły się już bezpośrednio jednostki sił zbrojnych FR oraz najemnicy z prywatnych firm militarnych, wyposażeni m.in. w najnowsze typy czołgów.

Rosjanie od kilku lat testują w Lewancie, w warunkach niezwykle zażartego konfliktu asymetrycznego, swe najnowsze typy uzbrojenia, amunicji i sprzętu. Eksperymentują także z nową taktyką i procedurami bojowymi. Szczególnie cenne doświadczenia zdobywają m.in. w działaniach sił pancernych w terenie zabudowanym. Jednym z najważniejszych wniosków z tych doświadczeń jest konstatacja, że we współczesnych konfliktach zbrojnych czołgi rzadko stają naprzeciw siebie do klasycznej walki. Coraz częściej za to ciężki sprzęt bojowy jest wykorzystywany jako mobilna platforma wsparcia ogniowego (artyleryjskiego) piechoty, przełamująca ogniem pozycje przeciwnika i torująca drogę własnym grupom szturmowym.

Do najważniejszych zasad operowania bronią pancerną w warunkach boju w terenie zurbanizowanym należy utrzymanie jej wysokiej mobilności. Czołg będący w czasie walki w ruchu jest dla operatorów wyrzutni ATGM (anti-tank guided missile) znacznie trudniejszym celem, niż ten pozo-

NAJNOWSZA MODERNIZACJA T-72 JEST NIEZWYKLE ATRAKCYJNA FINANSOWO, ZWŁASZCZA W PORÓWNANIU Z ALTERNATYWNYM PROGRAMEM PRODUKCJI „NOWEGO” CZOŁGU PODSTAWOWEGO – T-90. JEDEN EGZEMPLARZ T-90 KOSZTUJE TYLE, ILE MODERNIZACJA DO STANDARDU B3M AŻ CZTERECH MASZYN T-72

stający w jednym miejscu. Tej pozorne oczywistej lekcji nie odrobili nie tylko sami Syryjczycy (syryjskie siły rządowe utraciły od 2011 roku około 3 tys. czołgów i drugie tyle bojowych wozów piechoty), lecz także np. Turcy podczas interwencji na północy Syrii w latach 2016–2017 (stracili kilkadziesiąt maszyn, w tym dziesięć Leopardów 2A4).

Rosyjscy pancerniacy doskonale znają jednak tę zasadę z Czeczenii. Jednym z takich nowatorskich sposobów prowadzenia boju z użyciem czołgów (przede wszystkim właśnie T-72) w warunkach miejskich stała się słynna karuzela ogniowa, zwana także karuzelą Rochlina od nazwiska pomysłodawcy, generała rosyjskich sił pancernych. Taktyka ta opiera się na założeniu, że duża szybkostrzelność tych czołgów – do ośmiu strzałów na minutę – można zwielokrotnić przez odpowiednie, sekwencyjne wykorzystanie z reguły dużej liczby dostępnych na placu boju maszyn. W takiej karuzeli czołgi (w ramach plutonu lub kompanii) po kolei podjeżdżają na rubież prowadzenia ognia, gdzie w ciągu

niespełna trzech minut wystrzeliwują w maksymalnym tempie zapas amunicji znajdujący się w automacie ładowania (22 pociski), po czym wycofują się, a ich miejsce zajmuje kolejna maszyna. Potem trzecia, czwarta itd., aż do zniszczenia wszystkich wyznaczonych celów przeciwnika. Wówczas oznacza się kolejną rubież ogniową i cała operacja jest powtarzana.

Takie wykorzystanie zmasowanego ognia dział czołgowych stanowi w realiach walk miejskich potężne wsparcie oraz osłonę, dzięki którym własne oddziały szturmowe mogą nawiązać z oszołomionym i osłabionym nieprzyjacielem bezpośredni kontakt bojowy. Z kolei same czołgi pozostają na pozycji ogniowej zbyt krótko, aby zostały namierzone i porażone przez wrogie zespoły ATGM. Taktyka ta – genialna w swej prostocie – doczekała się wielu różnych wariantów. W Syrii (np. w Aleppo czy prowincji Idlib) karuzela Rochlina okazała się niezwykle skuteczna, zapewniając siłom rządowym niemal natychmiastowe przełamywanie obrony rebeliantów.

O tym, że różne nowatorskie metody walki na dobre gościły w rosyjskiej taktyce pancernej, świadczy to, że stosowano je na wschodzie Ukrainy w latach 2015–2016. Poza tym każde duże manewry z udziałem rosyjskich formacji pancernych, takie jak „Zapad”, zawierają elementy działań do niedawna uważanych za całkowicie niekonwencjonalne. ■

WĘZŁ TELEINFORMATYCZNY (WTI) W WERSJI PRZENOŚNEJ



NAGRODA DEFENDER 2019

Innowacyjny i wysokowydajny duży zbiór wojskowych rozwiązań ICT (sprzętowych i programowych) zapewniających nowoczesną, sieciową i bezpieczną infrastrukturę teleinformatyczną dla systemu dowodzenia i łączności SZ RP

Opracowany na podstawie kilkunastoletniego doświadczenia z wdrażania, eksploatacji i doskonalenia węzłów teleinformatycznych JAŚMIN, także na teatrach działań wojennych



TEL.DAT
www.TELDAT.com.pl



» Star 66

- ❶ Masa własna – 5200 kg
- ❷ Ładowność – 4500 kg
- ❸ Długość – 6528 mm
- ❹ Szerokość – 2400 mm
- ❺ Wysokość – 2875 mm
- ❻ Silnik – benzynowy, 6-cylindrowy o pojemności skokowej 4680 cm³ i mocy 105 KM
- ❼ Rozstaw osi – 2858 mm, 1200 mm

W 1958 roku w zakładzie w Starachowicach została uruchomiona produkcja pierwszego polskiego trzyosiowego samochodu ciężarowo-terenowego opracowanego na potrzeby sił zbrojnych. Miał napęd na sześć kół i dwuosobową kabinę ze składanym brezentowym dachem.



» Star 660

- ❶ Masa własna – 5300 kg (wersja 660M1)
- ❷ Ładowność – 4500 kg
- ❸ Długość – 6528 mm
- ❹ Szerokość – 2400 mm
- ❺ Wysokość – 2875 mm
- ❻ Silnik – wysokoprężny, 6-cylindrowy o pojemności skokowej 6230 cm³ i mocy 105 KM (wersja 660D)
- ❼ Rozstaw osi – 2858 mm, 1200 mm

W 1965 roku do wojska zaczęto dostarczać ciężarówkę będącą modernizacją stara 66. Do czasu zakończenia produkcji stara 660 w 1983 roku zastąpiono m.in. silnik benzynowy S47 wysokoprężnym, ale zachowano początkowo kabinę z poprzednika.



Do wojska dostarczano stary w wersjach skrzyniowych i specjalistycznych, m.in. cysterny, wozy naprawcze, dowódczo-sztabowe, gaśnicze, dźwigi czy koparki.

TERENOWE SZESCIKOŁOWE STARY

Przez kilkadziesiąt lat Fabryka Samochodów Ciężarowych w Starachowicach była głównym dostawcą ciężarówek dla Wojska Polskiego, w tym trzyosiowych pojazdów terenowych.



»Star 266

- ❶ Masa własna – 7350 kg
- ❷ Ładowność – 3500 kg (teren), 5000 kg (szosa)
- ❸ Długość – 6820 mm
- ❹ Szerokość – 2500 mm
- ❺ Wysokość – 2660 mm
- ❻ Silnik – wysokoprężny, 6-cylindrowy o pojemności skokowej 6230 cm³ i mocy 150 KM
- ❼ Rozstaw osi – 2990 mm, 1250 mm

W 1973 roku ruszyła produkcja stara 266, który z czasem stał się podstawowym samochodem ciężarowo-terenowym Wojska Polskiego. Wizualnie od wcześniej produkowanych ciężarówek 66 i 660 odróżniał się metalową dwuosobową kabiną z leżanką.



CIEKAWOSTKA

Na podwoziu stara 660 powstał papamobile, samochód używany podczas pierwszej wizyty papieża Jana Pawła II w Polsce.



»Star 1466

Po przejęciu fabryki w Starachowicach przez koncern MAN uruchomiono tam w 2001 roku produkcję ostatniego trzyosowego stara. W jego konstrukcji wykorzystano części i podzespoły z innych typów pojazdów marki MAN, w tym silnik, kabiny i mosty napędowe.

- ❶ Masa własna – 7000 kg
- ❷ Ładowność – 6000 kg
- ❸ Długość – 7400 mm
- ❹ Szerokość – 2500 mm
- ❺ Wysokość – 3300 mm
- ❻ Silnik – wysokoprężny z turbosprężarką i intercoolem o mocy 220 KM
- ❼ Rozstaw osi – 3310 mm, 1380 mm



OPRAC. TADEUSZ WRÓBEL
GRAF. MARCIN DMOŃSKI



Zamiast dodatkowych wyrzutni pocisków przeciwlotniczych miejsce na szpital polowy czy sale treningowe dla pododdziałów specjalnych. Fregaty rakietowe przyszłości mają być konstrukcjami wielozadaniowymi z nastawieniem na wsparcie operacji humanitarnych, stabilizacyjnych i specjalnych.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Kiedy wybuchła II wojna światowa, a niemieckie U-Booty rozpoczęły działania bojowe zmierzające do odcięcia Wysp Brytyjskich od dostaw zarówno ze Starego Kontynentu, jak i zza oceanu, dowództwo Royal Navy doszło do wniosku, że nie ma odpowiednich sił, żeby je zwalczać. Niszczycieli eskortowych typu Hund było za mało, a eskortowce typu Black Swan okazały się zbyt wolne.

ODWRÓCILI BIEG WOJNY

Zasadniczo brytyjska admiraliczka musiała sprostać nie lada wyzwaniu: jak okręty z odpowiednim uzbrojeniem i parametrami technicznymi zbudować szybko i tanio? Ważne były kwestie finansowe, bo rząd nie miał w wojennym budżecie pieniędzy. Jeśli zaś chodzi o szybkość, to do pracy trzeba było zaprząć nie tylko duże stocznie, lecz także i te mniejsze, specjalizujące się w budowie jednostek handlowych albo rybackich, niemające doświadczenia w skomplikowanych konstrukcjach wojskowych.

O mądrości Brytyjczyków świadczy to, że zdecydowali się nie na jeden, lecz na kilka typów okrętów. Postanowili

zwiększyć produkcję niszczycieli typu Hund II (to zadanie otrzymały duże wojenne stocznie), a także rozpocząć budowę niewielkich, bazujących na projekcie statku wielorybniczego, korwet typu Flower (o wyporności 925 t, długości 62 m i prędkości maksymalnej około 16 w.) oraz całkowicie nowych konstrukcji, nazwanych fregatami – konkretnie chodziło o typ River (o wyporności 1800 t, długości 86 m oraz prędkości maksymalnej około 20 w.). W obu ostatnich wypadkach mówimy o masowej produkcji. Korwet Flower zbudowano 267, w tym dla Royal Navy – 118, Royal Canadian Navy – 111, US Navy – 25. Fregat River powstało 151. Większość trafiła do Royal Navy, a niewielka liczba do armii kanadyjskiej, australijskiej i południowo afrykańskiej.

Doświadczenia II wojny światowej pokazały, że decyzja o masowej produkcji korwet Flower oraz zupełnie nowego typu okrętów – fregat River kosztem droższych niszczycieli eskortowych była słuszną, gdyż Brytyjczykom wspólnie z Amerykanami udało się powstrzymać wilcze stada i odwrócić bieg wojny na Atlantyku.

Fregaty były na tyle trafioną konstrukcją, że po II wojnie światowej stały się podstawowymi okrętami (często nazywa-

TYLKO NIEMCY ZUPEŁNIE POZBYLI SIĘ ZE SWOICH FREGAT UZBROJENIA PRZECIWPODWODNEGO. POZOSTAŁE KRAJE NIE ZDECYDOWAŁY SIĘ NA TAK RADYKALNY KROK

nymi wołami roboczymi) wszystkich większych flot wojennych na świecie. Wraz z rozwojem nowoczesnych technologii stopniowo jednak zmieniał się ich charakter. Dzięki radarom i nowemu uzbrojeniu, głównie raketowemu, z typowych jednostek ZOP (zwalczania okrętów podwodnych) stały się maszynami wielozadaniowymi – mającymi możliwość niszczenia zarówno statków powietrznych, jak i okrętów nawodnych nieprzyjaciela. Ponieważ wprowadzenie rakiet przyczyniło się do przebrożenia fregat, pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia zaczęto je nazywać raketowymi.

Obecnie to najpowszechniej stosowane jednostki wojenne na świecie. Marynarki wojenne Grecji i Holandii używają typu Kortenaer, Niemcy – okrętów F124, Francuzi, Włosi, Marokańczycy i Egipcjanie – fregat FREMM (frégates européennes multi-missions). Brytyjczycy mają w służbie fregaty raketowe typu 23, a ich starszą wersją dysponują marynarki rumuńska, brazylijska oraz chilijska. Dalsze wykorzystywanie wycofanych ze służby okrętów to dziś bardzo powszechne zjawisko. Z byłych amerykańskich fregat typu Oliver Hazard Perry korzystają dziś floty hiszpańska, turecka oraz polska. W tym ostatnim wypadku to OORP „Gen. K. Pułaski” i „Gen. T. Kościuszko”.

OKRETY MISYJNE

Wszystko wskazuje jednak na to, że w najbliższej przyszłości czeka nas kolejna zmiana specyfiki fregat. Z jednostek wielozadaniowych, z mocnym naciskiem na zwalczanie okrętów podwodnych i ze sporymi możliwościami przeciwlotniczymi, staną się one okrętami misyjnymi. Co to oznacza? W ogromnym skrócie można stwierdzić, że mają być lepiej przystosowane do operacji stabilizacyjnych i pokojowych. Nad tego typu jednostkami pracują – albo nawet już wprowadzają je do służby – wszystkie liczące się floty wo-

jenne w Europie: Niemcy, Francuzi, Brytyjczycy, Włosi i Hiszpanie.

Pierwszym państwem, które zdecydowało się na opracowanie nowego typu fregat raketowych, były Niemcy. Okręty oznaczone jako F125 mają mniejszą załogę (ograniczoną do około stu osób) i są w stanie przebywać w morzu o kilka tygodni dłużej niż poprzednik – F124. Ponieważ miały przede wszystkim wspierać działania specjalne oraz misje stabilizacyjne, mocno ograniczono im uzbrojenie. Oprócz armaty Leonardo Lightweight kalibru 127 mm zostawiono im rakietę przeciwokrętową Boeing RGM-84F Harpoon oraz pociski przeciwlotnicze SM-2 Block IIIA i RIM-116 RAM. Co to oznaczało? To, że F125 nie ma broni przeciwpodwodnej. Gdy trzeba będzie wykonywać zadania ZOP, mają to robić śmigłowce NH-90 lub Westland Lynx. Obecnie Deutsche Marine ma już trzy F125: „Baden-Württemberg”, „Nordrhein-Westfalen” i „Sachsen-Anhalt”, ale do służby (w styczniu 2019) weszła dopiero pierwsza z wymienionych.

Pozostałe państwa pracujące nad misyjnymi fregatami raketowymi nie mają ich jeszcze w linii. Wielka Brytania, która chce wdrożyć jednostki typu 26, kontrakt na budowę ośmiu okrętów podpisała z firmą BAE System 2 lipca 2017 roku. Pierwsza fregata, HMS „Glasgow”, ma wejść do służby w Royal Navy w 2023 roku. Francuzi zlecieli budowę swoich fregat misyjnych kilka tygodni wcześniej, bo w kwietniu 2017 roku. Kontrakt na pięć jednostek FTI (frégates de taille intermédiaire) wart jest 4 mld euro, a pierwsza z nich, „Belh@rra”, ma wejść do służby w 2024 roku.

O wiele bardziej zaawansowani w pracach nad fregatami są za to Włosi. Tamtejsza marynarka, Marina Militare, kontrakt na budowę siedmiu jednostek zawarła w maju 2015 roku, a latem tego roku zwodowała pierwszą z nich – „Paolo Thaon di Revel”. I choć oficjalnie powstał patrolowiec (patugliatore polivalente d'Altura – PPA), to z racji wyporności (6 tys. t), długości (143 m) i wyposażenia tak naprawdę jest to fregata. Do służby ma wejść za dwa lata. Najbardziej w tyle, jeśli chodzi o nowe fregaty, jest natomiast Hiszpania. Kontrakt na budowę pięciu jednostek, oznaczonych jako F110, podpisała z koncernem Navantia na początku grudnia 2018 roku. Co ciekawe, tylko Niemcy zupełnie pozbyli się ze swoich fregat uzbrojenia przeciwpodwodnego. Pozostałe kraje nie zdecydowały się na tak radykalny krok.

A co z Amerykanami, posiadaczami największej na świecie wojennej floty? Oni poszli swoją drogą. Po wycofaniu w ubiegłej dekadzie fregat OHP zdecydowali się na jednostki Littoral Combat Ship – czyli niewielkie i tanie okręty przybrzeżne. Z dwóch zaproponowanych konstrukcji – Independence i Freedom, pierwsza okazała się inżynierską porażką (nie miała opancerzenia) i amerykański rząd zdecydował o wdrożeniu do służby tej drugiej. Teraz US Navy ma osiem takich jednostek, a drugie tyle zamówiła. Od klasycznych fregat odróżniają je szybkość (osiągają 50 w.) oraz modułowe uzbrojenie. Mogą wykonywać np. zadania przeciwminowe, przeciwpodwodne lub zwalczania okrętów nawodnych. ■



PRZEZORNOŚĆ BAŁTÓW

Po rosyjskiej agresji na Ukrainę Litwa, Łotwa i Estonia zwiększyły wydatki na obronność, co pozwala rozwijać potencjał militarny tych państw.

TADEUSZ WRÓBEL

Mimo że Sojusz Północnoatlantycki utrzymuje na terenie Litwy, Łotwy i Estonii batalionowe grupy bojowe i chroni przestrzeń powietrzną tych państw, te trzy kraje nadbałtyckie rozwijają własne zdolności obronne. Estonia wydaje na ten cel powyżej zalecanych przez NATO 2% produktu krajowego brutto. Jej tegoroczny budżet obronny wynosi 586 mln euro. Litwa podwoiła nakłady na obronność w latach 2014–2017. W 2018 roku stanowiły one 2% PKB, a do 2030 roku Litwini chcą dojść do 2,5%. Ich tegoroczny budżet obronny wynosi 948 mln euro. Poziom 2% osiągnęła również Łotwa – w budżecie na 2019 rok zaplanowano na wydatki obronne 636,65 mln euro.

Znaczącą część środków Bałtowie przeznaczają na modernizację techniczną. Jako że Rosja rozbudowuje od kilku lat na kierunku zachodnim wojska pancerne, państwa nadbałtyckie inwestują w uzbrojenie przeciwpancerne. Wybrały m.in. wyrzutnie przeciwpancernych pocisków kierowanych Spike jako element uzbrojenia pojazdów pancernych. Bojowe wozy piechoty Boxer Litwini wyposażyli w izraelską bezzałogową wieżę Samson Mk II z 30-milimetrową armatą, wyrzutnią ppk Spike LR i karabinem maszynowym. Także Łotwa podpisała kontrakt na izraelskie wyrzutnie ppk, które mają być zamontowane na gąsienicowych pojazdach rozpoznawczych z rodziny CVR-T. Estonia z kolei postanowiła dobroić w taki system bojowe wozy piechoty CV9035.

Bałtowie wyposażają swoich żołnierzy piechoty w przenośne zestawy ppk – Łotysze zamówili taką wersję spike'ów, a Litwini i Estończycy kupili od

Amerikanów javeliny. Poza tym dysponują też granatnikami, w przeważającej liczbie szwedzkimi carlami gustafami. Biorąc pod uwagę topografię trzech państw – liczne rzeki, jeziora, bagna, a także zalesienie, w wypadku Łotwy przekraczające 47% powierzchni kraju – dysponujący bronią przeciwpancerną żołnierze mogą efektywnie opóźniać marsz wrogich wojsk.

INWESTYCJE W MOBILNOŚĆ

Po rosyjskiej agresji na Ukrainę Bałtowie zainwestowali też w broń pancerą. Jeśli chodzi o Litwę, najbardziej spektakularną transakcją był zakup w Niemczech wspomnianych już kołowych bewupów Boxer. Pierwsze egzemplarze z 88 zamówionych trafiły już do kraju w lipcu 2019 roku. Wozy te zwiększą potencjał bojowy dwóch batalionów piechoty Brygady „Żelazny Wilk”. Litwini zamierzają kupić następne bojowe wozy piechoty.

Państwa nadbałtyckie, ze względu na ograniczoną zasobność budżetów obronnych, często decydują się na pojazdy pancerne z drugiej ręki. Łotysze na przykład wybrali brytyjską rodzinę 123-gąsienicowych rozpoznawczych CVR-T, w tym 20 lekkich czołgów Scimitar. Estończycy z kolei kupili od Holendrów 44 bojowe wozy piechoty CV9035 wraz pojazdami zabezpieczenia technicznego BPz2 i mostami towarzyszącymi BrPZ 1 Biber. Dwa lata później nabyli od Norwegii 37 podwozi CV90, które zamierzają przebudować na specjalistyczne pojazdy wsparcia. Na razie jednak resort obrony na początku tego roku anulował przetarg o wartości 30 mln euro na tę modyfikację z powodu wad w ofertach. Litwini w latach 2015–2016

Państwa nadbałtyckie, ze względu na ograniczoną zasobność budżetów obronnych, często decydują się na pojazdy pancerne z drugiej ręki.

Na zdjęciu: żołnierze estońscy wsiadają do śmigłowca UH-60 Blackhawk.

BAŁTOWIE ZNACZNĄ CZĘŚĆ SPRZĘTU KUPUJĄ OD AMERYKANÓW, BO UZNAJĄ, ŻE TAKIE TRANSAKCJE UMAC- NIAJĄ ICH RELACJE Z WASZYNGTONEM

kupili od Niemców m.in. 168 transporterów M577 w różnych wersjach specjalistycznych za zaledwie 1,6 mln euro. W końcu 2018 roku rozpoczęli modernizację 22 egzemplarzy M577 na potrzeby batalionu artylerii. Litwa kupiła też w Niemczech wozy BPz 2.

Wszystkie trzy państwa zainwestowały też w samobieżną artylerię dla ciężkich brygad. Oprócz boxerów Litwa kupiła z niemieckich nadwyżek 21 haubic PzH 2000 kalibru 155 mm, Łotwa nabyła 35 używanych austriackich haubic M109A5Oe, a Estonia podpisała z południowokoreańską firmą Hanwha umowę na tuzin dział K9 Thunder.

Bałtowie nie ograniczają się do inwestowania wyłącznie w ciężkie pojazdy pancerne. Ważnym kierunkiem są zakupy lekkich wozów opancerzonych i pojazdów terenowych, które zwiększą mobilność ich pododdziałów piechoty, także z wojsk terytorialnych. Litwa postanowiła zamówić w USA około 200 pojazdów JLTV, które powstały jako następca HMMWV. W końcu 2018 roku pojawiła się informacja, że łotewskie ministerstwo obrony uznało za zwycięzcę przetargu na lekkie pojazdy opancerzone fińskie Sisu GTP 4x4. Resort zamierzał wydać na nie do 200 mln euro, ale ostatecznie do podpisania kontraktu nie doszło. Jesienią 2018 roku do łotewskiego wojska trafiło natomiast 18 pojazdów taktycznych amerykańskiej firmy Polaris. 85% kosztów zakupu 130 wozów MRZR-2, MRZR-4 i MV850 mają pokryć USA.

NOWE RAKIETY

Państwa nadbałtyckie stawiają też na obronę powietrzną. Przy czym chodzi głównie o osłonę wojsk i strategicznych instalacji militarnych, w tym baz lotniczych, z których operują myśliwce sojuszników z NATO. Ze względów finansowych Bałtowie inwestowali m.in. w najtańsze raketowe systemy obrony powietrznej bardzo krótkiego zasięgu. Litwini mają

polskie gromy i amerykański system Stinger – osiem wyrzutni na pojazdach z 60 pociskami. Odkupili też od Norwegów szwedzkie zestawy

RBS 70. Również Łotysze mają stingery i RBS 70. Estończycy natomiast wybrali francuski system przeciwlotniczy bardzo krótkiego zasięgu Mistral.

Teraz rozpoczyna się następna faza budowy systemu obrony powietrznej państw nadbałtyckich. Litwa zdecydowała się na system obrony przeciwlotniczej krótkiego zasięgu, norwesko-amerykański NASAMS. Kupiła używane wyrzutnie dla dwóch baterii z nadwyżek sił zbrojnych Norwegii i dla nowych pocisków raketowych. NASAMS jest też brany pod uwagę jako system średniego zasięgu w Estonii i Łotwie.

Modernizacja sił zbrojnych Litwy, Łotwy i Estonii jest bardzo kosztowna, gdyż niemal całe uzbrojenie i sprzęt wojskowy kraje te muszą kupować za granicą. Oprócz ceny wpływ na ich wybory ma również polityka. Estonia zdecydowała się na południowokoreańskie samobieżne haubice, dlatego że wcześniej wybrała je Finlandia, z którą ma bardzo silne powiązania. Także pozostałe dwa państwa nadbałtyckie łączą bliskie więzi polityczne, gospodarcze i wojskowe ze Skandynawią. Gdyby tak analizować zakupy militarne, to można by dojść do wniosku, że Litwa ma także bliskie związki z Niemcami.

Bałtowie znaczną część sprzętu kupują od Amerykanów, bo uznają, że takie transakcje umacniają ich relacje z Waszyngtonem. Chociażby w tym roku Estończycy podpisali umowę z firmą LMT Defense na 16 tys. karabinków MARS-L kalibru 5,56 mm i MARS-H kalibru 7,62 mm oraz 40-milimetrowe podwieszane granatniki M203. Amerykańska broń zastąpi w ich siłach zbrojnych izraelskie galile i niemieckie G3. Państwa nadbałtyckie otwarte są też na współpracę wojskowo-techniczną z innymi krajami świata zachodniego. ■



USA

Dwa w jednym

Nad nowym kierowanym pociskiem raketowym powietrze-powietrze średniego zasięgu pracuje firma Raytheon.

Broń ta ma łączyć w sobie najlepsze cechy już istniejących rakiet AIM-120 AMRAAM i AIM-9X Sidewinder. „Wzięliśmy technologie z tych dwóch doskonałych systemów i połączyliśmy je w to, co widzicie dzisiaj, czyli peregrine”, stwierdził podczas prezentacji Mark Noyes, odpowie-

dzialny w koncernie za systemy walki powietrznej. Raytheon nie ujawnił zbyt wiele informacji o nowym pocisku. Wiadomo natomiast, że będzie miał zasięg podobny jak AIM-120 i zwrotność jak AIM-9X. Walorami peregrine będą też rozmiary i masa, bo pocisk o długości 1,8 m waży

68 kg. Oznacza to, że jest niemal dwa razy krótszy niż AMRAAM, a jego masa jest ponad dwa razy mniejsza niż AIM-120. To ważne w wypadku maszyn piątej generacji, które przenoszą uzbrojenie raketowe i bomby wewnątrz kadłuba, aby pozostały niewidzialne dla radarów.

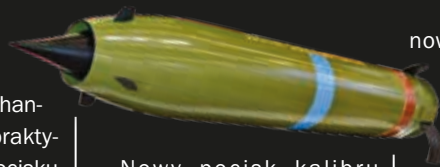
Systemy pocisku będą mogły wykrywać i śledzić cele stacjonarne oraz ruchome, niezależnie od pory i warunków pogodowych. Według producenta naddźwiękowy peregrine będzie skuteczną bronią do zwalczania samolotów, dronów lub pocisków manewrujących. WR

NORWEGIA

Pocisk przeciw raketom

Firma Nammo zamierza w 2020 roku rozpocząć próbną strzelania z użyciem kierowanych pocisków artyleryjskich.

Nammo pracuje nad tym projektem wspólnie z Boeingiem Phantom Worksem. „W praktyce jest to połączenie pocisku raketowego i artyleryjskiego, o zasięgu od pięciu do ośmiu razy większym niż w wypadku konwencjonalnej amunicji artyleryjskiej”, powiedział Thomas Danbolt, wiceprezes oddziału Nammo zajmującego się amunicją dużych kalibrów.



Nowy pocisk kalibru 155 mm ma zasięg 150 km i prędkość w granicach 2,5 Ma. Takie parametry można osiągnąć dzięki zastosowaniu napędu strumieniowego. Otóż w konwencjonalnym silniku raketowym cztery piąte wartości zbiornika paliwa sta-

nowi tlen, a w w napędzie strumieniowym jest on pobierany z powietrza, co pozwala zwiększyć ilość paliwa. Norwesko-amerykański pocisk będzie mógł być wystrzeliwany ze wszystkich nowoczesnych 155-milimetro- wych systemów artyleryjskich z lufą o długości 52 kalibrów.

Nowa broń ma zwiększyć zdolności bojowe artylerii NATO, która musi być przygoto-

wana na konfrontację z przeciwnikiem dysponującym wyrzutniami artylerii raketowej, mogącymi razić cele odległe o ponad 100 km, a w przyszłości też pociskami raketowymi o napędzie atomowym. Zdecydowano się też na tę inwestycję ze względu na rozwój rosyjskich raketowych systemów obrony powietrznej. Nie ma bowiem pewności, że Sojusz w razie konfliktu zachowałby kontrolę powietrzną nad polem walki, jak zakładano przez lata. Jej brak zaś utrudniłby czy wręcz uniemożliwił uderzenie lotnictwa na cele w głębi wrogo terytorium. WT

PATRIOT: SKUTECZNA OBRONA I PARTNERSTWO



OBRONA PRZECIWLOTNICZA I PRZECIWRAKIETOWA

Dzięki nieustannym innowacjom, system Patriot firmy Raytheon zapewnia Polsce zaawansowaną technologię zaprojektowaną tak, by doskonale sprostać dzisiejszym i przyszłym wyzwaniom. Wraz z wyborem systemu Patriot Polska dołącza do globalnego sojuszu 16 państw dysponujących najnowocześniejszym i sprawdzonym w boju systemem obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej.

RAYTHEON.COM/POLAND

Raytheon

STRATEGIE

/ ROZMOWA

NIECHCIANY TRAKTAT

Z Łukaszem Kulesą

*o tym, kto doprowadził do upadku traktatu
o pociskach rakietowych pośredniego zasięgu
i problemach kontroli zbrojeń, rozmawiają
Małgorzata Schwarzgruber i Tadeusz Wróbel.*



D

laczego dopiero w tym roku Stany Zjednoczone zdecydowały się na wypowiedzenie traktatu INF, czyli układu o całkowitej likwidacji pocisków raketowych pośredniego zasięgu? Przecież Waszyngton oficjalnie oskarżył Moskwę o jego łamanie już w 2013 roku.

Nieformalne rozmowy dwustronne w tej sprawie toczyły się nawet wcześniej. Amerykanie starali się skłonić Rosjan do zakończenia prac nad pociskami SSC-8 oraz zniszczenia wszystkich egzemplarzy, które zostały wyprodukowane. Za prezydentury Baracka Obamy nacisk na Moskwę był słaby, gdyż Waszyngton interesował się wówczas układem Nowy START oraz dążył do szerszego resetu w stosunkach z Rosją. Zabiegi dyplomatyczne nie przyniosły oczekiwanych efektów, a za prezydentury Donalda Trumpa do władzy doszli ludzie, dla których kontrola zbrojeń nie była już tak ważna. Dlatego pod koniec 2017 roku została ogłoszona nowa strategia amerykańska w stosunku do INF [Intermediate-range Nuclear Forces]. Określono w niej, jakie środki dyplomatyczne, gospodarcze i wojskowe zostaną zastosowane, żeby albo zmusić Rosjan do przestrzegania traktatu, albo przygotować się na wyjście z niego. Wtedy m.in. nałożono sankcje na te podmioty w Rosji, które zajmowały się produkcją pocisków SSC-8.

Czy rozpoczęcie prac nad SSC-8 nie zbiegło się w czasie z nieoficjalną rosyjską ofertą obustronnej rezygnacji z traktatu INF?

Tak. Rosjanie zaczęli pracę nad tym pociskiem, gdyż przewidywali, że albo układ INF zostanie zmodyfikowany, albo obie strony się z niego wycofają. Amerykanie nie byli jednak zainteresowani takim rozwiązaniem, a Rosjanie nie wykazywali chęci, aby uczynić to jednostronnie. Prac nad SSC-8 jednak nie przerwali.

Niektórzy komentatorzy winą za upadek traktatu INF obarczają nie tylko Rosję, lecz także

administrację Trumpa, która ma kierować świat ku nowemu wyścigowi zbrojeń.

Od pewnego czasu wszystko zmierzało ku temu, by ten traktat został pogrzebany. Rosjanie nie skorzystali z żadnej możliwości uratowania INF, przedstawionej im przez dwie amerykańskie administracje. USA całkiem zrezygnowanie przygotowywały sobie wyjście z INF. Sojusznikom, z których wielu nie było przekonanych, że Rosja narusza traktat, oraz opinii publicznej przedstawiono więcej informacji. Pod koniec 2018 roku doszło do uzgodnienia sojuszniczej oceny zagrożenia, zgodnej z amerykańską. Wydawało się, że sprawa jest politycznie i propagandowo ustawiona. Gdy jednak Amerykanie wypowiadali ten układ, prezydent Trump dużo mówił o Chinach, a sekretarz obrony Mark Esper zapowiedział, że chciałby jak najszybciej rozmieścić pociski średniego zasięgu w Azji. Media forsowały wówczas tezę, że USA planowały wyjść z traktatu z powodu Chin, a naruszanie go przez Moskwę uważały za sprawę drugorzędną. To fałszywy obraz, bowiem to Rosjanie są odpowiedzialni za zniszczenie układu INF.

Jak na pogrzebanie traktatu INF powinno zareagować NATO?

Koniec działania traktatu stał się katalizatorem dla NATO. Sojusz został zmuszony, aby znaleźć odpowiedzi na pytania o skuteczną obronę przed rosyjskimi pociskami bazowania lądowego, powietrznego i morskiego, które umożliwiają atak, niekoniecznie nuklearny, na terytoria jego członków. Wzmocnienie potencjału obronnego NATO jest przesądzone. Trwa zaś wewnętrzna dyskusja, czy Sojusz powinien poprawić zdolność uderzenia na cele wojskowe w Rosji w odpowiedzi na jej atak, także konwencjonalny.

Czy kolejną konsekwencją wypowiedzenia traktatu może być rozmieszczenie w Europie amerykańskich rakiet?

Dziś Amerykanie nie mają takich systemów w uzbrojeniu. Zaczynają je dopiero testować. Kiedy będą one dostępne, czeka nas trudna dyskusja w NATO. Sekretarz generalny zapewnił, że Sojusz nie chce rozmieszczać na terytorium europejskim



23 stycznia 2019 roku w parku „Patriot” niedaleko Moskwy zaprezentowano zagranicznym wojskowym nowy rosyjski pocisk 9M729 (SSC-8).

JESTEŚMY NA ROZDROŻU: DOTYCHCZASOWY SYSTEM KONTROLI ZBROJEŃ NIE MOŻE DZIAŁAĆ, BO **POJAWILI SIĘ NOWI GRACZE I POZYSKANO NOWE TECHNOLOGIE**, ALE NIE MA JEDNEJ KONCEPCJI, JAK MIAŁBY WYGLĄDĄĆ TEN NOWY

pocisków z głowicami jądrowymi. To kluczowa różnica w stosunku do kryzysu z lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, gdy pershingi i gryfony były w nie wyposażone.

Rosyjska propaganda nie próbuje przerzucić na Zachód odpowiedzialności za upadek INF?

Obserwujemy taką taktykę. Prezydent Władimir Putin oświadczył, że odpowie na działania amerykańskie. Skoro USA rozwijają nowe systemy uzbrojenia, Rosjanie również będą to robić. Jeśli zaś Amerykanie nie rozmieszczą w danym rejonie swoich pocisków, Moskwa postąpi podobnie. W ten sposób pokaże, że nie chce wyścigu zbrojeń, że to Stany Zjednoczone go nakręcają. Rosyjskie władze przemilczają jednak sedno problemu, czyli stworzenie systemu, który doprowadził do upadku INF. Ma on zasięg większy niż 500 km i jest rozmieszczany w różnych częściach Rosji. W NATO nosi nazwę SSC-8. Rosjanie mówią o moratorium, które sami łamią.

Czy Polska może przyjąć na swe terytorium amerykańskie pociski pośredniego zasięgu?

Jeśli w ramach Sojuszu zostanie podjęta taka decyzja, ten system będzie rozmieszczony w kilku państwach. Mógłby się znaleźć także w Polsce. Nasz kraj jest zainteresowany tym, aby NATO pozostało w tej kwestii zjednoczone. Nie chodzi zatem o dwustronną umowę z USA, lecz o wspólną, solidarną decyzję wszystkich sojuszników.

W pobliżu granic Polski są rosyjskie jednostki mające system rakietowy Iskander. Czy pociski będące w ich wyposażeniu mogą mieć zasięgi większe od oficjalnie podawanych 500 km?

Jeśli chodzi o system Iskander, to mamy do czynienia z dwoma rodzajami pocisków – balistycznymi Iskander-M i manewrującymi Iskander-K. Rosyjscy eksperci przyznają, że prawdopodobnie ich zasięgi są większe od deklarowanych, do 800 km dla balistycznych i ponad 1000 km dla manewrujących.

Czyli już wprowadzenie systemu Iskander mogło być naruszeniem INF przez Rosję?

Stany Zjednoczone nigdy nie wysunęły takiego oskarżenia. Nie próbowały też ustalić, jaki jest faktyczny zasięg tego systemu.

Dlaczego Amerykanie tego nie zrobili?

Nie było mechanizmu pozwalającego na zweryfikowanie podawanych przez Rosję danych o Iskanderach, gdyż przyjęty w traktacie INF system kontroli dotyczył tylko pocisków istniejących w momencie jego podpisania i przestał obowiązywać wraz ze zlikwidowaniem ostatniego z nich. To była poważna luka w układzie z 1987 roku. Dlatego nowe systemy rosyjskie prawdopodobnie mają zasięg większy niż dopuszczalny.



W sierpniu, gdy traktat INF wygaś, Amerykanie przeprowadzili test nowego pocisku manewrującego o zasięgu powyżej 500 km, czyli przygotowali się na taką sytuację.

Stany Zjednoczone już w 2017 roku, gdy przyjmowano nową strategię dotyczącą INF, ogłosiły, że zaczynają prace badawczo-rozwojowe nad takimi systemami, co nie było zakazane traktatem. Jego sygnatariusze nie mieli tylko prawa do ich testowania i produkcji.

Jaką nową broń chcą wprowadzić do swego arsenału Stany Zjednoczone?

Wszystkie rodzaje sił zbrojnych i każda większa firma zbrojeniowa proponowały nowe systemy. Obecnie istnieją co najmniej cztery programy budowy pocisków manewrujących i balistycznych o zasięgu powyżej 500 km. Mówi się też o zwiększeniu zdolności systemu HIMARS i o pocisku hipersonicznym. Problemem są jednak ograniczenia finansowe oraz stanowisko kongresmenów z Partii Demokratycznej. Pytają oni, czy nowa broń jest na pewno potrzebna, skoro USA dysponują już podobną, która została umieszczona na pokładach okrętów i samolotów.

Amerykanie ogłosili, że nowe systemy będą uzbrojone w głowice konwencjonalne, ale czy to nie zostanie zmienione?

Rzeczywiście w ustawach przyjętych przez Kongres zapisano, że nowe systemy mają być konwencjonalne. Gdyby Pentagon próbował dokonać zmiany, rozpoczęłaby się ostra debata polityczna dotycząca tego, czy nowe systemy jądrowe są potrzebne i czy USA na to stać, zarówno pod względem politycznym, jak i finansowym.

Rosjanie w rozmowach z Amerykanami tłumaczyli chęć odejścia od INF tym, że pośrednie pociski rakietowe ma w ich sąsiedztwie wiele państw Azji. Co więcej, część z nich dysponuje też bronią nuklearną. Czy Moskwa nadal mówi o poczuciu zagrożenia w regionie?

Tu nastąpiła ciekawa zmiana. Przed laty rosyjscy eksperci wojskowi tłumaczyli, że takie systemy są im potrzebne do odstraszenia regionalnego. W ostatnich miesiącach, gdy wiele się mówi w Moskwie, że Chiny są dla Rosji partnerem, a może nawet sojusznikiem, dyskusje o wykorzystaniu nowych rakiet na Dalekim Wschodzie zostały wyciszone. Teraz Moskwa przedstawia te systemy jako reakcję na działania NATO i USA w Europie.

Po co Rosji nowe systemy rakietowe, skoro ma już podobne uzbrojenie?

Wiadomo, że jest to część strategii odstraszania. Poza tym nowe rakiety zwiększają pulę dostępnych dla Rosji możliwości w razie kryzysu w kontaktach z Zachodem. Moskwa może je wykorzystać, chociażby do próby wywołania podziałów wewnątrz NATO, sugerując, że zaatakują tylko część jego członków.

Rosja wycisza kwestię rozmieszczenia w Azji zakazanych dotąd przez INF pocisków. Stany Zjednoczone postępują wręcz przeciwnie. Dlaczego?

To odzwierciedla debatę strategiczną, która toczy się teraz w Stanach Zjednoczonych. My koncentrujemy się na tym, co mówi się w niej o Europie i Rosji, podczas gdy głównym tematem w amerykańskim dyskursie są Chiny.

Jaką rolę dla swych rakiet średniego i pośredniego zasięgu widzą Amerykanie w regionie azjatycko-pacyficznym?

Zdaniem wielu amerykańskich strategów rozmieszczenie rakiet w Azji mogłoby być przydatne do utrudnienia Chińczykom realizacji ich celów regionalnych. Amerykanie wiedzą, że z powodu chińskich systemów antydostępowych ich okręty i samoloty miałyby problem ze zbliżeniem się do tego kraju na odległość pozwalającą na użycie uzbrojenia. Jednocześnie obawialiby się wykorzystania systemów strategicznych, bo wywołałoby to konflikt nuklearny na pełną skalę i chiński atak na terytorium USA. A to oznacza, że systemy rakietowe krótkiego, średniego i pośredniego zasięgu można by wykorzystać do szantażowania Chińczyków w razie kryzysu, a także do kontrolowania eskalacji ewentualnego konfliktu.

Gdzie Amerykanie mogliby rozmieścić taką broń? Na należącej do nich wyspie Guam?

Rozmieszczenie pocisków będzie uzależnione od tego, jakie ostatecznie systemy Amerykanie zaczną produkować. Jeśli chodzi o rakiety pośredniego zasięgu, faktycznie Guam jest jedną z możliwych lokalizacji. Problem stanowi jednak wielkość tej wyspy – zaledwie 544 km². Tymczasem w tych systemach kluczowa jest mobilność, utrudniająca ich wykrycie i zniszczenie. Dlatego lepszym miejscem stacjonowania byłyby terytoria regionalnych sojuszników Waszyngtonu. Amerykańscy eksperci uważają, że pociski powinny trafić do Korei Południowej lub Japonii. Władze w Tokio i Seulu zdają sobie jednak sprawę z tego, że przyjęcie tych rakiet zantagonizowałoby je zarówno z Chinami, jak i Rosją.



WIZYTÓWKA

ŁUKASZ KULESA

Jest zastępcą kierownika Biura Badań i Analiz Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Zajmuje się m.in. problematyką bezpieczeństwa międzynarodowego, kontroli zbrojeń i nieprolifracji broni masowego rażenia. Pracował także w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego oraz był koordynatorem ds. badań w European Leadership Network w Londynie. ■

Pojawiały się informacje, że rakiety średniego zasięgu mogłyby trafić również na Alaskę. Czy to ma sens?

Biorąc pod uwagę tę lokalizację, potencjalne cele, np. w razie konfliktu w Cieśninie Tajwańskiej, byłyby zbyt daleko. Co gorsza, już samo rozmieszczenie tych pocisków na Alasce zachęciłoby Moskwę do dalszego zacieśniania więzi z Pekinem.

Czy wygaśnięcie traktatu INF nie stanie się początkiem końca systemu kontroli zbrojeń, który powstał jeszcze za czasów Związku Sowieckiego?

Obawa, że zawali się dotychczasowy system kontroli zbrojeń, była jedną z przyczyn, dla której tak wiele osób tak długo walczyło o zachowanie INF. Kryzys w tej sferze rozpoczął się jednak, zanim traktat wygasł.

Może dwustronny system powstały w czasach zimnej wojny nie ma racji bytu w dzisiejszym wielobiegunowym świecie?

System kontroli zbrojeń na poziomie strategicznym, który powstał w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, od początku był sztuczną konstrukcją. Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki uzgodniły arbitralnie, jakie systemy są strategiczne. Ustaliły też pułapy, do których nastąpi ich redukcja, oraz mechanizmy jej weryfikacji. Jesteśmy na rozdrożu: dotychczasowy system kontroli zbrojeń nie może działać, bo pojawili się nowi gracze i pozyskano nowe technologie, ale nie ma jednej koncepcji, jak miałby wyglądać ten nowy.

Problemem jest zbliżenie dwóch atomowych mocarstw, czyli Rosji i Chin, będących w kontrze do Stanów Zjednoczonych.

Jeden z pomysłów, mocno promowanych przez administrację prezydenta Trumpa, polega na dołączeniu Chin do dotychczasowego amerykańsko-rosyjskiego systemu kontroli zbrojeń, ale Chińczycy tego nie chcą. Twierdzą, że ich arsenał nuklearny jest nieporównywalnie mniejszy niż Rosji i USA. Mówią, że może włączyć się do tworzenia nowego, wielostronnego systemu kontroli, jeśli oba kraje zmniejszą liczbę posiadanych ładunków nuklearnych.

Tyle że bronią atomową dysponuje więcej państw...

Dlatego pojawił się kolejny pomysł: odejście od symetrycznej kontroli zbrojeń na rzecz proporcjonalnej. Inny byłby zatem pułap, jeśli chodzi o dysponowanie głowicami i środkami przenoszenia, w przypadku USA i Rosji, a inny dla Chin, Francji, Indii itd. Jest to bardzo ciekawe rozwiązanie, ale mało realne. Kolejna koncepcja mówi o odejściu od dużych, coraz bardziej skomplikowanych traktatów, na rzecz redukcji ryzyka użycia broni atomowej. Chodzi m.in. o lepsze poznanie i zrozumienie doktryn nuklearnych poszczególnych państw oraz stworzenie kanałów komunikacji i dialogu między mocarstwami w razie kryzysu. Dla mnie takie pragmatyczne podejście jest najbardziej interesujące, bo nie widzę szans na powrót do tradycyjnej kontroli zbrojeń.

Czy oprócz kwestii technicznych problemem w stworzeniu nowych mechanizmów kontroli zbrojeń jest brak zaufania między mocarstwami?

To nie do końca tak, że strony muszą sobie zaufać, żeby rozmawiać o kontroli zbrojeń. Jej podstawą w czasach zimnej wojny początkowo był całkowity brak zaufania między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim. Impulsem do rozpoczęcia negocjacji był szok, gdy doszło do kryzysu kubańskiego i obie strony znalazły się bliżej wojny atomowej, niż tego chciały. Drugi czynnik to wyjątkowo obrazoburcze, jak na owe czasy, twierdzenie, że żadna ze stron nie może wygrać wyścigu zbrojeń.

Czy to oznacza, że impulsem do ponownego poważnego potraktowania kontroli zbrojeń musi być poważny kryzys?

Kontrola zbrojeń nie jest miłą sprawą na spokojne czasy. To rozwiązanie mające zmniejszyć prawdopodobieństwo wybuchu wojny. Myślę, że na nowo musimy odkryć ten pierwotny cel. Miejmy nadzieję, że nie będzie tu potrzebny kolejny kryzys, taki jak ten z 1962 roku. ■



ROZMAWIAJĄC Z WROGIEM

Czy decyzja Donalda Trumpa
o zamrożeniu rozmów
z talibami stanowi oznakę
zmiany podejścia Waszyngtonu
do kwestii afgańskiej, czy też
jest jedynie taktyczną zagrywką
w procesie negocjacyjnym?

TOMASZ OTŁOWSKI

Donald Trump 8 września 2019 roku zawiesił rozmowy z afgańskimi talibami i odwołał przyjazd ich negocjatorów do USA na bezpośrednie rokowania z administracją amerykańską. Decyzja prezydenta Stanów Zjednoczonych to reakcja na kolejny brutalny atak bojowników Talibanu, w którego wyniku w Kabulu poniósł śmierć m.in. amerykański żołnierz. Rozmowy „pokojoye” między Amerykanami a talibami z Afganistanu, prowadzone od ponad roku, najpierw w Islamabadzie, później w katarskiej Dosze, utknęły w miejscu, choć – według obu stron – właśnie zbliżano się do finałowej rundy. W kontekście tych wydarzeń ważniejsza zdaje się jednak inna sprawa – co takiego stało się w toku kampanii militarnej Zachodu w Afganistanie (i szerzej: wojny z islamskim ekstremizmem), że rozmawiamy dzisiaj o pokoju z przeciwnikiem, którego głównym, nieukrywanym celem jest unicestwienie naszej cywilizacji?

OPERACJA AFGANISTAN

11 września 2001 roku dwa pasażerskie samoloty – porwane wcześniej przez islamskich terrorystów – w odstępie zaledwie kilkudziesięciu minut uderzyły jeden po drugim w wieże World Trade Center w samym sercu Nowego Jorku. Wkrótce potem doszło do trzeciego uderzenia w gmach Pentagonu oraz podobnej próby zamachu na Kapitol. W tych największych w historii Stanów Zjednoczonych atakach śmierć poniosło niemal 3 tys. ludzi, w większości cywilów, a więc znacznie więcej niż w japońskim ataku na Pearl Harbor w grudniu 1941 roku. USA zostały w 2001 roku zaatakowane na własnym terytorium przez wroga, o którego istnieniu wiedzieli dotychczas jedynie nieliczni dyplomaci, eksperci i analitycy wywiadu. Ale nawet i oni nie zakładali, że przeciwnik poważy się i będzie w stanie podnieść rękę na Amerykę.

Śmiałością tym okazała się Al-Kaida (AQ) – ponadnarodowa, globalna organizacja islamskich ekstremistów. Struktura wyrosła z idei muzułmańskiego fundamentalizmu religijnego i rewizjonizmu politycznego, powołana do życia przez fanatyków z Bliskiego Wschodu i Azji, nienawidzących Zachodu, zwłaszcza Ameryki, będącej jego liderem i symbolem. Centralne kierownictwo Al-Kaidy, z jej twórcą Osamą bin Ladenem na czele, znajdowało się wówczas w Afganistanie, od połowy lat dziewięćdziesiątych XX wieku rządzonym przez równie fanatyczny i nieprzejednany antyzachodni Ruch Talibów (Taliban).

Al-Kaida i Islamski Emirat Afganistanu powołany przez talibów stworzyły konglomerat wojowniczego ekstremizmu islamskiego, czego rezultatem było wiele krwawych zamachów przeprowadzonych w różnych częściach świata. Wbrew temu, co sądzi się obecnie, ten wzajemnie korzystny układ Al-Kaidy i Talibanu nadal funkcjonuje po 18 latach „długiej wojny”.

Gdy jesienią 2001 roku Amerykanie rozpoczynali operację „Enduring Freedom” („Trwała wolność”), mającą na celu obalenie reżimu talibów i wytopienie Al-Kaidy, nikt nie przypuszczał, że ta kampania potrwa tak długo. Z punktu





BILANS WOJNY

25 listopada 2001 roku w dawnym kolonialnym forcie w Qala-e-Jangi w prowincji Mazar-e-Szarif na północy Afganistanu, zamienionym w więzienie dla jeńców Talibanu, doszło do buntu. W walkach poległ jeden z przebywających na miejscu oficerów wydziału specjalnego CIA, Johnny „Mike” Spann, który stał się pierwszą wojskową ofiarą operacji „Trwała wolność”. Od tamtego dnia wojna w Afganistanie kosztowała życie 3581 żołnierzy sił sojuszniczych, w tym 40 Polaków.



widzenia Amerykanów wojna z islamizmem trwa już ponad cztery razy dłużej niż ich udział w II wojnie światowej i dwa razy dłużej niż operacja w Wietnamie. Pełnoletniość osiąga ją właśnie młodzi ludzie urodzeni w chwili, gdy waliły się w gruzy wieże WTC, a wciąż nie widać realnych perspektyw zakończenia tego konfliktu. Co gorsza, w toku tej wojny nie udało się zrealizować większości jej głównych strategicznych celów. Choć po dekadzie poszukiwań, w 2011 roku wyeliminowano wreszcie Osamę bin Ladena, to nie zniszczono struktur Al-Kaidy, szczególnie w regionie afgańsko-pakistańskim. A co ważniejsze, nie zabito też toksycznej ideologii dżihadu, która wciąż zatrzuwa serca i dusze milionów muzułmanów.

W 2001 roku talibowie oddali władzę nadspodziewanie łatwo, co nie wzbudziło niepokoju w Waszyngtonie. Na skutki takiej oceny sytuacji nie trzeba było długo czekać. Talibowie zaszyli się w górach, a dzięki wsparciu ze strony Islamabadu stworzyli na pograniczu afgańsko-pakistańskim organizacyjne i szkoleniowe zaplecze do działań partyzanckich. Z biegiem czasu akcje zbrojne talibów stopniowo obejmowały nowe regiony Afganistanu. Wtedy zaczął się ich marsz po utracą władzę w Kabul. Działania rebelii zyskały na rozmachu i efektywności po 2003 roku, kiedy Amerykanie zaczęli coraz bardziej skupiać swą uwagę strategiczną i wysiłki militarny na operacji irackiej („Iraqi Freedom”). Wydarzenia pod dalekim Hindukuszem już mniej zajmowały Waszyngton, czego przejawem stało się m.in. przekazanie NATO dowodzenia międzynarodowymi siłami wsparcia ISAF. Wciągnięcie sojuszników i sprzymierzeńców w próby stabilizowania sytuacji w Afganistanie nie przyniosło jednak efektów. W 2010 roku na szczycie w Lizbonie NATO zapowiedziało ostatecznie, że do końca 2014 roku operacja ISAF zostanie zakończona, a niemal całość sił międzynarodowych opuści Afganistan.

Talibom pozostało więc czekać, aż siły międzynarodowe się wycofają, aby droga na Kabul stanęła przed nimi otworem, zgodnie z zasadą opisaną niegdyś przez Henry’ego Kissingera, byłego sekretarza stanu USA, że „partyzantka zwycięża, gdy nie przegrywa, a armia konwencjonalna przegrywa, gdy nie zwycięża”.

I tak się faktycznie stało – od 2015 roku obserwujemy w Afganistanie pogarszanie się sytuacji bezpieczeństwa, a siły rządowe tracą kolejne regiony na rzecz talibów. Rebelianci kontrolują dziś w pełni już co najmniej 63 dystrykty (około 16% spośród ogólnej ich liczby), a w kolejnych 187 rządy kabulskiej administracji są paraliżowane przez narastającą aktywność zbrojną talibów. To umożliwia rebeliantom wzmożoną aktywność na rzecz odtworzenia Islamskiego Emiratu Afganistanu, co jest strategicznym celem Talibanu od niemal dwóch dekad i nie ulega wątpliwości, że pozostanie nim nawet po zawarciu porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi.

ROKOWANIA POKOJOWE

Nie ma dzisiaj w Afganistanie prowincji, która nie byłaby dotknięta działaniami talibów oraz dżihadystów z Al-Kaidy lub Państwa Islamskiego (IS). Afgańscy talibowie wciąż bowiem są w sojuszu z AQ, która zapewnia im zarówno środki finansowe, jak i wsparcie kadrowe w postaci ochotników dżihadu. W 2018 roku przyznali, że w ich szeregach walczy około 3 tys. cudzoziemców, choć część zachodnich źródeł mówi o nawet 5 tys. Al-Kaida wspiera talibów zarówno w walce z rządem w Kabul, siłami międzynarodowymi, jak i wilajetem Chorasán, czyli regionalną prowincją IS. W tej współpracy prym wiedzie przede wszystkim AQIS, czyli Al-Kaida Subkontynentu Indyjskiego, będąca najmłodszym (powołana w 2014 roku) regionalnym odgałęzieniem AQ. Miarą ścisłych więzi Al-Kaidy i talibów jest też fakt, że lider islamistów



AMERYKANIE POTRZEBUJĄ SUKCESU POLITYCZNEGO

W POSTACI POROZUMIENIA KOŃCZĄCEGO WOJNĘ W AFGANISTANIE. „POKÓJ” MA USPOKOIĆ SUMIENIE SPOŁECZEŃSTWA W USA

Ajman az-Zawahiri wielokrotnie składał kierownictwu Talibanu tradycyjną przysięgę wierności.

Po zakończeniu misji ISAF stało się jasne, że Zachód – unikający zaangażowania wojskowego na pełną skalę – nie ma już szans na militarne pokonanie talibów. Wyjściem z tej patowej sytuacji miały być zatem rozmowy z talibską rebelią, zainicjowane przez Waszyngton. Prowadzone początkowo w ścisłej tajemnicy i bez udziału rządu w Kabul – stanowią rozpaczliwą próbę przejęcia inicjatywy strategicznej w konflikcie. Problem w tym, że rozwiązanie takie stoi nie tylko w sprzeczności z dotychczas deklarowanymi aksjomatami strategicznymi (nie rozmawiamy z terrorystami!), ale też nie zapewni realizacji choćby części pierwotnych założeń i celów operacji afgańskiej.

O rokowaniach z talibami niewiele wiadomo. Oficjalna agenda prowadzonych w Dosze rozmów

skupia się na czterech zasadniczych kwestiach: gwarancji ze strony Talibanu, że ruch ten nie zezwoli żadnej strukturze islamistycznej (terrorystycznej) na wykorzystywanie terytorium afgańskiego do podejmowania działań przeciwko USA i ich sojusznikom; zapewnieniu, że siły USA i NATO wycofają się z Afganistanu; zagwarantowaniu, że zostanie podjęty wewnętrzna afgański dialog polityczny (w tym o prawach kobiet); konieczności wdrożenia w życie zawieszenia broni.

Najnowsze doniesienia z Afganistanu wskazują, że szczególnie ten ostatni punkt nie ma dla talibów większego znaczenia, co skłoniło Donalda Trumpa do ostrej reakcji politycznej. Jest pewne, że ostatnia eskalacja działań afgańskich rebeliantów ma na celu nie tylko wywarcie presji na Amerykanów i władze w Kabul, lecz także zyskanie jak największych zdobyczy w terenie. Wielu komendantów polowych Talibanu nie chce rokowań – oni widzą szansę na osiągnięcie celów ruchu bez wchodzenia w zawile polityczne układy, wiążące im ręce w przyszłości. To wskazuje na inny problem – talibowie nie są ruchem ściśle zhierarchizowanym, narzucenie warunków układu z USA wszystkim lokalnym watażkom może być więc dla liderów Talibanu dużym wyzwaniem.

Nieoficjalnie wiadomo też, że kością niezgody w negocjacjach pozostaje tempo i zakres wycofania z Afganistanu sił międzynarodowych. Talibowie chcą, aby stało się to jak najszybciej i objęło całość oddziałów cudzoziemskich. Waszyngton i jego sojusznicy z NATO dążą z kolei do pozostawienia w kraju niewielkiego kontyngentu do walki z AQ i IS, co jednak absolutnie odrzucają rebelianci.

Wiele kontrowersji budzi też kwestia respektowania przez talibów zasad demokracji i praw człowieka (w tym kobiet). W szczerość obecnych zapewnień Talibanu odnośnie do zaakceptowania tego warunku nie wierzą ci, którzy pamiętają realia Islamskiego Emiratu Afganistanu sprzed 2001 roku. Podobnie jest z obietnicą niedopuszczenia do ponownego wykorzystania terytorium kraju przez Al-Kaidę, która już teraz ma w Afganistanie kilka obozów szkoleniowych i wspiera rebelię.

Czy decyzja prezydenta Trumpa o zamrożeniu rozmów z talibami oznacza zmianę podejścia Waszyngtonu do kwestii afgańskiej, czy też jest jedynie taktyczną zagrywką w procesie negocjacyjnym? Czas pokaże, wiadomo jednak, że Amerykanie potrzebują sukcesu politycznego w postaci porozumienia kończącego wojnę w Afganistanie. „Pokój” ma uspokoić sumienie społeczeństwa w USA, należy się jednak obawiać, że taka sytuacja będzie trwała krótko. ■

SCOTT DAVIS / US ARMY



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Testowanie granic

„**A**tak na pola naftowe Khurais i rafinerię Abqaiq to dotychczas najpoważniejszy kryzys w relacjach pomiędzy Arabią Saudyjską a Iranem. Według Saudów Teheran jest odpowiedzialny za wystrzelenie siedmiu rakiet oraz wysłanie kilkunastu dronów, które poważnie uszkodziły największą przetwórną ropy na świecie. Oskarżenia te nie zostały jednoznacznie potwierdzone i w najbliższej przyszłości raczej to nie nastąpi. Powód jest prosty – pomimo trwającego od wielu miesięcy napięcia kolejny konflikt w rejonie Zatoki Perskiej nikomu nie jest na rękę.

Niespełna kilka godzin po ataku odpowiedzialność za jego przeprowadzenie wzięły na siebie milicje Huti. Bojownicy z północnego Jemenu dysponują dronami Qasf-1 oraz UAV-X, opartymi na irańskich konstrukcjach. Jednocześnie szyccy powstańcy wielokrotnie ostrzeliwali terytorium Arabii Saudyjskiej, w tym stolicę w Rijadzie. Zaatakowane kompleksy znajdują się jednak ponad 700 km od granicy z Jemenem, czyli daleko poza zasięgiem wymienionych bezzałogowców. Wątpliwości budzi także północno-wschodni kierunek, z którego nastąpił nalot. Podobno to właśnie z tego powodu nie zadziałał saudyjski system obrony powietrznej domyślnie ustawiony na zagrożenia z południa.

Wstępne wyniki dochodzenia wykazują, że ostrzał przeprowadzono z terytorium Iraku lub nawet Iranu. Trzeba jednak pamiętać, że w ostatnich latach bezzałogowe statki powietrzne zyskały w regionie ogromną popularność i znajdują się w wyposażeniu wielu bojówek. Jednocześnie przeprowadzenie nawet precyzyjnego ataku wymaga jedynie przesłania kilku zdjęć oraz koordynatów GPS, które można przekazać za pomocą telefonu komórkowego.

Niezależnie od tego, kto był sprawcą, zdarzenie to niemal natychmiast znalazło odzwierciedlenie na arenie międzynarodowej. 16 września 2019 roku odnotowano blisko dwudziestoprocentowy wzrost wartości jednej baryłki. To był największy taki skok od czasów inwazji na Kuwejt. Oba zaatakowane kompleksy, należące do koncernu Saudi Aramco, odpowiadają za eksport około 50% ropy produkowanej przez Arabię Saudyjską (czołowy eksporter ropy na świecie) oraz generują ponad 5% światowego wydobycia. Dane te robią wrażenie, reakcja giełdy była jednak bardziej uwarunkowana strachem przed konfliktem niż realnymi stratami.

Wszystkie strony sporu wiedzą, że otwarta konfrontacja w rejonie Zatoki Perskiej wiąże się z katastrofalnymi konsekwencjami. Pomimo sankcji Iran produkuje 2 mln baryłek dziennie, przy czym eksportuje co najmniej 1/4 z nich. Zastopowanie tego wydobycia wstrząśnie międzynarodowym rynkiem znacznie mocniej niż ataki z 14 września 2019 roku. Nie ulega też wątpliwości, że zarazem Iran jest zdolny do przeprowadzenia ataku odwetowego, który będzie jeszcze poważniejszy w skutkach. Należy się też spodziewać, że Teheran ograniczy żeglugę przez cieśninę Ormuz oraz aktywuje wspierane przez siebie organizacje, w tym Al-Haszd asz-Szabi w Iraku oraz Hezbollah w Libanie i Syrii. Właśnie z tych względów prezydent Donald Trump poprzestaje jedynie na groźbach. Bardziej zdecydowana odpowiedź jest ograniczona złożonymi obietnicami wyborczymi oraz przez zmęczoną wojnami na Bliskim Wschodzie amerykańską opinią publiczną (Amerykanie coraz mocniej dostrzegają także katastrofę humanitarną w Jemenie). W obliczu nadchodzących wyborów prezydenckich nie wydaje się, by nawet zarzuty gołosłowności skłoniły Donalda Trumpa do wzięcia na swoje barki ciężaru tak poważnego konfliktu. Brak stanowczej reakcji może jednak zachęcić inicjatora ataku do ponownego testowania granic. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI jest dziennikarzem i korespondentem zajmującym się problematyką społeczną Bliskiego Wschodu oraz państw postsowieckich.



Ścisła ochrona prezydenta Republiki Środkowoafrykańskiej Touadéry złożona jest wyłącznie z Rosjan.

Kolonializm po moskiewsku

**Rosja, umacniając swoje wpływy w Afryce,
rzuca wyzwanie Europie, Stanom Zjednoczonym i Chinom.**

ROBERT SENDEK

Faustin-Archange Touadéra, prezydent Republiki Środkowoafrykańskiej (RŚA), z wykształcenia jest matematykiem. Przez dłuższy czas pracował w swoim zawodzie, był nawet przewodniczącym Międzypaństwowego Komitetu Standaryzacji Programów Matematycznych w Krajach Francuskojęzycznych. Ma analityczny i precyzyjny umysł, więc nic dziwnego, że traktuje działalność polityczną jak partię szachów. Aby odnieść zwycięstwo, trzeba być ostrożnym, ubezpieczać własne pozycje i trzymać figury przeciwnika w szachu. Tak właśnie robi Touadéra: podjął bliską współpracę z Rosją, czym wprowadził w konsternację dotychczasowych partnerów, przede wszystkim Francję, była metropolią kolonialną RŚA.

Na początku września 2019 roku prezydent odbył cykl wizyt zagranicznych, które komentatorzy francuscy nazwali ofensywą dyplomatyczną. Z Japonii, gdzie namawiał biznesmenów do inwestowania w Republice Środkowoafrykańskiej, poleciał wprost do Paryża – na spotkanie z prezydentem Emmanuelem Macronem. Jednym z głównych tematów rozmów stała się wówczas rosyjska obecność w ojczyźnie Touadéry.

Wiadomo bowiem, że w RŚA znajduje się kontyngent żołnierzy z tzw. grupy Wagnera, oficjalnie prywatnej kompanii wojskowej, ale naprawdę mającej bliskie powiązania z Kremlem. Rosjanie szkolą miejscowe jednostki wojskowe i tworzą

gwardię prezydencką. Ponadto ich rodak Walerij Zacharow jest doradcą prezydenta RŚA ds. bezpieczeństwa. Prowadzą też poszukiwania geologiczne w tym regionie, m.in. podobno podejmują próby przejęcia lokalnego wydobycia diamentów.

Rozdzierana walkami wewnętrznymi Republika Środkowoafrykańska jest dla Rosji wdzięcznym partnerem. Potrzebuje pomocy zagranicznej, dyplomatycznej, ale także wojskowej, żeby zakończyć trwającą od 15 lat krwawą wojnę domową. W kraju stacjonują siły pokojowe Organizacji Narodów Zjednoczonych i Unii Europejskiej, jednak najwyraźniej dotychczasowe wysiłki wspólnoty międzynarodowej nie usatysfakcjonowały prezydenta Touadéry, skoro zdecydował się na przyjęcie pomocy z jeszcze jednej strony.

Trzeba również zauważyć aktywność rosyjskiej dyplomacji: z inicjatywy Moskwy pod koniec sierpnia 2018 roku w Chartumie, stolicy Sudanu, odbyło się spotkanie walczących w RŚA stron. Efektem było przyjęcie wspólnej deklaracji, która stawiała się platformą otwierającą możliwość porozumienia. Znamienne, że w rozmowach tych nie uczestniczyli przedstawiciele ONZ i Unii Afrykańskiej. Jako rozjemca między zwaśnionymi stronami, Rosja mocno punktuje w regionie.

Francję rosyjska obecność w RŚA bardzo drażni. Na pytania dziennikarzy o zbliżenie z Moskwą, Touadéra jednak z uśmie-





chem na ustach odpowiedział: „Wszystkie zaprzyjaźnione państwa, które chcą wspierać pokój i stabilność, są u nas mile widziane”. Niewykluczone, że chce w ten sposób wywołać większe zainteresowanie Paryża swym krajem.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Republika Środkowoafrykańska to nie-jedyny przykład rosnącej aktywności Rosjan na kontynencie afrykańskim. Trzeba jednak zaznaczyć, że nie chodzi o zdobywanie nowych przyczółków, lecz raczej o powrót na teren, gdzie byli obecni w latach zimnej wojny. Był to czas upadku imperiów kolonialnych, gdy ludy i narody pod hasłami walki z kolonializmem i imperializmem wybijały się na niezależność. Przełom nastąpił w roku 1960, nazwanym później Rokiem Afryki, kiedy spod władzy metropolii europejskich wyzwoliło się aż 17 krajów tego kontynentu.

Elity polityczne nowych państw szukały wówczas dla siebie odpowiedniego modelu rozwoju. Wielu afrykańskich polityków i intelektualistów odkryło socjalizm jako alternatywę wobec skompromitowanego – w ich mniemaniu – systemu kolonialnego opartego na kapitalizmie. Takie tendencje skrzętnie wykorzystywał rywalizujący z Zachodem Związek Radziecki, występując w Afryce z własną ofertą ideologiczną. Nic więc dziwnego, że wielu tamtejszych przywódców przystawało na bliską współpracę z Moskwą. Niektórzy jednak decydowali się pójść dalej i wybierali socjalizm według modelu sowieckiego. Szczególnie jaskrawy przykład stanowi Etiopia, gdzie w 1974 roku obalono cesarza i ogłoszono budowę tego ustroju w wersji marksistowsko-leninowskiej. Podobnie było w sąsiedniej Somalii, gdzie w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia prezydent Mohammed Siad Barre przystąpił do wprowadzania w życie „socjalizmu naukowego”.

Zbliżenie ze Związkiem Radzieckim miało dla obu stron także wymiar praktyczny, polegający m.in. na podjęciu bliskiej współpracy wojskowej. Chodziło nie tylko o zakup sowieckiego sprzętu wojskowego, ale też o obecność w Etiopii czy Somalii radzieckich doradców wojskowych. Rosjanie ustanowili swoje morskie bazy wojskowe na etiopskiej wyspie Nocra na Morzu Czerwonym oraz w somalijskim porcie Berbera na brzegu Zatoką Adeńską. Sowieckich baz wojskowych było w Afryce wówczas więcej, w różnych latach istniały one m.in. w Angoli, Libii, Egipcie czy Gwinei.

Zaniepokojone rosyjską aktywnością w Afryce są także Stany Zjednoczone. Na rosnące zaangażowanie Moskwy zwracali uwagę przedstawiciele amerykańskiej generalicji, gen. Thomas D. Waldhauser, do lipca 2019 roku szef regionalnego dowództwa amerykańskich sił zbrojnych w Afryce (United States Africa Command – USAFRICOM), oraz jego następca gen. Stephen J. Townsend. Obaj wiosną 2019 roku występowali przed senacką komisją ds. sił zbrojnych, a następnie składali pisemne odpo-

REPUBLIKA ŚRODKOWOAFRYKAŃSKA POTRZEBUJE POMOCY ZAGRANICZNEJ, DYPLMATYCZNEJ, ALE TAKŻE WOJSKOWEJ, ŻEBY ZAKOŃCZYĆ TRWAJĄCĄ OD 15 LAT WOJNĘ DOMOWĄ

wiedzi na pytania kongresmenów. Z materiałów opublikowanych później przez portal The Intercept wynika jedno: zdaniem obu wojskowych zainteresowanie Moskwy Afryką stanowi zagrożenie dla interesów bezpieczeństwa narodowego USA. Waldhauser zwrócił przede wszystkim uwagę na rosyjską obecność w Republice Środkowoafrykańskiej. Wskazał również dziewięć innych krajów afrykańskich, które nawiązały bliskie kontakty z Moskwą – Algierę, Libię, Sudan, Angolę, Gwineę, Gwineę Bissau, Mali, Mauretanię i Tunezję.

Wyrazem zaangażowania Moskwy na tym kontynencie są inwestycje: w latach 2009–2017 wzrosły one z 5,7 mld dolarów do 17,4 mld, a dotyczą głównie energetyki jądrowej, przemysłu naftowego

i gazowego. Równolegle rozwijana jest tam oferta kulturalna: rządowa fundacja Russkij Mir obecna jest w dziewięciu krajach afrykańskich. Waldhauser zaznaczył przy tym: „Chcąc udaremnić rosyjskie starania, USAFRICOM podejmuje współpracę z wieloma państwami w regionie. W ten sposób może się stać głównym partnerem wojskowym dla państw afrykańskich”.

NA TYM NIE KONIEC

Wybór Chartumu jako miejsca rokowań między stronami konfliktu w RŚA nie był przypadkowy. Rosja od lat zacieśnia bowiem współpracę z Sudanem. W styczniu 2019 roku Kreml ustalił z tamtejszym rządem szczegóły planowanego porozumienia wojskowego, które pozwoliłoby mu korzystać z portów na Morzu Czerwonym. Zakładano także, iż efektem współpracy może być powstanie rosyjskiej bazy wojskowej. W zamian Rosjanie obiecywali Sudańczykom dostawy sprzętu, w tym samolotów Su-30 oraz rakiet ziemia–powietrze. Upadek prezydenta Umara al-Baszira trzy miesiące później pokrzyżował te plany albo może odsunął je nieco w czasie.

Rosja oferuje też Sudanowi pośrednictwo w dyplomatycznych rozmowach z sąsiadami: Etiopią i Erytreą, z którymi Sudan różni się w wielu kwestiach. Determinację Kremla w mocniejszym usadowieniu się w tym newralgicznym rejonie świata, jakim jest szlak wiodący z Europy na Daleki Wschód przez Kanał Sueski, pokazuje również i to, że Rosja sonduje możliwość zbudowania bazy logistycznej właśnie w Erytrei, na wypadek gdyby scenariusz sudański się nie powiódł.

Moskwa poza tym angażuje się w działania w sąsiedniej Libii, gdzie próbuje występować w roli pośrednika między zwaśnionymi stronami. Kolejnym krokiem Kremla w umacnianiu wpływu na kontynencie ma być pierwszy szczyt Rosja–Afryka, który odbędzie się w Soczi pod koniec października. Organizatorzy zapowiedzieli przybycie około 50 szefów państw z całej Afryki. W trakcie obrad mają zostać zawarte porozumienia polityczne i gospodarcze, a to pozwoli Rosji zdobywać kolejne przyczółki w walce o wpływ na kontynencie afrykańskim. ■

Pułapka na prezydenta



TRZY PYTANIA DO

Wojciecha Konończuka

Wyniku wielomiesięcznych negocjacji doszło do wymiany więźniów między Rosją a Ukrainą. Co sprawiło, że udało się to zrobić właśnie teraz?

Udało się z dwóch powodów, które są ze sobą powiązane. Po pierwsze, władzę w Kijowie objęła nowa ekipa, która deklaruje, że jednym z jej priorytetów jest doprowadzenie do uregulowania konfliktu w Donbasie. Wymianę więźniów postrzega się jako pierwszy etap procesu pokojowego. Po drugie, Moskwa liczy na to, że można dogadać się z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim. Zgoda na wypuszczenie 35 ukraińskich więźniów to swoisty gest w stronę Kijowa, mający zachęcić go do dalszych negocjacji.

Ta wymiana jest sukcesem Zełenskiego czy Putina? Który z nich musiał pójść na większy kompromis?

Bez wątpienia jest to sukces Zełenskiego – zyskał dzięki niemu poparcie społeczne. Jednocześnie jednak musiał zgodzić się na oddanie Rosji jednego z podejrzanych w sprawie zestrzelenia malezyjskiego Boeinga nad Donbasem w 2014 roku, Wołodymyra Cemacha, który został zatrzymany kilka tygodni wcześniej w wyniku operacji służb ukraińskich. Za tę decyzję Zełenski jest krytykowany zarówno przez część mediów ukraińskich, jak i zachodnich. Wymiana była korzystna również dla Kremla, gdyż oswobodzenie ukraińskich więźniów to sygnał wysłany Zachodowi. Może się to przyczynić do poprawy stosunków między Rosją a Unią Europejską. Więzienie ukraińskich marynarzy, zatrzymanych nielegalnie jesienią 2018 roku w Cieśninie Kerczeńskiej, oraz reżysera Ołeha Sencowa, który stał się jednym z symboli represywnej polityki rosyjskiej, wiązało się dla Moskwy z wysokimi kosztami politycznymi. Warto jednak pamiętać, że nadal przetrzymuje ona około 300 Ukraińców.

Co wymiana więźniów oznacza dla dalszych stosunków między tymi państwami? Czy to pierwszy krok do normalizacji? A może do zakończenia wojny?

Wymianę więźniów należy postrzegać w kontekście toczących się od kilku tygodni negocjacji w ramach formatu normandzkiego [grupa składająca się z przedstawicieli Ukrainy, Rosji, Niemiec, Francji] na razie na szczepku eksperckim, ale z perspektywą, że jesienią może się udać zorganizowanie spotkania przywódców państw. Nowy ukraiński prezydent po objęciu władzy doprowadził do reaktywowania zamrożonych od dłuższego czasu rozmów międzynarodowych na temat Donbasu. W kampanii wyborczej obiecywał, że będzie w stanie szybko uregulować konflikt. Zresztą nadal twierdzi, że będzie to możliwe w ciągu kilku miesięcy. Tego typu deklaracje nakładają się na oczekiwania społeczne, gdyż 2/3 Ukraińców uważa, że jest to zadanie numer jeden dla Zełenskiego. Jednocześnie widzimy, że na Zachodzie, szczególnie we Francji, również pojawiły się nadzieje na to, że znalezienie rozwiązania dla Donbasu jest możliwe. Ukraiński minister spraw zagranicznych Wadym Prystajko mówi wręcz o zachodniej presji na Kijów, aby doprowadzić do przełomu w konflikcie. Wreszcie najważniejsze: taką sytuację próbuje wykorzystać Moskwa, aby narzucić Ukrainie swoje warunki uregulowania konfliktu, który sama wywołała i w którym – według fałszywej rosyjskiej narracji – jest jedynie pośrednikiem. Moskwie nie chodzi o żaden kompromis w Donbasie, lecz o zmuszenie Ukrainy do przyjęcia jej warunków. Przede wszystkim o przyznanie regionowi faktycznej autonomii, zagwarantowanej w ukraińskiej konstytucji, z jednoczesnym utrzymaniem przez Moskwę kontroli nad Donbasem. Dlatego obecne negocjacje są pułapką zastawioną na Zełenskiego. Gdyby ukraińskie władze zgodziły się na ustępstwa, wbrew narodowym interesom, konsekwencją mogłaby być destabilizacja wewnętrzna kraju i potężne protesty społeczne. ■

WOJCIECH KONOŃCZUK jest kierownikiem Zespołu Białorusi, Ukrainy i Mołdawii w Ośrodku Studiów Wschodnich.

Rozmawiała Małgorzata Schwarzgruber.



Kłopotliwy eksport

Na rządy państw zachodnich wywierana jest presja polityczna, by wstrzymały dostawy broni do Arabii Saudyjskiej.

T A D E U S Z W R Ó B E L

Amerykańska Izba Reprezentantów w lipcu 2019 roku przyjęła rezolucję przeciwko planowanej przez prezydenta Donalda Trumpa przyspieszonej sprzedaży broni do Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. W tym samym czasie członkowie Izby wraz z senatorami potępił zabójstwo saudyjskiego dziennikarza Dżamala Chaszodżdżiego i wyrazili dezaprobatę wobec reakcji na nie prezydenckiej administracji. Zbrodni dokonano 2 października 2018 roku w konsulacie Arabii Saudyjskiej w Stambule. Pojawiły się informacje, że decyzję o uciszeniu dziennikarza krytykującego rządy dynastii panującej podjęto na najwyższych szczeblach władz w Rijadzie. Trump nie nałożył wówczas na Arabię Saudyjską żadnych sankcji, nie zgodził się też na wszczęcie śledztwa. Uznał, że wsparcie dla Saudyjców i innych sojuszników znad Zatoki Perskiej ma ogromne znaczenie dla USA w przeciwdziałaniu wpływom Iranu w regionie.

Działania Arabii Saudyjskiej już od dłuższego czasu budzą sprzeciw części polityków i organiza-

cji broniących praw człowieka nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz także w państwach europejskich. Rząd w Rijadzie jest krytykowany m.in. za zaangażowanie w wojnę domową w Jemenie. Ataki lotnictwa saudyjskiego spowodowały wiele ofiar wśród cywilów. Głośnym echem odbił się nalot z 8 października 2016 roku w Sanie. Wówczas zginęło lub odniosło rany około 700 osób biorących udział w pogrzebie ojca ministra spraw wewnętrznych w rządzie szyickich rebeliantów Huti, Dżalala al-Rawiszana.

NIEMIECKIE EMBARGO

Zabójstwo Dżamala Chaszodżdżiego stało się w świecie zachodnim impulsem do zaprzestania lub ograniczenia dostaw broni do monarchii znad Zatoki Perskiej, która jest jednym z największych jej importerów na świecie. Pierwsi zdecydowali się na ten krok Niemcy. Embargo wymusili socjaldemokraci, którzy tworzą koalicyjny rząd razem z chadecją.

W 2018 roku do października niemiecka zbrojeniówka dostarczyła Arabii Saudyjskiej uzbroje-



Lider laburzystów JEREMY CORBYN:
„Doradztwo, wsparcie i dostawy broni z Wielkiej Brytanii na potrzeby saudyjskiej wojny w Jemenie to moralna plama na honorze naszego kraju”.

nie i sprzęt wojskowy za 416,4 mln euro. Ogólna zaś wartość eksportu broni z Niemiec wyniosła w całym roku 4,82 mld euro. Zatem wprowadzone po zabójstwie Chasodżdżiego embargo miało niewielki wpływ na ogólny bilans eksportu niemieckiej zbrojeniówki, w każdym razie nie aż taki, jak spadek sprzedaży do państw należących do Unii Europejskiej, NATO oraz sojuszników spoza tych organizacji: Australii, Japonii, Nowej Zelandii i Szwajcarii.

Zakaz nie ogranicza się do sprzedaży gotowych produktów, lecz dotyczy również dostaw do innych państw części i podzespołów używanych w sprzęcie wojskowym, który powstaje u nich na saudyjskie zamówienie. Pojawiły się zatem napięcia w stosunkach z Francją i Wielką Brytanią, które wytwarzane w Niemczech elementy wykorzystują także w produkcji uzbrojenia dla własnych sił zbrojnych. Dlatego Francuzi i Brytyjczycy żądali od Niemców, by wyłączyli spod embargo programy wielonarodowe.

BLOKADY I WYROKI

Władze w Londynie i Paryżu same również mają problem z eksportem uzbrojenia dla Rijadu. W Wielkiej Brytanii przeciwko sprzedaży broni Saudyjczykom protestuje organizacja działająca na rzecz zakończenia międzynarodowego handlu bronią Campaign Against Arms Trade (CAAT). Zdecydowany sprzeciw wyraża również opozycyjna Partia Pracy. „Doradztwo, wsparcie i dostawy broni z Wielkiej Brytanii na potrzeby saudyjskiej wojny w Jemenie to moralna plama na honorze naszego kraju”, oświadczył lider laburzystów Jeremy Corbyn. Zażądał też natychmiastowego wstrzymania sprzedaży broni Saudyjczykom.

Brytyjcy zwolennicy embargo z CAAT wystąpili na drogę sądową. 20 czerwca 2019 roku Sąd Apelacyjny w Londynie orzekł, że władze naruszyły prawo, zgadzając się na eksport do Arabii Saudyjskiej uzbrojenia, które mogło być wykorzystane w wojnie w Jemenie. Wydając orzeczenie, sędzia Terence Etherton stwierdził, że rząd „nie dokonał żadnej analizy tego, czy koalicja pod przywództwem Arabii Saudyjskiej dopuściła się w przeszłości, podczas konfliktu w Jemenie, naruszenia międzynarodowego prawa humanitarnego”.

Londyński sąd nie nakazał jednak rządowi natychmiastowego wstrzymania sprzedaży broni zaangażowanym w wojnę jemeńską państwom. Taki wyrok byłby ogromnym problemem dla brytyjskiego przemysłu zbrojeniowego, gdyż Arabia Saudyjska jest jego największym zagranicznym kontrahentem. W minionej dekadzie trafiło do niej 43% broni wyeksportowanej ze Zjednoczonego Królestwa.

Podobne kroki jak CAAT, we Francji podjęły organizacje działające na rzecz obrony praw człowieka Action de Chrétiens pour l'Abolition de la Torture i Action Sécurité

KONFLIKT W JEMENIE UKAZAŁ W PEŁNI BRAK WSPÓLNEJ POLITYKI UE, GDY CHODZI O EKSPORT BRONI, CHOĆ NIBY WSZYSCY JEJ CZŁONKOWIE ZOBOWIĄZALI SIĘ DO PRZESTRZEGANIA TYCH SAMYCH ZASAD

Ethique Républicaines. Wystąpiły one do sądów, by te zakazały władzom Francji dalszego eksportu broni do Arabii Saudyjskiej. Kampanię przeciwko sprzedaży broni Rijadowi wsparli francuscy dokerzy, którzy sprzeciwili się wejściu do portu w Le Havre saudyjskiego statku handlowego „Bahri Yanbu”. Jednostka przewożąca broń z USA miała zabrać podobne ładunki z portów we Francji, Belgii i Hiszpanii. W wyniku blokady osiem samobieżnych haubic Caesar przewieziono do włoskiego portu wojennego La Spezia i tam załadowano na saudyjski statek.

W maju podobne problemy miała inna jednostka, „Bahri Tabuk”. Statek zawinął do portu Fos-sur-Mer w pobliżu Marsylii, a tamtejsi dokerzy nie zgodzili się na załadunek na jego pokład amunicji artyleryjskiej.

We Francji protesty przeciwko eksportowi broni do Arabii Saudyjskiej nasiliły się, gdy internetowy portal dochodzeniowy opublikował przecieki z raportów tamtejszego wywiadu wojskowego. Wynikało z nich, że francuskiego uzbrojenia, m.in. czołgów i kierowanych pocisków rakietowych, używano wobec jemeńskich cywilów.

PODZIELONA EUROPA

Konflikt w Jemenie w pełni ukazał brak wspólnej polityki Unii Europejskiej w kwestii eksportu broni, choć niby wszyscy jej członkowie zobowiązali się do przestrzegania tych samych zasad, wynikających z prawodawstwa unijnego i prawa międzynarodowego. Faktycznie decyzje, czy sprzedać broń do państwa zaangażowanego w konflikt zbrojny, kraje podejmują, kierując się własnymi interesami politycznymi i gospodarczymi, które niejednokrotnie okazują się ważniejsze niż prawa człowieka.

Dobrym przykładem na to jest Francja. Pomimo protestów w 2018 roku władze w Paryżu wydały o 50% więcej licencji eksportowych do Arabii Saudyjskiej niż rok wcześniej. Podobnie jest we Włoszech, które sprzedają klientom znad Zatoki Perskiej m.in. bomby lotnicze. Co prawda w grudniu 2018 roku premier Włoch Giuseppe Conte zapowiadał zakończenie dostaw broni dla Rijadu, na co naciskają tamtejsze organizacje pozarządowe i społeczeństwa obywatelskie, ale były to tylko słowa. 26 czerwca włoski parlament zwrócił się do jego gabinetu z wnioskiem, by przygotowano odpowiednie przepisy wstrzymujące eksport do Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich uzbrojenia oraz jego komponentów, których można użyć przeciwko cywilom w Jemenie. Co więcej, parlamentarzyści wezwali do rozważenia inicjatyw mających na celu ustanowienie unijnego embargo na dostawy broni do tych krajów. Odmienność praktyk i interesów poszczególnych państw należących do UE w tym bardzo delikatnym obszarze międzynarodowego handlu sprawia, że realizacja tego pomysłu jest jednak mała prawdopodobna. ■

WITOLD REPETOWICZ

ZAPOBIEGANIE OGNIEM

Ataki Izraela na cele w Libanie i Iraku pokazują, że forsowana przez Beniamina Netanjahu doktryna uderzeń prewencyjnych stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa nie tylko obu tych państw, lecz także stacjonujących w nich obcych wojsk.



EDEN BRIAND / IDF

Tel Awiw zdecydował się zaatakować cele w Iraku, Syrii i Libanie, ponieważ uznał, że stacjonujące tam proirańskie siły przygotowują się do ostrzału izraelskiego terytorium (na zdjęciu F-15s sił powietrznych Izraela).

W sierpniu 2019 roku w kilku bazach irackich Sił Mobilizacji Ludowej (Al-Haszd asz-Szabi) doszło do serii eksplozji. 25 sierpnia został zaatakowany konwój tej formacji na granicy iracko-syryjskiej, w rejonie, gdzie ciągle prowadzi ona działania przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu. Wkrótce potem Izrael przy użyciu dronów uderzył na bazę Hezbollahu w Libanie oraz instalacje irańskie pod Damaszkiem w Syrii.

SIEĆ SOJUSZNIKÓW

Ostrzał strategicznych celów, mniej lub bardziej związanych z Iranem, na terenie Libanu, Iraku i Syrii świadczy o tym, że Izrael nie uzna-

je ograniczeń w prowadzeniu działań militarnych, które postrzega jako prewencyjne. Zdecydował się zaatakować, ponieważ uznał, że stacjonujące tam proirańskie siły przygotowują się do ostrzału izraelskiego terytorium. Nie przedstawił jednak na to żadnych dowodów. Nie wiadomo zresztą, czy rzeczywiście takie plany na najbliższą przyszłość istniały, gdyż zaatakowani nie skorzystali ze wszystkich możliwości odpowiedzi na ostrzał. A nie zrobili tego właśnie z obawy przed eskalacją napięcia, mogącą doprowadzić do wybuchu konfliktu, w którym nie mieliby przewagi nad przeciwnikiem. Izrael dokonał więc demonstracji siły i naruszył suwerenność innych państw. Zignorował przy tym

fakt, że działania, które podjął, mogą przynieść również negatywne konsekwencje, jeżeli chodzi o walkę z tzw. Państwem Islamskim.

W tym kontekście najwięcej wątpliwości budzą uderzenia w Al-Haszd asz-Szabi. Tę formację często nazywa się proirańskimi milicjami szyickimi, ale jest to określenie nieprecyzyjne. W rzeczywistości w 2016 roku została ona włączona do irackich sił zbrojnych, choć nie jest z nimi jeszcze w pełni zintegrowana, ponadto około 25% jej składu stanowią sunnici. Nie ulega natomiast wątpliwości, że większość bojowników uznaje Iran za sprzymierzeńca, a ich dowódcy utrzymują bliski kontakty z gen. Kasemem Sulejmanim z sił Al-Kuds. Nie jest też tajemnicą, że Teheran dostarcza Al-Haszd asz-Szabi broń mającą służyć do walki z tzw. Państwem Islamskim. W 2018 roku zaniepokojenie Izraela wywołały informacje o tym, że Iran przerzucił do Iraku kilkadziesiąt swoich rakiet typu Zelzal, Fateh-110 czy też Zolfagar, mających zasięg 650 km. Tyle że nie wiadomo, gdzie tę broń umieszczono, czy rzeczywiście, jak podejrzewano, trafiła ona do baz Sił Mobilizacji Ludowej. Ponadto nic nie wskazuje na to, że chcą one przeprowadzić atak na Izrael.

Gdy w maju 2019 roku doszło do ostrzału Zielonej Strefy w Bagdadzie, w której znajdują się zagraniczne placówki dyplomatyczne i siedziby władz, a jeden z pocisków niekierowanych eksplodował w okolicach ambasady USA, wszyscy politycy związani z Al-Haszd asz-Szabi zdecydowanie odcięli się od ataku. Powszechnie wiadomo, że w tej formacji panują antyamerykańskie nastroje, mimo to jej funkcjonariusze nie zamierzają się angażować w działania sprzeczne z oficjalną polityką, która opiera się na równowadze w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi, Iranem, a także Arabią Saudyjską. Ciekawa była natomiast reakcja dowództwa tej formacji po serii wybuchów w bazach. Abu Mahdi al-Muhandis oskarżył Amerykanów, że pomogli Izraelczykom wprowadzić do irackiej przestrzeni powietrznej drony, które dokonały ostrzału. Zapowiedział, że w takiej sytuacji muszą się bronić. Tyle że następnego dnia Fali al-Fayadh, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Iraku, sprawujący nadzór nad Al-Haszd asz-Szabi, odciął się od oświadczenia Al-Muhandisa i odrzucił oskarżenia pod adresem USA.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja, jeśli chodzi o uderzenia przewencyjne w libański Hezbollah. Jego oddziały, w przeciwieństwie do będących częścią irackiej armii Sił Mobilizacji Ludowej, nie pozostają w żadnej zależności od władz Libanu. Co więcej, w przeszłości nieraz przeprowadzały one ataki na izraelskie terytorium, choć do ostatniego doszło w 2011 roku. Nie dziwi natomiast uderzenie Izraelczyków na cele w Syrii, gdzie Irańczycy i Hezbollah działają bez żadnej kontroli państwa. Izrael regularnie ata-

kuje zarówno milicje irańskie, jak i Hezbollah w tym ogarniętym od 2011 roku wojną kraju.

STRATEGICZNA ŁAMIGŁÓWKA

Prewencyjne uderzenia Izraela mają też ścisły związek z potencjalną, choć obecnie mało prawdopodobną, konfrontacją militarną Iranu z USA. Gdyby jednak do takiego konfliktu doszło, szybko rozszerzyłby się on na Irak i Liban, a irańscy sojusznicy z tych krajów dokonali by odwetowych uderzeń, m.in. na Izrael, będący sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Dlatego Benjamin Netanjahu od dawna mówi o wyprzedzającym uderzeniu na Iran. Izrael sam jednak nie zdecyduje się na ten krok, gdyż zdaje sobie sprawę z ograniczonej skuteczności takiego ruchu i ogromnych

kosztów, które by poniósł w wyniku irańskiej odpowiedzi. Trzeba bowiem sobie zdawać sprawę z tego, że reakcja Teheranu byłaby o wiele bardziej stanowcza, gdyby zostało naruszone jego własne terytorium, niż po atakach na siły proirańskie w Iraku, Libanie czy Syrii. Izrael nie obawia się natomiast militarnej odpowiedzi Iranu, dopóki ogranicza się do atakowania jego sojuszników.

Niemniej jednak Teheran cały czas systematycznie buduje strategiczną przewagę, m.in. wykorzystując swoich popleczników w Iraku. Nigdy bowiem nie ulegało wątpliwości, że obecność Al-Haszd asz-Szabi w zachodnioirackiej prowincji Anbar ma służyć otwarciu szlaku logistycznego prowadzącego z Iranu, przez Irak, do Syrii i Libanu. W interesie zarówno USA, jak i Izraela leży pokrzyżowanie tych planów. Na razie konkretne działania zmierzające do przerwania szlaku Amerykanie i Izraelczycy podejmowali na terytorium Syrii, która pozostaje z nimi we wrogich stosunkach, a nie Iraku. Jednak relacje amerykańsko-irackie wyglądają zupełnie inaczej. Problem pojawi się, gdy Izrael zintensyfikuje ataki, co może spowodować Al-Haszd asz-Szabi do ostrzału amerykańskich baz. Na razie co prawda taki scenariusz jest mało prawdopodobny, ale tylko dlatego, że zarówno Irak, jak i USA zdają sobie sprawę z wagi dobrych wzajemnych relacji. Ponadto chaos wywołany konfliktem amerykańsko-irackim pozwoliłby na odrodzenie się tzw. Państwa Islamskiego w Iraku. Atak liczących ponad 120 tys. żołnierzy Al-Haszd asz-Szabi na 5 tys. amerykańskich żołnierzy byłby zapewne początkiem nowej wojny w Iraku.

Izraelskie ataki są ogromnym wyzwaniem dla Libanu. Szejch Hasan Nasr Allah, dowódca Hezbollahu, zapowiedział działania odwetowe, jednak Benjamin Netanjahu ostrzegał Liban przed ich podejmowaniem. Izraelski polityk sugerował, że spotkają się one z ostrą militarną odpowiedzią. Mogłoby to doprowadzić do wybuchu nowej wojny izraelsko-libańskiej, która zagrażałaby m.in. kruchej stabilności politycznej w Libanie. ■



CYBERSEC

EUROPEAN
CYBERSECURITY FORUM

SECURING
THE WORLD'S
DIGITAL DNA

5

JUBILEUSZOWA
EDYCJA

MCK KATOWICE,
29-30 PAŹDZIERNIKA 2019

NAJWIĘKSZE WYDARZENIE POŚWIĘCONE
TEMATYCE CYBERBEZPIECZEŃSTWA
W EUROPIE ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

ZAREJESTRUJ SIĘ JUŻ DZIŚ!

#CSCEE19

www.cybersec-cee.eu

Prorocy apokalipsy

Amerykanie i Francuzi udowadniają, że zatrudnianie w wojsku pisarzy tworzących fantastykę naukową może mieć głęboki sens.

ROBERT SENDEK

Media na całym świecie w lipcu 2019 roku podały intrygującą informację: otóż armia francuska zamierza zatrudnić pisarzy fantastyczno-naukowych. Rzeczywiście, wieść o tym, że dla wojska będą pracować ludzie, którzy z armią mają – zdawałoby się – niewiele wspólnego, może być nieco zaskakująca. W czym bowiem nowoczesnej armii w XXI wieku mogą pomóc ludzie pióra, którzy w dodatku zajmują się tak oderwaną od codzienności dziedziną?

NA POCZĄTKU BYŁA DARPA

Pomysł umożliwienia wojsku sięgania po pomoc twórców fantastyki zrodził się z ciekawej obserwacji: otóż wiele najróżniejszych wynalazków, innowacji oraz nowatorskich rozwiązań zostało zaproponowanych właśnie przez nich, a nie przez praktyków. Na przykład uważa się, że jeden z pionierów fantastyki naukowej Herbert G. Wells, autor m.in. takich powieści, jak „Wehikuł czasu” czy „Wojna światów”, przewidział choćby stworzenie lasera, inżynierię genetyczną, telewizję satelitarną czy bombę atomową.

Z inspiracji fantastyką naukową korzysta amerykańska Agencja Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych (Defence Advanced Research Projects Agency – DARPA), rządowa instytucja, której zadaniem jest testowanie najrozmaitszych, nawet najbardziej fantastycznych idei oraz szukanie dla nich wojskowych zastosowań. Osiąganiu tego celu służy niezwykle struktura organizacyjna Agencji. Jej cechą charakterystyczną jest ciągła rotacja kadr: co roku wymienia się jedną czwartą personelu zarządzającego. Regularny dopływ nowych pracowników ma sprzyjać innowacyjności i kreatywności oraz uchronić instytucję przed rutyną.

O skuteczności działania DARPA świadczy długa lista zaawansowanych, wręcz przełomowych technologii, które Agencja zainicjowała, a które następnie znalazły się w powszechnym użytku. Są to m.in. pojazdy bezzałogowe, gogle noktowizyjne, techno-

logia stealth, myszka komputerowa, internet, system nawigacji satelitarnej GPS czy karabin M16.

Podjęmowane przez Agencję programy mają na ogół mocno wizjonerski charakter i stanowią w wielu wypadkach próbę realizacji idei, które znajdują się właściwie na granicy nauki i fantastyki. To z kolei niejako w naturalny sposób powoduje, że do pracy w tej instytucji poszukiwani są ludzie otwarci i kreatywni. Anthony Tether, dyrektor Agencji w latach 2001–2009, stwierdził wprost: „Jestem przekonany, że najlepszymi kierownikami programów DARPA są ludzie, którzy chcieliby być pisarzami fantastyki naukowej”.

CI SZALENI NAUKOWCY

Nader często Agencja podejmuje się badań nad projektami, które na obserwatorach zewnętrznych mogą sprawiać wrażenie osobliwych. Można do takich zaliczyć np. samochody dla osób niewidomych, gaszenie ognia dźwiękiem, latający okręt podwodny albo badania nad telepatią. Trudno się zatem dziwić, że Agencja bywa nazywana departamentem szalonych naukowców. Celem DARPA jest przetestowanie możliwości zrealizowania nawet najbardziej nieprawdopodobnego pomysłu. W zależności od tego, czy test się uda, czy nie, zarzuca się prace lub kieruje do dalszych badań.

Aby jednak do tego etapu doszło, konieczny jest nieustanny dopływ nowych pomysłów, które można by przedyskutować, a potem przetestować. Proces szukania inspiracji został w Stanach Zjednoczonych zinstytucjonalizowany. Amerykańskie Dowództwo Szkolenia i Doktryny Wojennej Wojsk Lądowych (United States Army Training and Doctrine Command – TRADOC) organizuje cykliczne debaty pod nazwą Mad Scientist Initiative (Inicjatywa Szalony Naukowiec). Uczestniczą w nich przedstawiciele środowisk akademickich, przemysłu wojskowego i rządu, biorą w nich udział również twórcy SF. Celem takich spotkań jest wymiana myśli, na przykład na temat tego, jak w przyszłości mogą



Uważa się, że jeden z pionierów fantastyki naukowej **HERBERT G. WELLS** przewidział m.in. stworzenie lasera, inżynierię genetyczną, telewizję satelitarną czy bombę atomową.

Wśród możliwych zadań stawianych przed Red Team wskazuje się na szkicowanie ewentualnych zagrożeń wynikających z wykorzystania przez wrogle państwa czy organizacje terrorystyczne najnowszych technologii, np. sztucznej inteligencji.



wyglądać operacje wojskowe, inspirowanie nowych pomysłów, koncepcji i technologii oraz definiowanie zagrożeń.

Andrew Liptak, jeden z uczestników takiego forum, opisuje na blogu: „Brałem udział w konferencji zorganizowanej przez Mad Scientist Initiative. Hasłem było »Nauczanie w 2050 roku«. Miano na niej roztrząsać, jak armia będzie szkolić żołnierzy w odległej przyszłości, definiowanej przez organizatorów jako przyszłość, w której nie można realistycznie przewidzieć polityki ani technologii. Zostałem poproszony, jako pisarz science fiction, o podzielenie się swoimi przemyśleniami co do tego, jak ten problem mogłaby ująć fantastyka naukowa”.

ONI WIDZĄ WIĘCEJ

Zamachy z 11 września 2001 roku pokazały, że światowe mocarstwo można zaatakować, nie dysponując właściwie żad-

ną siłą wojskową, zaawansowanymi technologiami czy skomplikowaną bronią. Wystarczyło w charakterze śmiercionośnych pocisków wykorzystać zatankowane do pełna samoloty pasażerskie. Aby jednak na to wpaść, potrzebny był ktoś umiejący myśleć kreatywnie, kto potrafił dostrzec możliwości tam, gdzie nikt inny ich nie widzi.

Nic więc dziwnego, że Amerykanie, którym tej wyobraźni wtedy nie wystarczyło, zaangażowali do pomocy ludzi postrzegających świat nieszablonowo – bo to oni mogli pomóc w dostrzeżeniu zagrożeń w miejscach, zjawiskach czy sytuacjach, które przeciętnym zjadaczom chleba z niebezpieczeństwem się nie kojarzą. Powołany przez pisarza Arlana Andrews think tank o nazwie Sigma stanowi od wrześniowych zamachów swoisty panel doradczy amerykańskiego Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego.



CELEM DARPA

JEST PRZETESTOWANIE
MOŻLIWOŚCI
ZREALIZOWANIA
POMYSŁU NAWET,
ZDAWAŁOBY SIĘ,
NAJBARDZIEJ NIE-
PRAWDOPODOB-
NEGO

Członkiem grupy jest m.in. Greg Bear, znany również w Polsce pisarz SF, należy do niej także wielu naukowców zajmujących się zaawansowanymi technologiami. Niektórzy piastują wysokie stanowiska w instytucjach rządowych i przemśle obronnym. Łączy ich jedno: tworzą powieści i opowiadania SF, a jednocześnie spekulują na temat przyszłości człowieka, społeczeństwa, technologii i możliwych zagrożeń. Mottem Sigmy są słowa: „Fantastyka naukowa na rzecz interesów narodowych”.

FANTASTYCZNIE NAD SEKWANA

Jesienią 2018 roku rząd francuski utworzył przy ministerstwie obrony funkcjonalny odpowiednik amerykańskiej DARPA: Agencję ds. Innowacji w dziedzinie Obronności (l'Agence de l'innovation de Défense – AID). Ma ona stanowić pewnego rodzaju inkubator idei oraz nowoczesnych pomysłów i technologii, które można byłoby zastosować do celów militarnych.

11 lipca 2019 roku AID opublikowała raport, w którym za sensowne uznano powołanie niewielkiej komórki, wspierającej strategów wojskowych w przewidywaniu możliwych zagrożeń dla bezpieczeństwa narodowego kraju. Nazwano ją angielskim terminem Red Team (Czerwona Drużyna). Ma ją tworzyć od czterech do pięciu osób, w tym futurologi oraz twórcy literatury science fiction.

Wśród możliwych zadań stawianych przed tą ekipą wskazuje się na szkicowanie ewentualnych zagrożeń wynikających z wykorzystania przez wroga państwa czy organizacje terrorystyczne najnowszych technologii (np. sztucznej inteligencji). Chodzi głównie o to, by przewidzieć, co może pójść nie tak, z której strony należy się spodziewać niebezpieczeństwa, co będzie stanowiło największe wyzwania. Efektem pracy Red Team mogą być zatem również zalecenia i uwagi dla armii oraz służb państwowych. Ponieważ grupa ma przewidywać zagrożenia, jeden z francuskich dziennikarzy nazwał jej członków mianem proroków apokalipsy.

Bruno Tertrais z francuskiego think tanku o nazwie Fundacja na rzecz Badań Strategicznych (La Fondation pour la recherche stratégique – FRS) wyjaśnił, że osoby tworzące nową komórkę będą musiały wykazać się o wiele bardziej kreatywnym myśleniem niż wojskowi stratedzy. „Z pewnością jednak to nie Red Team będzie decydować o strategii wojskowej Francji, a tym bardziej o jej polityce obronnej. Celem jest natomiast wsparcie Agencji ds. Innowacji w dziedzinie Obronności w refleksji nad przyszłymi technologiami i ich wpływem na strategię”, wyjaśniał Tertrais w wywiadzie dla portalu 20 minutes.

Literaci specjalizujący się w fantastyce naukowej mogą nie tylko przynieść niemałe korzyści samej armii, lecz także w ogóle przysłużyć zwiększaniu bezpieczeństwa narodowego całego kraju. W jaki sposób? Dzięki temu co potrafią robić najlepiej: kreśleniu możliwych scenariuszy rozwoju wydarzeń, przewidywaniu potencjalnych zagrożeń oraz inspirowaniu pracy nad kolejnymi, rewolucyjnymi technologiami. Najwyraźniej rzeczywistość, w której żyjemy, jest bardziej fantastyczna, niż nam się wydaje. ■

GORODENKOFF / SHUTTERSTOCK

E. DEBEBE / UN



RŚA

W AFRYCE WRZE

Kruchy pokój w zniszczonym kraju pod znakiem zapytania.

Niedaleko miasta Birao, w północnej części Republiki Środkowoafrykańskiej (RŚA), doszło we wrześniu 2019 roku do starć między Ludowym Frontem Odrodzenia Afryki Środkowej (Front populaire pour la renaissance de la Centrafrique – FPRC) oraz Ruchem Wyzwolicielei Afryki Środkowej na rzecz Sprawiedliwości (Le Mouvement des libérateurs centrafricains pour la justice – MLCJ).

„W ciągu dwóch tygodni wiele rodzin uciekło ze swych domów, szukając schronienia. W rejonie doszło do podpalen i grabieży”, informowała Denise Brown, specjalny wysłannik ONZ w Republice Środkowoafrykańskiej. Jak się ocenia, z regionu ogarniętego walkami uciekło już ponad **13 tys. osób**. Doniesienia na podstawie raportów żołnierzy pokojowej misji ONZ w Republice Środkowoafrykańskiej (MINUSCA) mówią o tym, że w walkach zginęło 38 osób. Oba walczące ugrupowania były stronami podpisanego w lutym 2019 roku zawieszenia broni. Rząd RŚA zawarł wówczas porozumienie z dowódcami 14 lokalnych grup zbrojnych. RS ■

PAKISTAN

Islamabad zamierza zawrzeć z Egiptem kontrakt na zakup 36 samolotów Mirage 5. Maszyny, wycofane ze służby w lotnictwie egipskim, mają zostać zmodernizowane do standardu Rose (taki mają inne samoloty Mirage pozostające w wyposażeniu pakistańskiego lotnictwa).



SERBIA

Jako pierwsze państwo w Europie zamierza kupić od Chińczyków uderzeniowe samoloty bezzałogowe. Kontrakt zawarty z chińską firmą Chengdu Aircraft Industry Group dotyczy dostaw dziewięciu dronów uderzeniowych Pterodactyl 1 z możliwością dokupienia kolejnych 15.

WŁOCHY

Trzeci partner

Włosi będą budować z Brytyjczykami myśliwiec szóstej generacji.

Podpisano dokumenty inaugurujące współpracę między rządami Włoch i Wielkiej Brytanii w sprawie programu „Tempest”. Stronę włoską reprezentował Nicolò Falsaperna, sekretarz generalny obrony narodowej Włoch, a brytyjską – Simon Bollom, szef agencji Defense Equipment & Support. Nawiązanie między tymi krajami kooperacji jest zupełnie naturalne w kontekście pięćdziesięcioletnich doświadczeń współpracy przy programach dotyczących myśliwców Panavia Tornado oraz Eurofighter. Włochy są trzecim – obok Szwecji – zagranicznym partnerem, który dołączył do ambitnego brytyjskiego planu, jakim jest opracowanie i wprowadzenie do służby samolotu myśliwskiego szóstej generacji. Realizację programu „Tempest” brytyjski minister obrony Gavin Williamson zapowiedział latem 2018 roku. Brytyjczycy przewidują, że w kolejnych latach do programu mogą dołączyć rządy innych państw, mówi się np. o Indiach oraz Japonii. Plany zakładają, że myśliwiec wejdzie do użytku w 2035 roku. SEND ■

DANIA

Kilka frontów

Duńczycy w Syrii, Sahelu i Cieśninie Ormuz

Władze duńskie zapowiedziały, że wyślą wojskowe wsparcie dla sił międzynarodowych, zaangażowanych w kilku miejscach na świecie. Mowa o pomocy dla koalicji przeciwko Państwu Islamskiemu w północno-wschodniej Syrii, misji pokojowej ONZ w Mali, francu-

skiej operacji w Sahelu oraz o zwiększeniu duńskiego wkładu w inicjatywy podejmowane przez NATO. W planach tych uwzględniono również możliwość wsparcia europejskich



inicjatyw w rejonie Zatoki Perskiej. Do północno-wschodniej Syrii na tereny kontrolowane przez Syryjskie Siły Demokratyczne Dania ma wysłać liczący 14 osób zespół medyczny, a do zachodniej Afryki – śmigłowce oraz około 70 żołnierzy. Wojska francuskie w porozumieniu z krajami Sahelu prowadzą tam operację „Barchan”, wymierzoną przeciw-

MARKUS RAUCHENBERGER / US ARMY



ILE JEST WARTO BEZPIECZEŃSTWO?

Raport austriackiego ministerstwa obrony zaleca inwestycje.

Wojsku widoczne są lata zaniedbań – taki wniosek płynie z raportu austriackiego resortu obrony. Jego autorzy zwracają uwagę na wyzwania związane m.in. z nowymi zagrożeniami i twierdzą, że tamtejsza armia austriacka nie jest do nich dobrze przygotowywana. Dlatego w dokumencie sformułowano zalecenia dotyczące zwiększenia w przyszłym

roku budżetu na obronność z 2,2 do 3,1 mld euro oraz stopniowego wzrostu finansowania armii do poziomu 1% PKB w 2030 roku. Poruszono również kwestie zmian strukturalnych oraz rozbudowy infrastruktury.

Thomas Starlinger, szef austriackiego ministerstwa obrony, podsumował raport słowami: „W ostat-

nich dziesięcioleciach możliwości naszej armii zostały poważnie ograniczone z powodu braku inwestycji.

Dlatego żołnierze w razie zagrożenia mogliby zapewnić obronę ludności w bardzo ograniczonym stopniu. Cała Austria musi zatem zadać sobie

pytanie: ile jest warte nasze bezpieczeństwo?”. ROB



ko działającym w regionie grupom islamistycznym i terrorystycznym. Z kolei samolot transportowy C-130 J wraz z 65 osobami personelu zostanie skierowany do Mali jako wsparcie dla działającej w tym kraju misji stabilizacyjnej ONZ (MINUSMA). Zapowiedź udziału w misji morskiej w Cieśninie Ormuz jest natomiast odpowiedzią na brytyjski apel o zwiększenie europejskiej obecności w rejonie Zatoki Perskiej.

„Musimy być obecni w zapalnych punktach na

świecie, tam gdzie w grę wchodzi interesy Danii”, mówił Jeppe Kofod, szef duńskiego ministerstwa spraw zagranicznych. „Musimy to zrobić również przy zastosowaniu środków wojskowych, mając na uwadze politykę zagraniczną i związaną z bezpieczeństwem. Angażujemy się na kilku frontach, aby zapewnić bezpieczeństwo, stabilność i – w perspektywie długoterminowej – lepszy rozwój krajów w najbliższym sąsiedztwie Europy”. ROB

AFGANISTAN

Groźby Al-Kaidy

Al-Zawahiri wezwał bojowników do kolejnych ataków.

Przywódca Al-Kaidy, w nagraniu opublikowanym w 18. rocznicę zamachów z 11 września wezwał do kontynuowania dżihadu i ataków na obiekty w Stanach Zjednoczonych, Rosji, Europie i Izraelu. Ajman al-Zawahiri zaapelował też do Palestyńczyków, aby w reak-

cji na uznanie przez USA izraelskiego zwierzchnictwa nad Wzgórzami Golan (w marcu 2019 roku) „szukali męczeństwa” w atakach na Izrael. Potępił również odstępców, którzy zrezygnowali ze świętej wojny i skrytykował tych, którzy nie chcą atakować obiektów cywilnych. SR

HISTORIA

/ XX WIEK

SPLECIONE LOS

**Jak zegarek oficera zamordowanego
na północy Rosji został
odnaleziony na Ukrainie?**

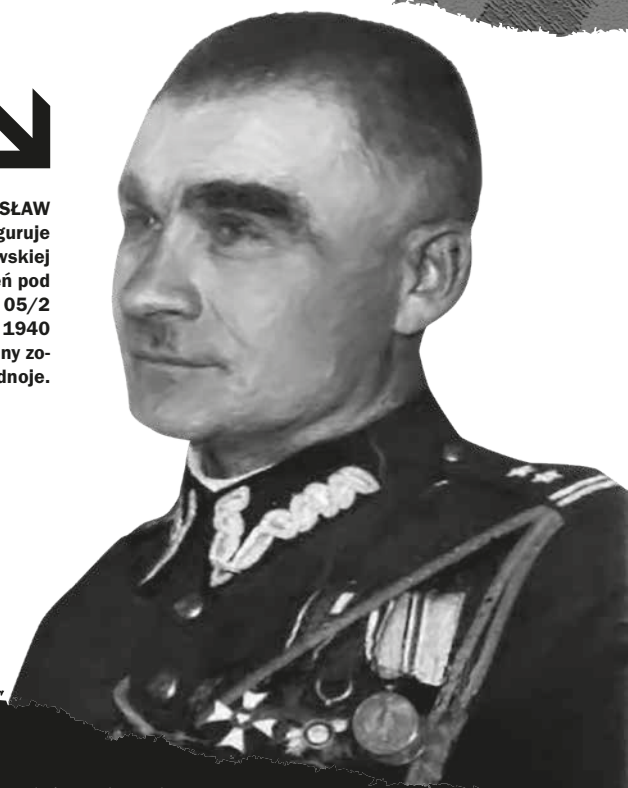
MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Medaliony,
orzelki z rogatywek,
krzyże walecznych, ryngra-
fy, guziki od mundurów, nie-
śmiertelniki, a także przedmioty
codziennego użytku: okulary, me-
nażki, scyzoryki, grzebień.
Łącznie kilka tysięcy różnych
eksponatów w kolekcji Mu-
zeum Katyńskiego.





Płk **STANISŁAW SITEK** figuruje na ostaszkowskiej liście straceń pod numerem 05/2 z 5 kwietnia 1940 roku. Pochowany został w Miednoje.



L

eż podświetlone w wysokich, szklanych gablotach.

Dobrze je widać w półmroku panującym na dolnej kondygnacji Muzeum Katyńskiego. Medaliony, orzelki z rogatywek, krzyże walecznych, ryngrafy, guziki od mundurów, nieśmiertelniki, a także przedmioty codziennego użytku: okulary, klucze, menażki, szczyrówki, grzebień. Łącznie kilka tysięcy różnych eksponatów. Są wśród nich dwa szczególne przedmioty: zegarek z czternastokaratowego złota i srebrna odznaka z przedwojennym symbolem Żandarmerii, wykopane razem z wieloma innymi rzeczami osobistymi z dołów śmierci podczas ekshumacji szczątków polskich oficerów i policjantów zamordowanych w sowieckich obozach w Katyniu, Charkowie, Starobielsku i Ostaszkowie. Zegarek należał do płk. Stanisława Sitka, komendanta Centrum Wyszolenia Żandarmerii w Grudziądzu, a odznaka do płk. Stanisława Kuciela, dowódcy 3 Dywizjonu Żandarmerii w Grodnie. Te dwa drobne przedmioty są świadectwem nie tylko tragicznej historii Polski, lecz także życiorysów ich właścicieli, powiązanych ze sobą przez służbę w Żandarmerii. „Dlatego umieściłem je obok siebie”, mówi Kacper Ciesielski, opiekun zbiorów w Muzeum Katyńskim.

Złoty zegarek płk. Sitka, o wymiarach 51 na 65 mm, przeleżał trzy lata w muzealnej gablocie, zanim na początku 2018 roku „odkrył” go Kacper Ciesielski. Opisował on wówczas przedmioty, które trafiły na ekspozycję w 2015 roku, gdy Muzeum Katyńskie zostało otwarte. Pewnego dnia wyjął z gabloty kilkanaście eksponatów. Przytnął je na biurko, każdy dokładnie oglądał, opi-

sywał i nadawał mu numer. Gdy podniósł klapkę zegarka, zobaczył wygrawerowany napis. Dedykacja była czytelna: „Kochanemu D-cy ppor. Stanisławowi Sitkowi. W dniu imienin wdzięczni żandarmi, Bobrujsk 8.V.1920 r.”. Mimo że wskazówki zegarka pozostają nieruchome, jego mechanizm wydaje się sprawny. „Podobne zegarki z lat przedwojennych wyprodukowane przez szwajcarską firmę Audemars Freres, które nie są uszkodzone, kosztują od kilkunastu do kilkuset tysięcy złotych”, dodaje Kacper Ciesielski. Nadał mu numer inwentarzowy MK 636 CH i zaczął szukać informacji na temat właściciela.

PODOBNE LOSY

Byli niemal rówieśnikami. Stanisław Sitek urodził się w 1890 roku w Warszawie. Stanisław Kuciel rok później, w obwodzie lwowskim. Obaj zdobyli średnie wykształcenie (Sitek skończył szkołę średnią o profilu technicznym i został technikiem kolejowym), całe życie byli związani z Żandarmerią i zostali zamordowani w sowieckich obozach.

Stanisław Sitek miał 15 lat, gdy związał się z Polską Partią Socjalistyczną. Podczas rewolucji 1905 roku jako członek Organizacji Bojowej PPS brał udział w zamachach na carskich policjantów i urzędników, m.in. na gen. Gieorgija Skafona, gubernatora w Warszawie. Poszukiwany przez policję, opuścił ziemie zaboru rosyjskiego. Mieszkał w Krakowie i we Lwowie,

BYLI NIEMAL RÓWIEŚNIKAMI. OBAJ ZDOBYLI ŚREDNIE WYKSZTAŁCENIE. CAŁE ŻYCIE ZWIĄZANI Z ŻANDARMERIA, ZOSTALI **ZAMORDOWANI W SOWIEC- KICH OBOZACH**



MUZEUM KATYŃSKIE



Płk STANISŁAW KUCIEL na liście jeńców wojennych obozu w Starobielsku figuruje pod numerem 1380. W Charkowie pochowany jest w grobie „6, 7./94”.

gdzie kontynuował działalność na rzecz wolnej Polski, przystąpił do Związku Walki Czynnej i został członkiem jednego z plutonów.

W 1910 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Nie wiadomo, co go skłoniło do tego kroku, można się tylko domyślać, że powodem była prawdopodobnie obawa przed aresztowaniem. Za oceanem Sitek został członkiem Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich Oddział „Praca”, a w 1913 roku członkiem Komitetu Obrony Narodowej w Chicago. Na początku 1915 roku z grupą ochotników wrócił do Europy i dotarł do Galicji, gdzie w stopniu szeregowego wstąpił do Legionów Polskich. Szybko awansował na podoficera. W 1917 roku został przeniesiony z 1 Pułku Piechoty do Żandarmerii Wojskowej. Rok później został podporucznikiem Wojska Polskiego.

DROGI PREZENT

W kolejnych latach ppor. Stanisław Sitek pełnił funkcję powiatowego oficera Żandarmerii w Ostrowie, Łomży, Warszawie, Sokółce i Bobrujsku. I właśnie w tej ostatniej miejscowości, położonej 130 km na południowy wschód od Mińska, zaczyna się historia zegarka. 8 maja 1920 roku,

w dniu imienin, podwładni wręczyli mu ten bardzo drogi prezent. „Dedykacja na zegarku jest jednym z unikatowych napisów na przedmiotach grobowych w zbiorach Muzeum Katyńskiego”, podkreśla Kacper Ciesielski. Tylko kilkaset przedmiotów wydobytych z dołów śmierci podczas ekshumacji szczątków polskich oficerów i policjantów zamordowanych w sowieckich obozach na Wschodzie ma jakiś numer czy inskrypcję, które pozwalają na przypisanie ich do właściciela.

Sitek był lubiany przez podwładnych, doceniali go także przełożeni. W 1923 roku na rozkaz ministra spraw wojskowych został odznaczony Krzyżem Walecznych, rok później uzyskał stopień majora, a w 1928 roku dostał Złoty Krzyż Zasługi. „Kariera wojskowa Stanisława Sitka przebiegała podobnie jak Stanisława Kuciela. Obaj służyli w Legionach Polskich, a potem w Żandarmerii Wojskowej”, zwraca uwagę Kacper Ciesielski. Po wojnie 1920 roku, gdy budowano struktury polskiego państwa, obaj byli przerzucani z jednej miejscowości do drugiej. Musieli dobrze pełnić służbę, skoro polecano im organizowanie nowych placówek.

Kilka razy przecięły się ich zawodowe ścieżki. W 1918 roku ppor. Sitek był w Łomży szefem dowództwa powiato-



8 MAJA 1920 ROKU POD- WŁADNI WRĘCZYLI ZEGAREK PPŁK. SITKOWI JAKO PRE- ZENT IMIENINOWY

MICHAŁ NIWICZ



Historię ppłk. Stanisława Kuciela i znalezionej w Charkowie srebrnej odznaki Żandarmerii opisaliśmy w numerze 4/2019 „Polski Zbrojnej”.

wego Żandarmerii. Jego przełożonym, który sprawował obowiązki dowódcy Żandarmerii Okręgu Wojskowego nr XIII, był ppor. Stanisław Kuciel. Być może spotkali się na początku lat dwudziestych, gdy podporucznik był już majorem i komendantem Kadry Szwadronu Zapasowego 8 Dywizjonu Żandarmerii w Grudziądzu, a Sitek, też w stopniu majora, słuchaczem IV kursu oficerów młodszych w Centralnej Szkole Żandarmerii w Grudziądzu. Na pewno natomiast mieli ze sobą kontakt pod koniec lat dwudziestych w Grodnie, gdzie Sitek pełnił służbę jako dowódca 3 Dywizjonu Żandarmerii. Na początku 1930 roku na tym stanowisku zastąpił go bowiem Kuciel. „Od Wojciecha Kuciela, syna Stanisława, wiemy, że panowie się przyjaźnili i Sitek bywał gościem w ich domu”, dodaje Kacper Ciesielski.

W styczniu 1930 roku w Grudziądzu utworzono Centrum Wyszczolenia Żandarmerii dla przyszłych oficerów policji państwowej, wojskowej i granicznej. Komendantem został mjr Stanisław Sitek i pełnił tę funkcję do sierpnia 1939 roku (po drodze awansował na podpułkownika). Centrum pod jego dowództwem było świetnie działającym ośrodkiem szkoleniowym.

TAJEMNICA ZEGARKA

Nie znamy wojennych losów ppłk. Stanisława Sitka. Pod koniec września 1939 roku gen. bryg. Franciszek Kleeberg przeorganizował podległe mu oddziały w Samodzielną Grupę Operacyjną „Polesie”. Sitek miał w niej zostać szefem Żandarmerii. Nie wiemy jednak, czy te rozkazy zostały wykonane. Wiadomo natomiast, że pod koniec września trafił do sowieckiej niewoli. Najpierw był więźniem w Starobielsku, potem

w Ostaszkowie. „Dzięki dokumentacji opracowanej przez rosyjskie stowarzyszenie »Memoriał« wiemy, że były takie transporty. W obozie w Ostaszkowie prowadzono dokładniejsze śledztwa, więc trafiali tam oficerowie”, mówi Kacper Ciesielski.

W kwietniu 1940 roku Sitek został przewieziony do Tweru (ówczesny Kalinin) i tam zamordowany przez NKWD. Miał 50 lat. Jego ciało, podobnie jak ponad 6 tys. jeńców wojennych, przewieziono do odległego o kilkanaście kilometrów lasu pod wsią Miednoje. Dziś znajduje się tam polski cmentarz wojenny, na którym spoczywają głównie policjanci, strażnicy graniczni, żandarmi i funkcjonariusze innych formacji mundurowych.

Na liście jeńców wojennych obozu w Starobielsku ppłk Stanisław Kuciel figuruje pod numerem 1380. W Charkowie podczas prac ekshumacyjnych znaleziono kartkę z jego nazwiskiem zawiniętą w rosyjską gazetę. Pochowany jest w grobie „6, 7./94”. Należącą do niego odznakę Żandarmerii archeolodzy wydobyli z jednego z dołów śmierci podczas prac ekshumacyjnych w 1995 roku.

Nazwisko ppłk. Stanisława Sitka figuruje natomiast na ostaszkowskiej liście straceń pod numerem 05/2 z 5 kwietnia 1940 roku. Pochowany został w Miednoje, a należący do niego zegarek odnaleziono w grobie numer 15 w Charkowie. „Jak to możliwe, że zegarek oficera zamordowanego na północy Rosji został odnaleziony na Ukrainie?”, zastanawia się Kacper Ciesielski. Jak przewędrował blisko tysiąc kilometrów? Może pułkownik komuś go podarował albo użył jako waluty w obozie? Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. ■

Boksowanie Luftwaffe

ARCH. BARTŁOMIEJA BALICKIEGO



HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Kazimierz Rzeźniczak był wywiadowcą Armii Krajowej, także po wywiezieniu do przymusowej pracy w zakładach lotniczych w Eisenach

*„Pojedynek z Czechem
Blachosławem, Eisenach 1944”* – taką
informację zapisano stolarskim ołówkiem na odwrocie tego
zniszczonego zdjęcia wielkości znaczka pocztowego.

Eisenach leży na terenie Turyn-
gii, a w czasie wojny w tam-
tejszych lasach mieściła się
jedna z największych fabryk
montujących i remontujących silniki
lotnicze Focke-Wulfa. Niemcy zwozili
tam do pracy więźniów i robotników
przymusowych z całej okupowanej Eu-
ropy. Widoczni na zdjęciu bokserzy
i przyglądający się ich pojedynkowi lu-
dzie to właśnie przymusowi pracowni-
cy fabryki w Eisenach. Zawodnik

pierwszy z prawej zgodnie z podpisem
nazywa się Blachosław. Z kolei jego
przeciwnikiem jest właściciel zdjęcia –
Kazimierz Rzeźniczak ze Zgierza. Ten
młody żołnierz AK trafił do Eisenach
po tym, jak przypadkowo aresztowano
go w czasie jednej z łapanek na zgier-
skiej ulicy. Na szczęście dla siebie nie
został rozpoznany jako konspirator, ale
jednocześnie okazało się to katastrofą
dla zakładów w Eisenach. Mianowicie
Rzeźniczak nie zaprzestał tam swojej

działalności podziemnej. Remontując
silniki do myśliwców, niejeden z nich
uczynił zupełnie niezdadnym do użyt-
ku. Ale najważniejsze okazało się to,
że utrzymał swoje konspiracyjne kon-
takty w kraju. W listach do kuzyna, ofi-
cera AK w Łodzi, udało mu się prze-
mycić informacje o istnieniu i położe-
niu fabryki, o której alianci nie mieli
pojęcia. Od połowy 1944 roku zakłady
Focke-Wulfa nie mogły już być trakto-
wane jako bezpieczne... PK ■

Toczyłem swoją prywatną wojnę

Z Kazimierzem Rzeźniczakiem o służbie w Armii Krajowej, pracy w niemieckich fabrykach i o sabotażu rozmawia Piotr Korczyński.

Jak wyglądało pańskie dzieciństwo w przedwojennej Polsce?

Urodziłem się w Leśmierzu w 1924 roku i tam przez dwa lata chodziłem do szkoły. W 1932 roku z rodzicami przeprowadziłem się do Zgierza, gdzie kontynuowałem naukę, ale szkołę podstawową ukończyłem w Ślaskowie Górnym. W tej miejscowości mój dziadek Józef Leszczyński miał duże gospodarstwo, w którym zamieszkałem, by pomagać mu w pracy. Miałem czworo rodzeństwa, a mój ojciec miał jeszcze trójkę dzieci z pierwszego małżeństwa, razem więc była nas ósemka. Ojciec, z zawodu stolarz i zdun, pracował w cukrowni. Grał też w słynnej na całą okolicę orkiestrze strażyackiej.

W 1939 roku dla Polaków zaczęła się nowa, dramatyczna rzeczywistość okupacyjna. Jak pan się w niej odnalazł?

W Zgierzu i okolicach zaczęło się od tego, że Niemcy wysiedlili co bogatszych Polaków z ich gospodarstw. Spotkało to również mojego dziadka. Okupanci wzięli mnie za jednego z jego służących, dzięki temu jeszcze przez rok pracowałem u Niemca o nazwisku Petrych, który przejął majątek dziadka. Niestety, zwolnił mnie za kradzież 10 kg grochu. Na początku wojny zmarł mój ojciec i ja w wieku 17 lat musiałem utrzymać nie

tylko siebie, ale też mamę. Ten groch chciałem dać mamie, żeby choć trochę jej ulżyć, bo cierpieliśmy wtedy potworny głód. Nie udało się jednak, zakapował mnie jeden z parobków – Polak, który pracował jeszcze u dziadka i mnie znał. Po wyrzuceniu z pracy tułałem się i najmowałem do różnych prac u Niemców. Kiedy byłem u jednego w Giecznie, zakwalifikowano mnie rzekomo na kurs traktorzystów. Szybko się okazało, że pod tym szyldem kryła się wywózka na roboty.

Został pan zesłany na roboty?

W tłumie kilkuset ludzi trafiłem do Łęczycy, a stamtąd pociągiem przetransportowano nas do Radogoszczy i zamknięto w więzieniu. Tam „umilano” nam czas „ćwiczeniami gimnastycznymi”. Kazano wziąć cegłę w rękę i skakać żabką na dziedzińcu więziennym. Starsi szybko padali z osłabienia, a ćwiczenia trwały dotąd, aż ostatni z więźniów nie opadł z sił. Po pewnym czasie z tego więzienia trafiłem do innego, także w Radog

goszczy, jednak tam już nie doświadczałem szykan. Zakwalifikowano mnie do budownictwa i jako pomocnika murarza wywieziono do Łodzi. Na budowie dźwigałem na nosilkach cegły, ale nie trwało to długo. Któregoś dnia przyjechał gestapowiec Dannenberg. On wybierał robotników do fabryki silników samolotowych na ulicy Kątnej w Łodzi. Zakład



Latem 1944 roku trafiłem do zakładów BMW w Eisenach. Nas, pracowników z Łodzi, zamknięto w przyfabrycznym łagrze, w którym przetrzymywano około 17 tys. ludzi z całej Europy, pracujących przymusowo w tychże zakładach. Tam były straszne warunki, które można streścić w trzech słowach: głód, zimno i robactwo.

WIZYTÓWKA

**KAZIMIERZ
RZEŹNICZAK „LIS”**

Żołnierz łódzkiej Armii Krajowej, przeprowadzał akcje sabotażowe w niemieckich fabrykach w Łodzi i Eisenach produkujących silniki do samolotów.



Jak wspomina Kazimierz Rzeźniczak „Lis” (na zdjęciu pierwszy z prawej strony), zaprzysiężenie w AK było dla niego wielkim przeżyciem.

W ŁÓDZKIEJ FABRYCE, W KTÓREJ PRACOWAŁEM, PEŁNIŁEM FUNKCJĘ WYWIADOWCY. DZIĘKI MNIE KILKA TRANSPORTÓW Z SILNIKAMI NIE DOTARŁO DO CELU

należał do koncernu BMW i produkowano w nim napędy do myśliwca Focke-Wulf, a częściowo i do messerschmitta. Dannenberg na budowie wybrał tylko mnie, bo byłem najmłodszy i najsilniejszy. Muszę przyznać, że warunki w fabryce, w porównaniu z wcześniejszymi miejscami, były dobre. Przede wszystkim pracowałem w cieple i pod dachem. Dniówka wynosiła 12 godzin, a norma produkcyjna – 70 silników miesięcznie.

Do konspiracji przystąpił pan jeszcze w Zgierzu. Gdy stał się pan robotnikiem w niemieckiej fabryce, pozostał jednocześnie polskim żołnierzem. Jak to możliwe?

Przede wszystkim nie przebywałem w fabryce całą dobę. Po dniu po prostu szedłem do domu, co pozwoliło mi nie tylko zachować kontakty konspiracyjne, lecz także nadal działać w miejscowej Armii Krajowej. Pamiętam, jakim przeżyciem było dla mnie zaprzysiężenie, które odbyło się w mieszkaniu mojej mamy na ul. Zawadzkiej. W pięciu przysięgaliśmy na krzyż, który do dzisiaj wisi w moim domu. Po przysiędze każdy z nas dostał pseudonim. Ja zostałem „Lisem”.

Czy brał pan udział w jakichś akcjach?

W łódzkiej fabryce, w której pracowałem, pełniłem przede wszystkim funkcję wywiadowcy. Miałem tę satysfakcję, że dzięki mnie kilka transportów z silnikami samolotowymi nie dotarło do celu. Nasze oddziały organizowały akcje dywersyjne na torach, m.in. chodziło o pociągi wiozące ładunek z mojej fabryki. W pamięci utkwiła mi zwłaszcza jedna, z 1943 roku, w której na zgierskiej linii wykołono skład z kilkudziesięcioma silnikami samolotowymi. To była moja robota w tym sensie, że przekazałem do dowództwa informację o transporcie. Po kilku podobnych akcjach Niemcy wzmocnili ochronę mostów i wiaduktów w okolicy. Zaczęli węszyć też w fabryce i znalazłem się w kręgu podejrzanych. Którejś nocy załomotało w moje drzwi dwóch żandarmów i zabrało mnie na posterunek. Do dziś pamiętam smród uryny w celi aresztu. Więźniowie sikali z nerwów. Ja też miałem ten sam problem, więc za pierwszym razem przycisnąłem dzwonek, który wzywał dyżurnego do celi. W efekcie, gdy otworzono drzwi, otrzymałem od żandarma dwa ciosy w twarz. Więcej już nie dzwoniłem... Nad ranem wzięli mnie na przesłuchanie. Już na wstępie gestapowiec zapytał mnie o pseudonim. Odpowiedziałem pytaniem: „A co to jest pseudonim?”. Śledczy jednak nie dał się zwieść i ostrzegł, żebym nie udawał głupka. Widocznie nie byli jednak do końca przekonani o mojej winie, bo mnie nie bili. W pewnej chwili gestapowiec zadzwonił do mojego zakładu. Po



PRZY BRAMIE OBO- ZU STAŁA SZUBIENI- CA, NA KTÓREJ WIE- SZANO BEZ WYROKU WIĘŹNIÓW PODEJ- RZANYCH O JAKIKOL- WIEK SABOTAŻ CZY DYWERSJĘ NA TERE- NIE ZAKŁADU

rozmowie zapytał mnie, czy znam syna właściciela mojej kamienicy – Staszka Kołodziejewskiego. Nie mogłem zaprzeczyć, ale nic więcej na jego temat nie powiedziałem. Zresztą zaskoczyło mnie wtedy to pytanie, bo Staszek nie był zaprzysiężony w AK. A może był? Ale ja nic o tym nie wiedziałem. To też świadczyło o trafności konspiracyjnej zasady, że do końca nikt z nas nie znał całej struktury, by w razie wyspy straty objęty jak najmniejszy krąg ludzi. W końcu, po naradzie, gestapowcy mnie zwolnili. Pamiętam to zbawcze zdanie śledczego do dziś: „Wracasz do pracy!”. Kiedy przyszedłem do fabryki, mój niemiecki brygadziśta, którego uważałem za porządnego człowieka, powiedział mi, że był telefon w mojej sprawie z gestapo i od razu zapytał: „Nie pobili cię?”. Odpowiedziałem, że nie, że tylko od żandarma dostałem dwa razy w głowę. Zapytał za co. Kiedy mu odpowiedziałem, że złością nazwał tego żandarma s...synem.

Do kiedy pracował pan w fabryce?

Kiedy Sowietci latem 1944 roku podeszli pod Warszawę, a w samym mieście w sierpniu wybuchło powstanie, naszą fabrykę ewakuowano do Niemiec. Tak trafiłem do macierzystych zakładów BMW w Eisenach. Nas, pracowników z Łodzi, zamknięto w przyfabrycznym lagrze, w którym przetrzymywano około 17 tys. ludzi z całej Europy, pracujących przymusowo w tychże zakładach. Tam były straszne warunki, które można streścić w trzech słowach: głód, zimno i robactwo. W Eisenach pracowałem w brygadzie remontowej, jako mechanik reperowałem silniki przywożone z frontu. Niemiec brygadziści nie mieli do mnie zastrzeżeń, ale ja prowadziłem swoją prywatną sabotażową wojnę. Kiedy Niemcy szli na przerwę obiadową, wyciągałem z kieszeni kawałek przewodu paliwowego i przez niego wsypywałem do pozostawionych przez nich silników opiłki metalu. Wystarczyło wrzucić ich do cylindra dosłownie deko i silnik się zacierał. To było bardzo niebezpieczne działanie, ale podejrzenie o złą pracę padło na jednego z Niemców z brygady. Karnie wysłano go na front wschodni, gdzie zginął po dwóch tygodniach.

Miał pan z tego powodu wyrzuty sumienia?

Nie, gdyż większość niemieckiej załogi bardzo źle traktowała Polaków i innych, jak oni mówili, „podludzi” zatrudnionych w fabryce. Ja wspominam dobrze tylko jednego – starszego człowieka, który odnosił się do nas w miarę po ludzku. Reszta była zadżumiona nazistowską propagandą i traktowaliśmy tych ludzi jako wrogów. Przy bramie naszego obozu stała szubienica, na której wieszano bez wyroku więźniów podejrzanych o jakikolwiek sabotaż czy dywersję na terenie zakładu. Ciało skazańca wisało dla postrachu kilka dni, by idącym

do pracy i z niej wracającym dać do myślenia. Pamiętam, że jeden z Polaków został powieszony tylko za to, że w czasie powrotu z pracy wyrwał na polu kilka krzaków ziemniaków...

A jak wyglądał tam koniec wojny?

Nas wiosną 1945 roku wyzwolili Amerykanie. Zakłady w Eisenach były bardzo dobrze zamaskowane na wypadek nalotów. Hale produkcyjne schowano pod ziemią, a na ich żelbetonowych dachach posadzono drzewa, więc z góry bardzo trudno było zauważyć, że w tym miejscu jest kompleks przemysłowy. Tutaj pewną rolę odegrało to, że byłem w AK i mimo wywózki nadal miałem kontakt z konspiracją w kraju. W swych listach do mojego przyszłego szwagra, który był oficerem AK, starałem się zasygnalizować, gdzie się znajduję. Efekt był taki, że zaczęły się naloty na zakłady. Niemcy przeżyli szok, bo dotychczas bardzo długo alianckie lotnictwo omijało Eisenach. Pamiętam, że w czasie jednego z takich nalotów rozegrała się walka powietrzna między niemieckimi a angielskimi lotnikami. Niemcy zestrzelili kilka samolotów, z których wyskoczyły na spadochronach ich załogi, m.in. Polak. Kiedy wylądował, rzucili się na niego miejscowi chłopci z widłami. On jednak powstrzymał ich groźbą strzelania z pistoletu i doczekał do chwili, kiedy do niewoli wzięli go żandarmi. Za obozem szybko wyrósł cmentarz alianckich pilotów, którzy zginęli zestrzeleni przez artylerię przeciwlotniczą lub myśliwce. Leżeli tam przedstawiciele wszystkich narodów sprzymierzonych.

Kiedy żołnierze amerykańscy darowali nam wolność, do nas, Polaków, dotarła wiadomość, że niedaleko stacjonuje polska 1 Dywizja Pancerna. Pewnego dnia przyjechał oficer dywizji i na wiecu zapytał: „Panowie, kto się czuje prawdziwym Polakiem?”. Podniosłem rękę i powiedziałem mu, że należę do AK. Zebrało się sporo takich podobnych do mnie chłopaków i zakwaterowano nas w koszarach wojskowych. W czerwcu 1945 roku spotkał się z nami gen. Stanisław Maczek. Swoje przemówienie zakończył informacją, że mamy do wyboru: albo wstąpić do dywizji, albo wracać do Polski i nikt z tego powodu nie będzie szykanowany. Ja wtedy wymyśliłem, jak mi się wydawało, salomonowe rozwiązanie. Postanowiłem, że pojedę na chwilę do kraju, by zobaczyć, co dzieje się z mamą, a potem wrócę w szeregi pancerniaków. Tym bardziej że mój brat, który także trafił do Niemiec, zmarł w jednym z obozów. Niemcy oskarżyli go o sabotaż po tym, jak znaleźli kawałek drewna w betoniarce, i najzwyczajniej wykończyli. Do domu przyszło oficjalne pismo, że zmarł na tyfus, ale to nie była prawda. Kiedy wróciłem do Polski, to oczywiście nie mogłem już wyjechać z powrotem czy nawet przyznać się, że służyłem u gen. Maczka. ■

SZTURM NA RUDEGO

Niewiele brakowało, żeby czołgiści z Poznania zostali zmuszeni do walki z uzbrojonymi po zęby mieszkańcami wioski w Bieszczadach. Przyczyna? Jeden czołg i jedna kapliczka.

PIOTR KORCZYŃSKI

W jedną noc, z 2 na 3 sierpnia 1975 roku mieszkańcy bieszczadzkiej wsi Nowosiółki postawili drewnianą kaplicę. Na przekór władzom, które zabraniały miejscowemu księdzu wybudowania w tej miejscowości kościoła. Już następnego dnia odprawiono w niej mszę, ale po jej zakończeniu gruchnęła wieść, że do wsi zbliża się... czołg! Górale doszli do wniosku, że komuniści chcą zniszczyć ich nielegalny kościół. Wieś zaczęła szykować się do obrony.

UWAGA! CZOŁG

Faktycznie w okolicy pojawił się T-34, ale nie po to, by burzyć kościół w Nowosiółkach. Maszyna przyjechała aż z Poznania – z Wyższej Szkoły Wojsk Pancernych, jako dar dla Baligrodu. A dokładnie mówiąc, miał on zamienić stojący na baligrodzkim rynku czołg lekki T-70, który był cennym eksponatem dla istniejącego na terenie WSWP Muzeum Broni Pancernej. Uradzono więc, że tankietkę zamieni „Rudy” – najsłynniejszy ówczesny czołg dzięki popularnemu serialowi „Czterej pancerni i pies”. Większość drogi przejechał transportem kolejowym. W Zagórzu przeładowano go na lawetę wojskowej ciężarówki i nią miał być dostarczony do Baligrodu. Jednak konwój nie ujechał daleko. Ciężarówka z ciężkim ładunkiem stanęła przed mo-

stem w Huzelach. Pytani przez żołnierzy napotkani ludzie nie umieli odpowiedzieć, jaką nośność ma ich most spinający obydwie brzozy Sanu. Dopiero jeden z gospodarzy odpowiedział w miarę konkretnie: „Panowie, ciężarówka z przyczepą załadowaną drzewem to przejdzie, ale jak są dwie, to się już razem na most nie pchają”.

Po takiej odpowiedzi oficer dowodzący konwojem zdecydował, że nie będzie ryzykował i czołg przejedzie przez San samodzielnie. Na szczęście zapobiegliwi Wielkopolanie zadbali, by był to egzemplarz na chodzie i z pełnymi bakami. I właśnie w czasie przeprawy T-34 przez rzekę zobaczyło go kilku wracających z pracy w Lesku mieszkańców Nowosiółek. Czym prędzej zawiadomili resztę wsi, że czołg prawdopodobnie jedzie niszczyć ich nielegalną świątynię!

Jak wiadomo, w Bieszczadach wojna trwała znacznie dłużej i mieszkańcy nagromadzili

w swych domach sporo broni. Nie inaczej było w Nowosiółkach. Chłopi wyciągnęli spod strzech karabiny, granaty, a nawet erkaem. Wpadli też na pomysł, że zaminują dojazd do wsi, tak by czołg wyleciał w powietrze, zanim wjedzie między pierwsze zabudowania. Jak urządzili, tak postanowili zrobić, lecz na szczęście ktoś poszedł po rozum do głowy i zaproponował, żeby przed bitwą upewnić się, czy aby na pewno żołnierze mają rozkaz uderzenia na wieś.

BIMBER ZAMIAST KARABINU

Wysłana nad San delegacja dowiedziała się o prawdziwym celu, w jakim przywieziono „Rudego” w Bieszczady, choć nie bez trudności, bo dowódca przez chwilę zasłaniał się tajemnicą wojskową. Kiedy nieporozumienie zostało wyjaśnione, górale czym prędzej pochowali broń do schowków, a w zamian wyciągnęli akcesoria na zupełnie inną okazję – butelki z bimbrem i ugościli żołnierzy. Dzięki temu reszta drogi pancerniacy i saperzy przejechali w bardzo dobrych humorach, po czym już bez problemów ustawili czołg na baligrodzkim rynku, gdzie wciąż stoi.

Również kościół w Nowosiółkach cieszy ich mieszkańców do dziś, choć w tym wypadku nie obyło się bez problemów. Właściciel działki, na której stała „samowola budowlana”, musiał zapłacić wysoką grzywnę; kary finansowe ponieśli również księża i kilku budowniczych, ale kościół nikt nie ruszył. Zresztą cała okolica wiedziała, że Nowosiółki należą do wsi dobrze uzbrojonych. Jeszcze przez długie lata, kiedy wybuchał w niej pożar, strażacy z obawą jechali tam na akcję, bo istniało niebezpieczeństwo, że w ogniu będą wybuchać ukryta pod dachem amunicja albo granaty.

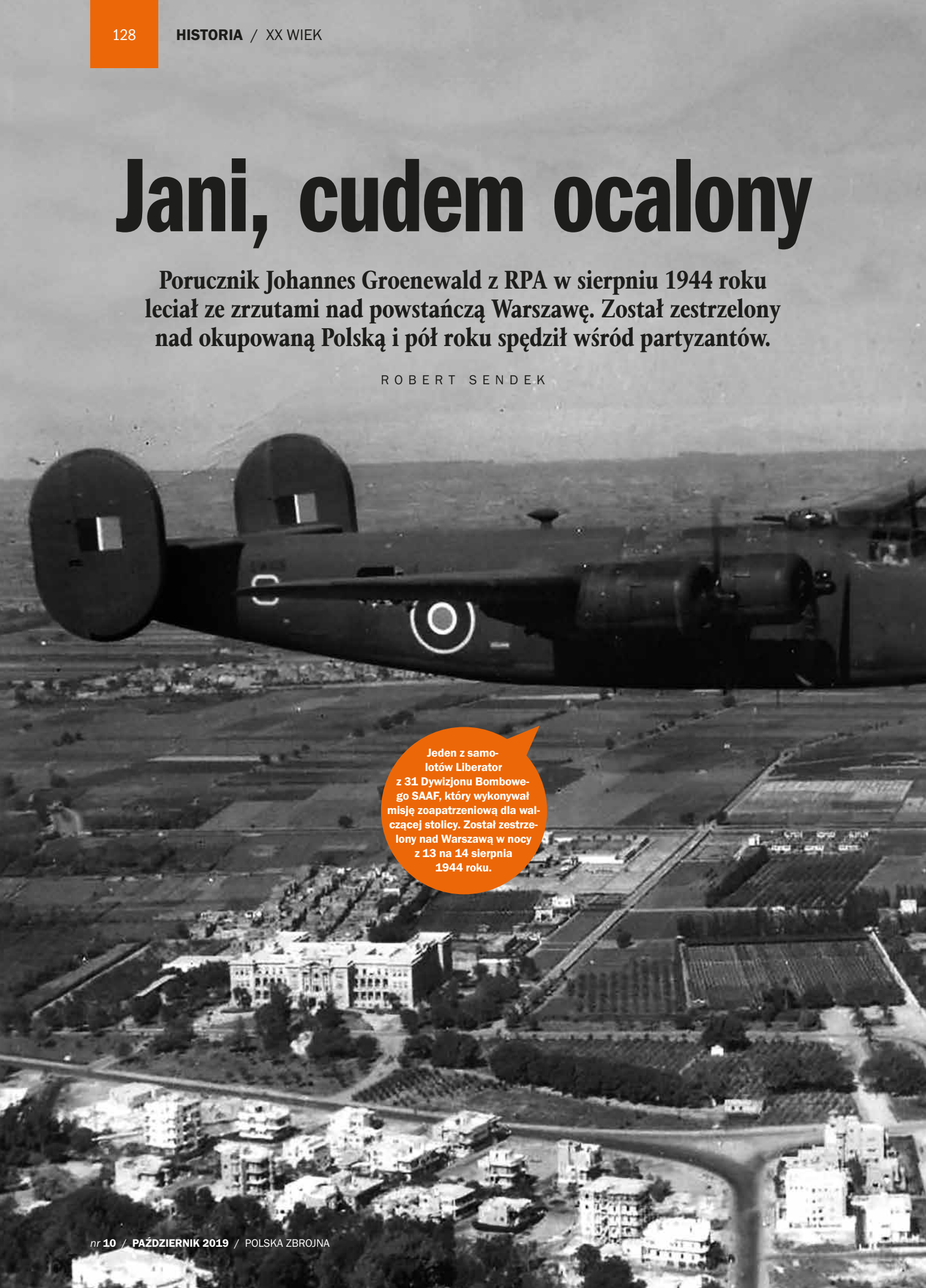


MARI-MAY/SHUTTERSTOCK, JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Jani, cudem ocalony

Porucznik Johannes Groenewald z RPA w sierpniu 1944 roku leciał ze zrzutami nad powstańczą Warszawę. Został zestrzelony nad okupowaną Polską i pół roku spędził wśród partyzantów.

ROBERT SENDEK



Jeden z samolotów Liberator z 31 Dywizjonu Bombowego SAAF, który wykonywał misję zoapatrzeniową dla walczącej stolicy. Został zestrzelony nad Warszawą w nocy z 13 na 14 sierpnia 1944 roku.



Wypełniony zasobnikami liberator ociężale toczył się po pasie startowym lotniska Celone. Pod kołami coraz szybciej umykała włoska ziemia, samolot stopniowo nabierał prędkości. W końcu maszyna oderwała się od ziemi. Załogę czekało kilka godzin niespokojnego lotu. Nad okupowaną Polską było piekło: trzeba unikać ognia artylerii przeciwlotniczej, bronić się przed myśliwcami przeciwnika, odnaleźć miejsce zrzutu i pozbyć się ładunku, a po wypełnieniu misji jak najszybciej wrócić.

Załogę samolotu Liberator EW248 P tworzyło ośmiu lotników z 31 Dywizjonu Południowoafrykańskich Sił Powietrznych (South African Air Force – SAAF). Najstarszy, mjr Izak J.M. Odendaal, dowódca maszyny, liczył sobie 28 lat. Wcześniej już leciał ze zrzutem na pomoc powstańczej Warszawie, więc dokładnie wiedział, co go czeka. Wówczas jego samolot wrócił z misji cało, jednak dywizjon poniósł straty na tyle duże, że dowództwo rozważało zawieszenie dalszych lotów ze zrzutami. Odendaal zaproponował wtedy, by nad Warszawę lecieli ochotnicy. Sam zgłosił się jako pierwszy.

Najmłodszy w załodze liberatora był strzelec chor. John A.G. Steel, mający ledwie 18 lat. Zgłosili się jeszcze: drugi pilot por. Johannes J.C. Groenewald, nawigator por. Bernard

T. Loxton, radiooperator por. Arthur J. Hastings oraz strzelcy pokładowi por. Thomas T. Watson i chor. Jacobus B. Erasmus, wszyscy rodem z Południowej Afryki. Ostatnim członkiem załogi był bombardier, sierż. G.T. Robinson, dokooptowany z Królewskich Sił Powietrznych (Royal Air Force – RAF). Gdy ich samolot wzbił się w powietrze, było krótko po godzinie 19.00. Był 16 sierpnia 1944 roku.

W OSTROWIE, GDZIE ROZBIŁ SIĘ LIBERATOR EW248 P, SZKOLE PODSTAWOWEJ NADANO IMIĘ LOTNIKÓW ALIANCKICH. NA ŚCIANIE BUDYNKU PLACÓWKI ZNAJDUJE SIĘ TABLICA PAMIĄTKOWA AUTORSTWA ARTYSTY RZEźBIARZA ANTONIEGO KOSTRZEWY

SAMOLOT W OGNIU

Tego dnia z pomocą okupowanej Polsce wystartowało jeszcze pięć innych załóg z 31 Dywizjonu SAAF. Trasa była już ustalona: bombowce musiały pokonać Adriatyk, nad Jugosławią obrać kierunek północny, a potem przez Węgry i Słowację dotrzeć nad Polskę. Wspomnienia kpt. Jacobusa L. van Eyssena z 31 Dywizjonu SAAF, który w sierpniu 1944 roku latał ze zrzutami nad Warszawę, dają wyobrażenie o tym, jak taki lot wyglądał: „Brzeg nieprzyjacielski ukazał się przed nami jeszcze w słońcu, na szczęście jednak nie spotkaliśmy żadnego zorganizowanego oporu, lecieliśmy bowiem pojedynczo, a nie w zwartej formacji. Witaliśmy z radością noc, zapadającą w miarę zagłębiania się w kraj nieprzyjacielski, aż na koniec, już w zupełnej ciemności wypatrzyliśmy Dunaj, zaznaczony pod nami nikłą, granatową taśmą. Nawigatorzy wysilali wzrok, by porównać zarysy rzeki z mapą, pamiętając, że ta rzeka dostarczyć może bodaj ostatnich wskazówek terenowych i stałych punktów nawigacyjnych”.

S A A F M U S E U M



Kłopoty zaczęły się, gdy liberatory znalazły się już na polskim niebie. Relacje świadków i zapisy w dokumentach na temat losu samolotu EW248 P nie są precyzyjne. Według części źródeł maszyna mjr. Odendaala została ostrzelana przez artylerię przeciwlotniczą. Z kolei por. Percy A. Rautenbach, kolega majora, który leciał tej samej nocy innym liberatorem, relacjonował, że samolot zestrzeliły niemieckie myśliwce nocne. O tym, co stało się potem, wiemy z relacji por. Groenewalda, jedyne go członka załogi feralnego liberatora, który przeżył wojnę. Gdy jego maszyna została trafiona i zaczęła się palić, mjr Odendaal polecił załodze założyć spadochrony i przygotować się do skoku. Groenewald zdążył sięgnąć po swój, gdy liberator wybuchł i rozpadł się w powietrzu. Wystrzuty siłą eksplozji porucznik przeżył, ale w katastrofie zginęli wszyscy jego koledzy z załogi.

WŚRÓD PARTYZANTÓW

Samolot rozbił się na polach między wsiami Ostrów i Klimontów koło Proszowic w Małopolsce. Okoliczności odnalezienia wraku wspominał później Marian Smoliński, adiutant miejscowego inspektora oddziałów podziemnej Wojskowej Służby Ochrony Powstania: „Byliśmy świadkami o godzinie 23.00 walki powietrznej nad naszym terenem. Po kilku minutach usłyszeliśmy wstrząsający huk w powietrzu, a następnie ujrzeliśmy ognistą kulę spadającą na ziemię. Po południu udaliśmy się na miejsce, gdzie spadły szczątki spalonego samolotu [...], a ponieważ zbliżali się Niemcy, wycofaliśmy się przez bruzdy rosnących ziemniaków i wówczas natrafiliśmy na leżącego bezprzytomnie człowieka. Po kolorze munduru i śladach oparzeń doszliśmy do wniosku, że to lotnik z zestrzelonego samolotu angielskiego”.

Rannym zajęto się troskliwie. Założono mu pierwsze opatrunki z maślanek, która miała łagodzić ból poparzonej twarzy i rąk. Po jakimś czasie lotnika przewieziono furmanką do majątku w Nagórzanach, gdzie mieściła się kwatera ppor. Bohdana Thugutta „Beteha”, dowódcy działającej na tym terenie 3 kompanii IV batalionu 120 Pułku Piechoty Armii Krajowej. Tam Groenewaldem zajęła się siostra „Betehy”, Wanda Thugutt „Rys”, sanitariuszka. Z Kazimierzy Wielkiej sprowadzono Stanisława Kuryłę, lekarza i członka konspiracji.

Pojawił się jednak kolejny problem. Lotnika trzeba było ukryć. Na szczęście siatka konspiracyjna spisała się na medal: dzięki wtyczce w biurze landkomisarza Oskara Schmidta udało się Groenewaldowi załatwić fałszywe dokumenty.

Zdaniem „Betehy”, „Groenewald był człowiekiem bardzo lubianym przez całe otoczenie i domowników: gospodarzy, rezydentów oraz służbę domową. Poza tym był on otoczony aureolą autentycznego bohatera. Lotnika tego szanowaliśmy, tym bar-

NA POMOC POLAKOM



Wlotach ze zrzutami dla polskiego ruchu oporu brali udział lotnicy południowoafrykańscy z 31 (odznaka z prawej) i 34 Dywizjonu Bombowego South African Air Force (SAAF). Początkowo nad Warszawę były wysyłane załogi z 31 Dywizjonu, który ponosił duże straty: od 13 do 17 sierpnia 1944 roku zostało zniszczonych osiem spośród 23 wysłanych samolotów. We wrześniu 1944 roku do zrzutów nad Polskę kierowano pilotów 34 Dywizjonu SAAF.

dziej że poleciał on na pomoc Warszawie jako ochotnik”. Domownicy zwracali się do niego „Jani”, „Jannie” i tak też występuje w niektórych polskich źródłach. Groenewald zastanawiał się wówczas, czy nie przystąpić do polskiego ruchu oporu. „Wyperswadowałem mu jednak ten projekt, motywując to jego nieprzydatnością w tych formacjach, bo przede wszystkim nie zna on języka polskiego, a po drugie, jako Południowoafrykańczyk nie zniósłby uciążliwych warunków klimatycznych, w jakich przebywają leśne oddziały partyzanckie AK”, relacjonował „Beteha”.

Lotnika wciągnięto do ewidencji żołnierzy alianckich, przebywających konspiracyjnie na terenie Inspektoratu Rejonowego AK Miechów. Losem Groenewalda interesowało się szefstwo

lokalnych struktur podziemnych: spotykał się z nim np. dowódca inspektoratu rejonowego AK ppłk Bolesław Nieczuja-Ostrowski „Tysiąc”. Kilkakrotnie odwiedzał go dowódca IV batalionu 120 Pułku Piechoty AK por. Stanisław Padło „Niebora”, a także oficer propagandy inspektoratu kpt. Walenty Adamczyk „Granit”.

Po wojnie Johannes Groenewald podkreślał, że w tym czasie praktycznie nie miał się na co skarżyć, choć zapamiętał kilka niedogodności. W wywiadzie, którego udzielił we wrześniu 1947 roku wydawanej w Johannesburgu gazecie „The Star”, zaznaczył: „Najgorsze były noce. W tej części Polski ciemno robi się już około czwartej po południu. Świece wypalały się koło ósmej, zanim więc poszliśmy spać, trzeba było siedzieć w ciemnościach. Mieliliśmy radio, zawsze więc ktoś z nas nasłuchiwał z BBC wiadomości, które potem krążyły wśród członków podziemia. Najtrudniejsze były dwie sprawy: pierwsza to jedzenie, które składało się głównie z ziemniaków, gdyż mięso było praktycznie niedostępne. Drugą był fakt, że w ciągu dwóch miesięcy kąpiel wziąłem tylko raz. Później spotkałem kobietę, która w Krakowie nauczała języka angielskiego. Przekazała mi kilka angielskich książek, które były dla mnie wielkim pocieszeniem”.

POWRÓT DO DOMU

Gdy w styczniu 1945 roku powiat miechowski zajęła Armia Czerwona, Groenewalda wysłano do Moskwy. Tam przejechała go brytyjska misja wojskowa. Lotnika przerzucono następnie przez Odesę do Kairu, stamtąd zaś trafił do Republiki Południowej Afryki. Wysłał wówczas do Bohdana Thugutta list z informacją, że wrócił szczęśliwie do rodziny. Po wojnie pracował w szkole średniej jako nauczyciel chemii. Jego towarzyszy broni, którzy zginęli podczas feralnego lotu, członkowie ruchu oporu pochowali na miejscu katastrofy. Szczątki lotników później ekshumowano i złożono na cmentarzu wojskowym w Krakowie.



KRZYSZTOF KUBIAK

Stratosferyczni szpiedzy

Związek Sowiecki, zajmując niemal 22,5 mln km², był największym państwem na Ziemi. Dlatego ochronę tajemnic czerwonego imperium stanowiły, oprócz rozmaitych służb, także olbrzymie, trudne wręcz do wyobrażenia przestrzenie. Kiedy po II wojnie światowej zaczął się kształtować nowy porządek światowy, trafnie nazwany zimną wojną, informacje o przeciwniku, jego planach i działaniach miały kluczowe znaczenie dla obu stron. O ile Sowieci dość swobodnie infiltrowali świat zachodni, o tyle podobne działania na obszarze bloku komunistycznego były wręcz niemożliwe.

W sukurs nie bardzo mogła przyjść Zachodowi nawet istniejąca ówczesnie technika. Teren Związku Sowieckiego pozostawał obszarem niemal całkowicie nieznanym. Amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza usiłowała temu zaradzić, wykorzystując dane zdobyte przez cywilnych i wojskowych meteorologów podczas badań wyższych warstw atmosfery. Godząc się na pewne uproszczenie, można przyjąć, że na dużych wysokościach wiatry wieją generalnie z zachodu na wschód, co jest skutkiem również ruchu obrotowego Ziemi. Plan sprowadzał się więc do tego, by z terytoriów państw sojuszniczych leżących na zachodnich obrzeżach komunistycznego imperium wypuszczać balony wyposażone w lotnicze aparaty fotograficzne. Niesione wiatrem na wysokości ponad 16 km przemierzałyby przestrzeń nad sowieckim interior, wykonując jednocześnie zdjęcia. Zakładano, że po zakończeniu misji kasety z filmami przejmowane byłyby nad Pacyfikiem przez specjalnie zaadaptowane samoloty Fairchild C-119 Flying Boxcar.

Pomysł, na pierwszy rzut oka genialny w swej prostocie, wymagał niemal sześciu lat testów i prób. W tym czasie opracowano wypełniany helem balon stratosferyczny o powłoce wykonanej z wysoce odpornego na oddziaływanie mechaniczne i termiczne materiału grubości zaledwie 0,06 mm, przygotowano aparaty fotograficzne i przyrządy nawigacyjne, a w końcu opracowano procedurę wykonawczą. Legenda operacji zakładała, że balony to część globalnego eksperymentu meteorologicznego. Amerykanie zdawali sobie sprawę z tego, że całe przedsięwzięcie wcześniej czy później zostanie przez Sowieców odkryte i dlatego postanowili zrealizować je w miarę szybko. Prezydent Eisenhower autoryzował operację określaną kryptonimem „Genetrix” 27 grudnia 1955 roku, a jej wykonanie rozpoczęło się 10 stycznia roku następnego. Do 6 lutego Amerykanie wypuścili z baz w Norwegii, Szkocji, Niemczech Zachodnich oraz Turcji łącznie 516 balonów. Akcję przerwano po proteście przeciwko naruszaniu sowieckiej przestrzeni powietrznej, złożonym 4 lutego przez ambasadora ZSRR w Waszyngtonie Gieorgija Zarubina. Nad Pacyfikiem przechwycono 54 balony, z których 31 dostarczyło użytecznych zdjęć (13 800) pokrywających około 8% terytorium sowieckiego (1,7 mln km²). CIA uznała operację za sukces, upubliczniając po latach, że w jej trakcie wykryto instalację nuklearną w Dodonowie na Syberii. Z drugiej strony balony stały się dla Sowieców źródłem nowej technologii. Kiedy w 1959 sonda Łuna 3 fotografowała ciemną stronę Księżyca, w jej aparatach znajdowały się „zdobyczne” amerykańskie filmy.

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

PO SŁUŻBIE

/ POWRÓT
DO PRZESZŁOŚCI

GWIAZDY SPIELBERGA

Tylko w Poznaniu można obejrzeć
unikatowy zbiór zabytkowych
czołgów, armat i dział
samobieżnych.

ANNA DĄBROWSKA,
ŁUKASZ ZALESIŃSKI



M48A5 PATTON

MTS-306



Zbiory są rozłoko-
wane w czterech
przestronnych pa-
wilonach, każdy
ma powierzchnię
750 m².

→ ANNA DĄBROWSKA

K

iedy zostałem poproszony do telefonu, w pierwszej chwili pomyślałem, że dzwoni ktoś, kto chciałby obejrzeć naszą kolekcję”, wspomina ppłk Tomasz Ogrodniczuk, kustosz Muzeum Broni Pancernej w Poznaniu. Szybko jednak został wyprowadzony z błędu.

- Czy macie u siebie czołgi T-54 i T-55?, usłyszał w słuchawce.
- Owszem, mamy...
- A czy dalibyście radę je uruchomić?
- No nie byłoby to łatwe, ale w sumie możliwe.
- Bo są potrzebne do filmu.

DRUŻYNA CZOŁGOWA NA PLANIE

„Pani, z którą rozmawiałem, za nic nie chciała zdradzić szczegółów, ponieważ obowiązywała ją tajemnica. Powiedziała tylko, że chodzi o film Stevena Spielberga. Potem dorzuciła jeszcze, że główną rolę zagra aktor znany z »Szeregowca Ryana«. Nie wymieniła nazwiska Toma Hanksa, ale dla nas było to oczywiste”, opowiada ppłk Ogrodniczuk. Wkrótce on i jego współpracownicy mieli się dowiedzieć, że obraz będzie opowiadał historię amerykańskiego prawnika, który w czasach zimnej wojny jedzie do Berlina, by negocjować wymianę sowieckiego szpiega na amerykańskiego pilota Gary’ego Powersa. Tytuł zmieniał się kilkakrotnie, ostatecznie jednak autorzy postawili na „Most szpiegów”. Na planie filmowym w roli stolicy NRD został obsadzony Wrocław. I tam właśnie Spielberg potrzebował poznańskich czołgów.

Prace nad przywróceniem ich do całkowitej sprawności ruszyły pełną parą i trwały praktycznie

do ostatniego dnia przed przystąpieniem do zdjęć. Już we Wrocławiu związani z muzeum pasjonaci zostali przebrani w enerdownskie mundury i czekali na sygnał. „Spielberg nie miał pewności, czy dać radę operować czołgami wśród statystów. Stałem więc przed jednym z pojazdów i dałem znak. Kolega Witek Marcińczyk ruszył naprzód i delikatnie zatrzymał czołg tak, że pancerz dotknął mnie na wysokości pasa”, wspomina szef pancernej placówki. Już po zakończeniu zdjęć, kiedy poznańska ekipa robiła sobie ze Stevenem Spielbergiem pamiątkowe fotografie, reżyser wyciągnął swój aparat i poprosił o jedną dla siebie. „This is my team”, rzucił.

Dziś czołgi, które znalazły się na planie „Mostu szpiegów”, stoją w jednej z hal nowej siedziby MBP w poznańskim Gołędzinie. „Zwróćcie państwo uwagę na wieżę T-55”, wskazuje Piotr Kaźmierczak, pracownik muzeum, który oprowadza nas po wystawie. „Po jednej stronie autograf złożył operator Janusz Kamiński, po drugiej sam Spielberg. To jedyny taki czołg na świecie!”.

WIELKA PRZEPROWADZKA

Takich jedynych, unikatowych, a już na pewno wyjątkowych eksponatów jest tutaj mnóstwo. Pieczołowicie gromadzona kolekcja liczy około 70 pojazdów – czołgów, samobieżnych dział, opancerzonych transporterów. Historia kolekcji sięga pierwszej połowy lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku i wiąże się z działającą wówczas w Poznaniu Oficerską Szkołą Wojsk Pancernych. To jej żołnierze zaczęli gromadzić sprzęt pancerny potrzebny im do prowadzenia zajęć. Zebrano wówczas wozy różnego typu, a także części i przekroje podzespołów czołgów oraz dział pancernych.



Blisko „Poznańczyk” stol polska tankietka TKS, niekiedy zwana czołżkiem. Te pojazdy produkowano od połowy lat trzydziestych i używano ich w wojnie obronnej 1939 roku.

WYJĄTKOWĄ KOLEKCJĘ ZABYTKOWYCH POJAZDÓW

BĘDZIE MOŻNA PODZIWIĄĆ W NOWEJ SIEDZIBIE MUZEUM BRONI PANCERNEJ

ANNA DĄBROWSKA

Potem kolekcja stopniowo się rozrastała – przejmowano sprzęt wycofywany ze służby i ustawiano w hangarze na terenie szkoły. Wśród pierwszych eksponatów był m.in. sowiecki czołg T-34 oraz działko pancerne Su-85. „Kiedy w 1997 roku przejmowałem opiekę nad kolekcją, liczyła 18 pojazdów. Dziś mamy około 70”, podaje szef oddziału.

Ekspozycja została ulokowana w powstałym w miejscu szkoły Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych. Dostęp do zbiorów był jednak utrudniony, ponieważ każdy, kto wszedł na teren wojskowy, musiał uzyskać przepustkę. Żeby to zmienić, w 2015 roku powstało Muzeum Broni Pancernej jako oddział Muzeum Wojska Polskiego. Wtedy zaczęto szukać nowej siedziby. W Gołęczynie był hangar o powierzchni około 750 m², a i tak nie był w stanie pomieścić wszystkich zabytkowych wozów. „Szukaliśmy miejsca, gdzie zmieściłby się cały sprzęt i byłaby przestrzeń do prezentowania jeżdżących pojazdów, bo takich mamy w kolekcji kilkadziesiąt”, tłumaczy ppłk Ogrodniczek. Okazało się, że w pobliżu

poznańskiego lotniska Ławica jest powojenny teren z kilkoma budynkami – własność oddziału Agencji Mienia Wojskowego. Kiedyś mieściły się w nich garaże dla samochodów, potem magazyny, a ostatnio stały puste.

Budynki trzeba było przebudować, wyremontować, docieplić i założyć odpowiednie instalacje. Łączny koszt inwestycji związanej z przystosowaniem nieruchomości do potrzeb muzeum wyniósł ponad 21,5 mln zł brutto. W grudniu 2018 roku do nowej siedziby przeniesiono muzealne ekspozyty. „Transport organizowaliśmy albo rano, albo późnym wieczorem, co pozwoliło uniknąć zamieszania na drodze. Największym problem okazało się jednak wyciągnięcie pojazdów z hangaru, bo były bardzo ciasno poustawiane”, mówi szef oddziału.

Teraz zbiory są rozlokowane w czterech przestronnych pawilonach, każdy ma powierzchnię 750 m². Pierwotnie otwarcie placówki planowano na końcówkę 2018 roku, w setną rocznicę wybuchu powstania wielkopolskiego. Termin



SNOP ŚWIATŁA Z ZIELONEGO KAMUFLAŻU PANCERZA ODSŁANIA O TON CIEMNIEJSZE ZARYSY LITER. CYRYLICA UKŁADA SIĘ W HASŁO: **ZEMSTA KATYNIA**

trzeba było jednak przesunąć, m.in. ze względu na kolejne prace budowlane. Inwestorom udało się bowiem pozyskać pieniądze na zadaszenie terenu między budynkami. Dzięki temu placówka będzie miała dwukrotnie większą powierzchnię wystawienniczą niż pierwotnie zakładano.

PANCERNA TRÓJCA

Z każdym eksponatem, który można zobaczyć w nowo otwartym muzeum, wiąże się ciekawa historia. Przykładem jest improwizowany pociąg pancerny, który stoi na torowisku ułożonym obok wystawienniczych hal. Pod koniec grudnia 1918 roku władze odrodzonej Polski wysłały na pomoc powstańcom wielkopolskim naprędce sformowany, improwizowany pociąg pancerny nr 11, później nazwany „Poznańczyk”. Jego załoga wzięła udział w zajmowaniu Ostrowa Wielkopolskiego i walkach o Krotoszyn. Oryginalny wagon szturmowy ocalał na jednej z poznańskich bocznic. Trafił do zbiorów muzeum, przeszedł remont i stał się impulsem do odtworzenia powstańczego składu. Polskie Towarzystwo Miłośników Kolei ze Skierniewic przekazało do Poznania lokomotywę z 1913 roku. Ryszard Zamyślony, prezes Nasycalni Podkładów z Krotoszyna, подарował natomiast dwie platformy. „Pociąg w miarę możliwości będzie rozbudowywany i doposażany”, tłumaczy Piotr Kaźmierczak. Eksponat przypomina, że na początku XX wieku broń pancerna składała się ze swoistej trójcy: pociągów, samochodów i czołgów, które do wyposażenia armii zaczęły masowo wchodzić już podczas I wojny światowej.

W zbiorach muzeum jest jeszcze jeden pojazd o nazwie „Poznańczyk”. „Czasami mówimy o nim »Błękitek«, a złośliwi porównują go do toi toia. Wszystko przez kolor i kształt wieżyczek, w których siedzieli strzelcy. Na polu walki to był jednak naprawdę groźny przeciwnik”, podkreśla Kaźmierczak, wskazując na stojącego w rogu sali Austina-Pużłowa. Samochód został skonstruowany w Rosji w czasie I wojny światowej.

„Jego załoga składała się z pięciu osób i miała do dyspozycji dwa karabiny maszynowe Maxim oraz... dwóch kierowców”, wyjaśnia przewodnik. Pierwszy doprowadzał wóz na pole walki. Tam obracano go o 180 stopni i do ataku ruszał tyłem. Wtedy do działania przystępował drugi kierowca. „To na wypadek, gdyby bitwa przybrała niepomysłny obrót. Pojazd nie musiał wówczas tracić czasu za zawracanie. Po prostu pierwszy z kierowców na komendę dowódcy wciskał gaz do dechy i ruszał przed siebie, czyli w kierunku przeciwnym do kierunku ataku”, opowiada Piotr Kaźmierczak.

W maju 1920 roku podczas wojny polsko-bolszewickiej jeden z takich wozów zdobyli żołnierze 55 Pułku Piechoty. Ze „Stieńki Riazina” został przemianowany na „Poznańczyka” i służył w polskiej armii do połowy lat dwudziestych ubiegłego stulecia. Ten stojący w poznańskim muzeum nie jest oryginałem. Został z odtworzony przez Waldemara Banaszyńskiego, przedsiębiorcę i prywatnego kolekcjonera z Wolsztyna.

RUDY 102 I RESZTA

Blisko „Poznańczyka” stoi polska tankietka TKS, niekiedy zwana czołżkiem. Te pojazdy produkowano od połowy lat trzydziestych i używano ich w wojnie obronnej 1939 roku. „Szybkie, zwrotne, a przy tym niskie, więc trudne do trafienia, uzbrojone w karabiny maszynowe kalibru 20 mm, czyli faktycznie małe działko przeciwpancerne, potrafiące strzelać ogniem automatycznym. TKS-y były niezwykle groźnym przeciwnikiem każdego niemieckiego czołgu. Niestety, we wrześniu 1939 mieliśmy ich zbyt mało”, mówi Piotr Kaźmierczak.

W czasie wojny tankietka została przejęta przez Niemców i służyła na lotnisku wojskowym w Norwegii. Później używał jej miejscowy rolnik. Do poznańskiego muzeum trafiła siedem lat temu, m.in. dzięki pomocy ówczesnego ambasadora Polski przy NATO Bogusława Winida oraz ambasadora Polski w Norwegii Stefana Czmura.



Ppłk TOMASZ OGRODNICZUK, kustosz Muzeum Broni Pancernej w Poznaniu: „Pani, z którą rozmawiałem, za nic nie chciała zdradzić szczegółów, ponieważ obowiązywała ją tajemnica. Powiedziała tylko, że chodzi o film Stevena Spielberga. Potem dorzuciła jeszcze, że główną rolę zagra aktor znany z »Szeregowca Ryana«. Nie wymieniła Toma Hanksa, ale dla nas było to oczywiste”.

Pojazdem zajął się Artur Zys i jego ekipa, nazywana pancernymi magikami. Ten wielkopolski przedsiębiorca od lat współpracuje z muzeum i już wielu eksponatom подарował drugie życie.

Tymczasem TKS to zaledwie przedsmak tego, co zobaczymy dalej. Stoją tam czołgi i potężne działa samobieżne: niszczyciel czołgów Hetzer w kamuflażu Dunkelgelb, a obok brytyjski czołg A27L Centaur. Z takich maszyn korzystali m.in. polscy pancerniacy, którzy podczas II wojny światowej walczyli na zachodzie Europy.

Największe emocje zwiedzających zapewne będzie wywoływał jednak inny pojazd – legendarny „Rudy 102”. „Ten egzemplarz T-34-85 został wyprodukowany w czasie II wojny światowej. Niemcy zniszczyli go podczas sowieckiego ataku na Krzesiny. Pod koniec lat czterdziestych ubiegłego stulecia ówczesny komendant Oficerskiej Szkoły Broni Pancernej postanowił go ściągnąć na uczelnię jako pomoc dydaktyczną”, opowiada Kaźmierczak. Część pancerna zdemontowano, tak by przyszli czołgiści mogli oglądać wnętrze wozu. W ten sposób powstał oryginalny тренаżer.

Pojazd w takim stanie zobaczyli członkowie ekipy, którzy kręcili serial „Czterej pancerni i pies”, i uznali, że dla nich jest bezcenny. Porzucili budowanie atrap, w których filmowali sceny z wnętrza czołgu. Począwszy od dziewiątego odcinka, aż do końca serialu, na filmowym planie był wykorzystywany właśnie obecny eksponat MBP. Jak mówi Kaźmierczak, filmowcy dyskretnie pominęli pewne szczegóły. Choćby ten, że przekładnia biegów w sowieckim pojeździe była tak oporna, że żołnierze musieli się wspomagać pięciokilowym młotem...

SZCZUPAK STALINA

W kolejnych halach ustawiono wozy alianckie obok sowieckich i niemieckich, drugowojenne i nowsze, pozyskane od polskiej armii, przywiezione z zagranicy, a nawet wydarte ziemi. Tak jak potężne działo StuG IV na podwoziu średniego czołgu Panzer – prawdziwa legenda poznańskiej kolekcji. Kiedy w styczniu 1945 roku jego załoga uciekała przed Armią Czerwoną, pod pojazdem na rzece załamał się lód i StuG spoczął na dnie Rgilewki nieopodal wielkopolskiego Grzegorzewa.

W kolejnych latach wrak powoli zapadał się w mule. Opowieści o niemieckim czołgu, który poszedł na dno, dotarły do zapaleńców skupionych wokół poznańskiego muzeum. Postanowili go wydobyć. Udało się to dopiero za trzecim podejściem i ostatecznie wóz trafił do Wojskowych Zakładów Motoryzacyjnych w Poznaniu, gdzie został gruntownie odnowiony. Choć takich StuG-ów Niemcy w sumie wyprodukowali około 600, do naszych czasów w kompletnym stanie przetrwał tylko ten jeden.

Ciekawym eksponatem jest też działo samobieżne SU-76M. Z takiego sprzętu korzystali żołnierze 1 i 2 Armii Wojska Polskiego. „Ten egzemplarz jest wyjątkowy”, włącza się do rozmowy Sławomir Matecki, starszy opiekun ekspozycji, który na chwilę przerywa pucowanie pancerna czołgu

IS-2. „Kiedy Polakom przekazywano pojazdy, sowieccy politrukowie nakazywali ozdabiać je różnymi hasłami zagrzewającymi do boju. Ten też ma takie na lufie”, tłumaczy Matecki i zapala maleńką latarkę. Snop światła z zielonego kamuflażu pancerna odsłania o ton ciemniejsze zarysy liter. Cyrylica układa się w hasło: „Zemsta Katynia”. Sowiecka propaganda ze wszystkich sił starała się wszystkich przekonać, że za mord na polskich oficerach odpowiedzialni są Niemcy, a teraz przyszedł czas, by im za to odpłacić...

Tymczasem Matecki wraca do IS-a. Oto prawdziwy gigant! Sowiecki czołg ciężki, nazwany na cześć Józefa Stalina, jest wyposażony w 122-milimetrowe działo i waży 46 t. „Takie czołgi były używane do szturmów w celu przełamania linii przeciwnika”, tłumaczy Matecki. Mogły budzić respekt, ale... miały kilka słabych punktów. W ich wnętrzu mieściło się stosunkowo niewiele amunicji, pozbawione były atutu szybkostrzelności, w dodatku wizjer umiejscowiony dokładnie na poziomie oczu operatora-mechanika sprawiał, że ten mógł polec od celnego strzału snajpera.

Takiego mankamentu nie miał następca, czyli IS-3. W miejscu wizjera jest twardy pancerz zakrzywiony tak, by rykoszetować pociski mniejszego kalibru. Kształt ten przypomina trochę pysk ryby, stąd potoczna nazwa czołgu. Rosjanie mówili na niego „szczuka”, czyli „szczupak”. Czołgi miały nowoczesną konstrukcję, opływową wieżę, potężnej grubości pancerze i 122-milimetrowe armaty. Ale ciągle były mało zwrotne, niezbyt szybkostrzelne, a załoga miała zapas niespełna 30 pocisków. „Po wojnie dwa takie pojazdy Sowietci przysłali naszej armii. Mieliśmy je wypróbować, by sprawdzić, czy nadadzą się do naszych potrzeb. Generałowie doszli jednak do wniosku, że nie, za to często wysyłano je na wojskowe defilady”, opowiada przewodnik.

WOJNA W T-34

Takich unikatowych eksponatów jest w muzeum więcej i to one odegrają pierwszoplanową rolę w ekspozycji. Placówka przygotowuje jednak też nowoczesne multimedia. W kioskach multimedialnych będzie można dowiedzieć się więcej na temat konstrukcji niektórych pojazdów, poznać historię wydobywania StuG, zrozumieć fenomen polskich tankietek czy obejrzeć na ekranie wnętrze amerykańskiego wozu zabezpieczenia technicznego M88. „Kolejną atrakcją będzie czołg T-34, wyposażony w komputery, siedziska i gogle. Po ich założeniu zwiedzający zostaną przeniesieni na pole bitwy, gdzie stoczą pojedynek z siłami nieprzyjaciela”, tłumaczy Witold Różyński, opiekun ekspozycji w pierwszym pawilonie.

Więcej o historii T-34 będzie się można dowiedzieć także dzięki wykorzystaniu techniki wideomappingu. Na korpusie pojazdu będą wyświetlane wizualizacje pokazujące rozmaite konstrukcje, zasady ich działania i historię. Na zwiedzających czekać będą także kawiarnia i sklep, w którym będzie można kupić m.in. modele wybranych eksponatów i zabrać część pancerną historię do domu”, dodaje Piotr Sroka, starszy specjalista z muzeum. ■

Ostatni etap”, obok wyreżyserowanego przez Aleksandra Forda w 1944 roku dokumentu „Majdanek – cmentarzysko Europy”, zainicjował tematykę niemieckich obozów koncentracyjnych nie tylko w kinie polskim, lecz także światowym. Film Wandy Jakubowskiej opowiada o kobiecym komandzie w Auschwitz, którego członkinie, wbrew beznadziei panującej w fabryce śmierci, starają się ocalić swe człowieczeństwo i włączają się do obozowego ruchu oporu. Film do dziś poraża realizmem, jeśli weźmie się pod uwagę, że był kręcony na terenie obozu, a aktorzy i statyści nosili autentyczne więzienne pasiaki, znalezione w obozowych magazynach. Jakubowska również miała za sobą pobyt w Auschwitz, choć swoich doświadczeń z rozmysłem w filmie nie wyeksponowała.

OCALONA PRZEZ MUZYKĘ

W 1942 roku do warszawskiego mieszkania Wandy Jakubowskiej zapukało gestapo. Kobieta akurat piekła ciastka dla trójki swych dzieci, ale na stole, oprócz produktów, miała rozłożoną konspiracyjną prasę, do której regularnie pisała arty-

kuły. Nie było już czasu schować gazety gdzieś głębiej, więc nakryła ją stolnicą. Gestapowcy od drzwi zaczęli krzyżeć: „Pod ścianę! Ręce do góry! Gdzie broń?! Gdzie nielegalne broszury?!”, lecz natychmiast przestali, bo zdumieni usłyszeli dobiegającą z drugiego pokoju muzykę. Jakubowska słuchała V symfonii Beethovena, ulubionego utworu Hitlera. Niemcy kazali jej opuścić ręce i z dziećmi usiąść na kanapie. Wszyscy razem wysłuchali utworu do końca, po czym gestapowcy zaniechali rewizji – gazety pod stolnicą i w tapczanie pozostały nieodkryte. Jakubowskiej zaś oznajmili, że niestety nie mogą jej zostawić w spokoju, bo ciąży na niej zbyt poważne zarzuty. Nie trafiła jednak na przesłuchanie do katowni na Szucha, od razu została zawieziona na Pawiak. Jeden z gestapowców-melomanów na pożegnanie powiedział konspiratorce: „Każdy z nas dałby pani uciec, gdyby był sam...”. Jakubowska po latach powiedziała o Niemcach: „Byli bardzo głupi, dlatego podziemie kwitło”.

Przyszła reżyserka ostatecznie

Duch Beethovena, Łezka Stalina

Pierwszym polskim filmem fabularnym zrealizowanym po wojnie były „Zakazane piosenki”, ale za fabułę, która w pełni ukazała koszmar niedawno zakończonego konfliktu, uznano nakręcony w 1947 roku „Ostatni etap” Wandy Jakubowskiej.

PIOTR
KORCZYŃSKI



trafiła do Auschwitz, ale i tutaj, jak sama stwierdziła, duch Beethovena nad nią czuwał, gdyż przydzielono ją do specjalnego komanda w Rajsku pod Oświęcimiem. I rzeczywiście była to „eksploracja raju w piekle”, jak obrazowo to miejsce nazwały więźniarki, które miały szczęście do niego trafić.

Funkcję komendanta pełnił tutaj Joachim Caesar, o którym Jakubowska mówiła po wojnie: „Był mniej więcej takim esesmanem jak ja”. Do SS trafił z polecenia starego kolegi szkolnego – Hermanna Göringa. Gdyby odmówił, ryzykowałby uwięzienie swej rodziny. Jakubowska wspominała jego przemówienie do kobiet przywiezionych do Rajska: „Moja żona umarła, ponieważ zaraziła się tyfusem plamistym. Została mi jeszcze dwójka dzieci. Wobec tego w moim komandzie będą takie warunki, że bym ja z obozu do domu więcej tyfusu nie przyniosł. Będą nowe baraki, będzie łaźnia i będzie czysto. Wszyscy dostaną czyściutki, nowe ubrania. Tak w ogóle to ja tych pasiaków nie cierpię, moje komando dostanie nowe sukienki”.

Jakubowska pracowała w gospodarstwie rolnym jako... fotograf, a fotografowała sprowadzonego z Azji Środkowej mniszka kok-sagiz. Niemcy mieli nadzieję, że dzięki tej roślinie uruchomią własną produkcję kauczuku niezbędnego w przemyśle oponiarskim. Był to dla nich duży problem, odkąd



„Ostatni etap”

był pierwszym powojennym polskim filmem, który odniósł wielki sukces na Zachodzie – w 1950 roku Brytyjska Akademia Sztuk Filmowych i Telewizyjnych uznała go za najlepszy film zagraniczny.

zostali odcięci od dostaw tego materiału z Ameryki Południowej. Jakubowska tworzyła dokumentację upraw o strategicznym znaczeniu, ale jednocześnie zbierała relacje o tym, co dzieje się kilka kilometrów dalej, za drutami fabryki śmierci – i to te fakty staną się kanwą pierwszej obozowej fabuły.

WZRUSZONY BATIUSZKA

W 1946 roku Jakubowska kończy scenariusz „Ostatniego etapu”, który zostaje zatwierdzony do produkcji, ale prace nad filmem nie ruszają. Oficjalny powód: scenariusz zawiera zbyt wiele scen zbiorowych i wymaga rozbudowanej scenografii, na co brak środków. Nieoficjalnie mówiono jednak, że „car polskiego kina”, jak nazywano Aleksandra Forda, ówczesnego szefa kinematografii, jest o ten scenariusz zazdrosny. Bał się, że straci pozycję pierwszego reżysera nad Wisłą, mocno już wtedy nadwyrężoną przez sukces „Zakazanych piosenek” Leonarda Buczkowskiego. Jakubowska wpadła wtedy na pomysł, że w realizacji filmu mogliby pomóc Rosjanie. Ford skwapliwie go podchwycił i obiecał reżyserce, że jeśli oni wyrażą zgodę, to on bez problemu podpisze decyzję o skierowaniu filmu do produkcji. Pięć lat spędził w ZSRR i dobrze znał Sowietów, którzy „chętniej biorą, niż dają”. Był przekonany, że to tylko jeszcze bardziej skomplikuje losy filmu, ale tym razem się mylił.

Scenariusz posłano do Moskwy, gdzie szybko trafił na biurko samego Stalina. Dyktatora tak miała wzruszyć scena z rosyjskimi więźniarkami, które z nabożną czcią wymieniały jego imię w obozowym baraku, że z miejsca poparł realizację filmu. Jakubowska po latach mówiła, że nie może potwierdzić, czy Stalin rzeczywiście się wzruszył, ale jednocześnie broniła tej sceny z filmu: „W Oświęcimiu na hasło »Stalin« na twarzach rosyjskich dziewczyn malowało się uwielbienie – nasz batiuszka! One nie wiedziały, jakie to ziółko!”. W środowisku polskich filmowców powstała wtedy legenda, że po przeczytaniu scenariusza wdzięczny Stalin ucałował Jakubowską. Ona sama zaś, dementując, powiedziała, że tylko do niej zadzwonił, kalecząc niemiłosiernie rosyjski, „bardziej jak Czecheniec niż Gruzin”.

Reżyserka przywiozła z Moskwy wybranego przez siebie operatora, dwie aktorki i rozkazy dla dowództwa sowieckich wojsk w Polsce: mieli jej udostępnić wszystko, czego zażąda na potrzeby filmu. Dlatego m.in. w scenach zbiorowych na drugim planie w roli więźniarek wystąpili sowieccy żołnierze z chustami na głowach. Według reżyserki, na wieść o jej sukcesie na Kremlu „Ford zzieleniał ze złości, ale nie mógł już nic poradzić”. „Ostatni etap” okazał się też pierwszym powojennym polskim filmem, który odniósł wielki sukces na Zachodzie – w 1950 roku Brytyjska Akademia Sztuk Filmowych i Telewizyjnych uznała go za najlepszy film zagraniczny. ■

POLSKIE SPRAWY HIMALAJSKIE

Nasi wspinacze zapisali się w historii światowego himalaizmu i w 1939 roku zatknęli biało-czerwoną flagę na szczycie siedmiotysięcznika.

KSIĄŻKA

Dariusz Jaroń,
„Polscy himalaiści”,
Marginesy, 2019.

Adam Karpiński, zwany Akarem, pisał 30 kwietnia 1939 roku do żony: „Trapię się sytuacją. Nie wiem nawet, czy najbliższe dni nie przyniosą jakichś niespodzianek dla Polski. Choć tu myślimy, czytając gazety, że p. H. w swej mowie bluffuje i że naprawdę wojny nie zrobi. Byłby chyba szaleńcem”. Przebywał wtedy już w Bombaju, gdzie miał przerwę w podróży do Almory, miasta położonego u podnóża Himalajów Garhwalu. A stamtąd tylko niespełna 200 km dzieliło go od prawdziwego celu wyprawy – szczytu Nanda Devi East, liczącego 7434 m i będącego najwyższym z niezdobitych wówczas szczytów tamtego pasma himalajskiego. Czekając na swych kompanów, czyli Stefana Bernadzikiewicza, Jakuba Bujaka i Janusza Klarnera, którzy dopiero wyruszyli z Polski, Akar trapił się losami ojczyzny, gdzie zostawił ukochaną rodzinę. Silniejsza była jednak myśl, że oto stoi przed niepowtarzalną szansą na spełnienie swojego wielkiego marzenia, na którego realizację poświęcił wiele lat życia!

Myśl o atakowaniu gór wysokich zakiełkowała w głowie Karpińskiego wcześniej, już w 1925 roku – wówczas postawił na Mount Everest, a jakże. Choć ten śmiały plan musiał z wielu względów porzucić. W 1936 roku powołano Komisję Himalajską, której celem było przygotowanie wyprawy Polaków w najwyższe góry świata. Tym razem padło na K2 – dziś wiemy, że zimowe wejście na ten szczyt śni się niektórym po nocach, choć środowisko wspinaczy jest już bogatsze o doświadczenia pokoleń kolegów po fachu... Po wielu zawirowaniach, zaangażowaniu polityków i dyplomatów, wy-



mianie korespondencji w końcu rząd indyjski zgadza się na ekspedycję właśnie w Himalaje Garhwalu. Polacy mają szansę zapisać się w historii światowego himalaizmu i zatknąć biało-czerwoną flagę na szczycie siedmiotysięcznika. To robi wrażenie!

Z dokumentów, wspomnień i listów przytaczanych szczerze przez Dariusza Jaronia dowiadujemy się o drobiazgowych przygotowaniach, planach, rozterkach pionierów rodzimego himalaizmu, okraszonych zresztą cytatami z „Polski Zbrojnej” i kapitalnymi archiwalnymi zdjęciami.

Karpiński, jako kierownik wyprawy, inżynier lotnictwa, a przy tym wynalazca, skupił się na prozaicznych, acz nieocenionych aspektach wyprawy. Już wcześniej wymyślił, preferowany dziś nie tylko w górach, strój zwany „na cebulkę”. I trzeba przyznać, że liczba warstw odzieży, którą mieli na sobie wówczas wspinacze, przysparza o zawrót głowy... Fascynujące są też wspomnienia – pamiętajmy, że to wszystko odbywało się 80 lat temu! – z samej wspinaczki, zakładania obozów, rozterek związanych z aklimatyzacją czy wreszcie decyzją o wycofaniu, bo czasem organizm, jak w przypadku Akara, po prostu nie wytrzymuje.

Ostatecznie 2 lipca 1939 roku szczyt Nanda Devi East zdobyli Jakub Bujak i Janusz Klarner. Akar i Bernadzikiewicz zginęli śmiercią alpinistów w pobliskim masywie Tirsuli dwa tygodnie później.

1 września Hitler jednak „zrobił wojnę”, a dwaj himalaiści równie żarliwie zaangażowali się w walkę o wolność Polski.

KATARZYNA PIETRASZEK

KSIĄŻKA

Słodkie pułapki i wielka polityka

Pod koniec 2010 roku nie uciłły jeszcze echa afery związanej z wydalaniem z USA rosyjskiej agentki Anny Chapman, gdy Wielką Brytanię wstrząsnął kolejny szpiegowski skandal. Katia Zatuliweter, piękna, młoda asystentka posła brytyjskiej Izby Gmin Mike'a Hancocka, zasiadającego we wpływowej komisji obrony, została zatrzymana i przesłuchana przez MI5 i MI6. Według dziennikarza „The Telegraph” Rosjanka była jedną z tzw. honeytrap, słodkich pułapek, czyli kobiet, które otwierały przed wpływowymi politykami obcych państw drzwi swoich sypialni w zamian za informacje wagi państwowej. Skandal ten był jednak tylko dziennikarską ciekawostką w porównaniu z innym, który wiele lat wcześniej wstrząsnął Wielką Brytanią i wzbudził fascynację opinii publicznej. W 1961 roku brytyjski polityk John Profumo, sekretarz stanu do spraw wojny, wdał się w romans z młodzieńką call girl **Christine Keeler**.

Jak się okazało, w tym czasie utrzymywała ona kontakty intymne m.in. z attaché morskim w Londynie Jewgienijem Iwanowem, który ponoć za jej pośrednictwem miał dostęp do tajnych dokumentów brytyjskiego polityka. Afera Profumo doprowadziła do upadku rządu konserwatystów, a jej bohater szybko zniknął ze sceny politycznej.

Skandal sprzed lat przywołał w swojej książce Sebastian Rybarczyk jako jeden z przykładów na to, że bez względu na czasy, rządy i zmiany historyczne wciąż najbardziej skutecznym i uniwersalnym narzędziem walki z przeciwnikiem pozostaje zwyczajna, ludzka namiętność. Jak pisze we wstępie do jednego z rozdziałów, „seks obok pieniędzy i ideologii stanowi najpowszechniejszy sposób werbowania agentów. Dzieje się tak od wieków i nic nie wskazuje na to, by sytuacja uległa zmianie”. I jest to prawda powszechna, którą wszyscy znają, mimo to wciąż zdaje się fascynująca, skoro powstają kolejne książki na ten temat. Rybarczyk w kilkunastu rozdziałach opisuje zarówno słynne, jak i mniej znane skandale z udziałem wiarołomnych polityków i wojskowych, oddanych sprawie agentów, zawiedzionych kochanek i kochanków. Książka napisana jest lekko i ciekawie, w tabloidowym

stylu. Wszystko to sprawia, że dobrze się ją czyta, ale też, biorąc pod uwagę inne podobne pozycje na rynku wydawniczym, prowadzi do jednej konkluzji. Seks, obok pieniędzy i ideologii, to temat, który zawsze będzie przyciągał i autorów, i czytelników. Dzieje się tak od wieków i nic nie wskazuje na to, by sytuacja uległa zmianie. ■

JOANNA ROCHOWICZ



Sebastian Rybarczyk, „Najtajniejsza broń wywiadu. Piękne kobiety, seksafery i szantaże”, Fronda, 2018.

WYSTAWA

Pamiętki z Września

To wyjątkowa okazja, by zajrzeć do kieszeni munduru, wojskowego tornistra czy chlebaka. Chcemy zaprezentować przedmioty, które 80 lat temu towarzyszyły walczącym na terenie naszego kraju”, tak Aleksander Ostasz, dyrektor Muzeum Oręża Polskiego, zachęca do obejrzenia wystawy „Z wrześniowego chlebaka...”. Kołobrzescy muzealnicy zgromadzili blisko tysiąc eksponatów z całego kraju oraz Czech, Francji i Niemiec. Wszystko po to, by przybliżyć zwiedzającym realia służby żołnierzy, którzy nagle znaleźli się w środku wojennej zawieruchy. Na nowej ekspozycji można zobaczyć indywidualny ekwipunek bojowy żołnierzy wojsk lądowych armii, które starły się na terenie na-



szej ojczyzny we wrześniu i październiku 1939 roku. Choć główny nacisk położono na Wojsko Polskie, nie brakuje eksponatów dotyczących oddziałów atakujących: niemieckich, radzieckich, a nawet, często pomijanych w historiografii, słowackich. W gablotach nie zabrakło też uzbrojenia, w tym legendarnych, polskich karabinów: maszynowego Browning wz. 1928 oraz przeciwpancernego Ur. Zaprezentowano też wyposażenie specjalistyczne: medyczne i saperskie. Najciekawsza część ekspozycji to jednak osobiste przedmioty i pamiątki, takie jak listy, fotografie i wyposażenie cywilne, zabierane przez ruszających w bój żołnierzy z rodzinnymi domów. MOP

Muzeum Oręża Polskiego, „Z wrześniowego chlebaka...”. Wystawę można oglądać do końca marca 2020 roku.

MUZEUM ORĘŻA POLSKIEGO W KOŁOBZEGU

WOJNA IMION MA WIELE...

**My tylko przekazaliśmy historie
bohaterów tej strasznej wojny.**

PIOTR KORCZYŃSKI

Czy można zrozumieć ludzi, którzy przeżyli niewyobrażalną dla nas – szczęśliwców żyjących w czasach pokoju – traumę najokrutniejszej z wojen? Za każdym razem zadaję sobie to pytanie, kiedy stoję przed drzwiami domu weterana, który zgodził się porozmawiać ze mną o swych wojennych przeżyciach, oraz biorę do ręki książkę „Jedno z moich imion brzmi życie. Rozmowy z tymi, którzy przetrwali piekło wojny”.

BYŁEM OCZEKIWANY

Często moja wątpliwość związana jest z niepokojem, czy nie wydam się rozmówcy zbyt banalny i miały w swym teoretyzowaniu na temat wojny. I jak dotychczas, za każdym razem mój lęk zniknął zaraz po przywitaniu. Zawsze czułem, że naprawdę jestem oczekiwany. Pamiętam, jak bardzo obawiałem się spotkania z Aliną Dąbrowską, więźniarką kilku niemieckich obozów koncentracyjnych, w tym fabryki śmierci w Auschwitz. Oczywiście, wcześniej przeczytałem wiele wywiadów, których udzieliła, artykułów oraz książkę o niej, ale i tak obawy pozostały. Tymczasem przywitała mnie promienna kobieta. Od razu pokazała wytatuowany na ręce numer obozowy: „Widzi pan, jaki zgrabny. Miałam szczęście, bo robiła mi go przedwojenna artystka...”. Oprawcy z SS, mimo usilnych starań, nie zdołali zabić w niej człowieczeństwa i kobiecości. To samo można powiedzieć o Adeli Żurawskiej, którą enkawudziści w 1940 roku deportowali w głąb Związku Sowieckiego i zmusili do niewolniczej pracy w kopalni. Siedemnastoletnia dziewczyna przeżyła wszystko i wróciła do kraju w szeregach 1 Armii WP.

Nie zapomnę żadnego ze spotkań i wywiadów, które znalazły się w „Jednym z moich imion...”. Kilka z nich zmieniło moje życie, bo pojawili się w nim ludzie, których mogę nazywać Przyjaciółmi. Pamiętam pewien słoneczny, wiosenny dzień, kiedy znalazłem się w malowniczych Łusławicach, leżących po obu brzegach Dunajca. Tam mieszkał Stanisław



Pyrek, ostatni żyjący załogant dumy polskiej floty wojennej – ORP „Gryf”. Góral, którego bieda zmusiła, by zaciągnął się do marynarki, a podczas obrony Helu stał się bohaterem. Jadąc trochę dalej na południe, pod Nowym Targiem spotkałem Józefa Kowalczyka, który jako ułan podolski w maju 1944 roku szturmował ruiny klasztoru na Monte Cassino. Ze łzami w oczach wspominał masakrę, po której z jego plutonu oprócz niego został tylko jeszcze jeden żołnierz. Podobnej rzezi, ale na przyczółku odrzańskim, doświadczył kmdr Henryk Leopold Kalinowski rodem z Wołynia. W Białymstoku z kolei poznałem Andrzeja Nusbeka, który jako nastolatek został synem pułku w brygadzie artylerii. Przeszedł jej cały szlak bojowy od Warszawy do Berlina i nieustannie żył nadzieją, że spotka ojca, który jako oficer Wojska Polskiego we Wrześniu ’39 dostał się do sowieckiej niewoli. Dopiero wiele lat po wojnie okazało się, że zginął w Katyniu. Pan Andrzej pokazał mi swój największy skarb, który wyniósł z wojny – szkolny zeszyt w szarych, zniszczonych okładkach. W tym frontowym dzienniku dzień po dniu zapisywał swoje wrażenia. Niesamowite są te zdania dziecka, które zbyt szybko musiało dorosnąć... W Rumi, nad samym morzem, gościłem u Brunona Jankowskiego, który zanim został żołnierzem 3 Dywizji Strzelców Karpackich,



KSIAŻKA

„Jedno z moich imion brzmi życie”, Wojskowy Instytut Wydawniczy, 2019.

przeżył piekło frontu włoskiego w... jednostce przeciwlotniczej Luftwaffe. Wracając znad Bałtyku, odwiedziłem w Olsztynku Zygmunta Jatczaka. To weteran elitarnego batalionu Armii Krajowej – słynnej „Miotły”. Po klęsce powstania warszawskiego dostał się do niewoli i wywieziono go do obozu jenieckiego w Niemczech. Tam, po wyzwoleniu przez Amerykanów, wstąpił do Legii Cudzoziemskiej i dla niego wojna trwała do lat pięćdziesiątych. Został żołnierzem słynnej 13 Półbrygady Legii Cudzoziemskiej, która miała za sobą m.in. walki pod Narwikiem czy w Afryce, i w jej szeregach wziął udział w krwawym indochińskim konflikcie. Opowieść pana Zygmunta z powodzeniem może konkurować z „Czasem apokalipsy” Francisa Forda Coppola i „Jądem ciemności” Josepha Conrada – przeżył dwa piekła: jedno na barykadach powstańczej Warszawy, a drugie w wietnamskiej dżungli.

NIE JESTEM BOHATEREM

Moi rozmówcy nie zwracają uwagi na poprawność polityczną czy tendencje panujące w najnowszej historiografii. Wciąż wiele spraw postrzegają z perspektywy szeregowca lub oficera liniowego. Bardzo to cenne i ciekawe – nie tylko dla zawodowego historyka. Dużym zaskoczeniem było dla mnie pytanie Józefa Kowalczyka, czy po 1956 roku Sowieci nadal wywozili Polaków na Syberię. Pan Józef po zdemobilizowaniu wyjechał do Australii, gdzie musiał pracować po kilkanaście godzin dziennie, by się utrzymać. Odizolowany od wiadomości z kraju i kontaktów z rodakami, nie wiedział, co się w Polsce dzieje. Uniknął stalinowskich represji, ale życie w ciągłej niepewności emigranta było dla nie-

go równie niszczące. Niestety przez jałtańskie ustalenia wojna nie skończyła się dla naszych żołnierzy 8 maja 1945 roku – zarówno dla tych w kraju, jak i dla pozostających na emigracji – lecz trwała znacznie dłużej. Do tej traumy nie każdy ma siłę wracać. Dlatego spotkałem się i z odmowami udzielenia wywiadu. Nie było ich wiele, ale pragnę tutaj podkreślić, że rozumiem i szanuję takie decyzje. To także jest akt odwagi.

Co znamienne, od każdego weterana słyszałem jak mantrę: „Ja nie jestem żadnym bohaterem!”, „Nie zrobiłem niczego, czego na moim miejscu nie zrobiliby inni”. Prosiłi zawsze, bym to podkreślił w wywiadzie, co jeszcze dobitniej potwierdzało ich męstwo. Dystans do siebie i poczucie humoru to kolejny charakterystyczny rys większości moich rozmówców. To także ratowało ich z wielu wojennych opresji. Jak stwierdził na przykład profesor Marian Fuks, kawalerzysta, więzień sowieckich łagrów i wreszcie pancerniak z 1 Brygady Pancernej: „Z takim nazwiskiem nie mogłem nie przeżyć wojny”.

Oto kulisy powstawania książki „Jedno z moich imion brzmi życie”. Ujawniłem je w imieniu swoim i moich redakcyjnych kolegów, których wywiady także się w niej znalazły. Ale tak naprawdę byliśmy tylko rodzajem medium. Po prostu przekazaliśmy historie bohaterów tej strasznej wojny, której skutki w mniejszym lub większym stopniu odczuwamy do dzisiaj. Niektórzy nie doczekali tej publikacji, co uświadamia nam, że bierzemy udział w wyścigu z czasem, by jak najwięcej zachować i ocalić tych bezcennych dla kolejnych pokoleń świadectw. ■



Krajobraz między jedną bitwą a drugą.

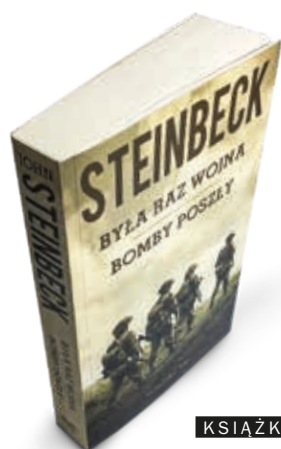
Ogromne lustro w masywnej rzeźbionej ramie, ozdobione setkami amorków wijących się wokół błękitnej wstęgi, która „jakoś przypadkiem chroniła każdego kupidyńka od nieprzystojności”. To raczej niecodzienny element krajobrazu wojennego. Tymczasem za sprawą jednego z opowiadań Johna Steinbecka walki na Sycylii w czasie II wojny światowej zawsze będą mi się kojarzyć z żołnierzem, który tak chciał chronić to swoje trofeum wojenne, że podczas każdego ostrzału artyleryjskiego zakopywał je w ziemi. Dlatego, jak zauważył autor, miał on chyba najcięższe przeżycia wojenne z wszystkich żołnierzy.

Właśnie z tej ludzkiej perspektywy Steinbeck pokazuje nam fronty II wojny światowej. „Była raz wojna” to zbiór korespondencji, które pisał m.in. do „New York Herald Tribune”. Trudno w tych artykułach szukać kulisów wielkiej dyplomacji, informacji o ruchach wojsk czy opisów bitew. Są natomiast opowieści o talizmanach, które miały uchronić żołnierzy przed śmiercią, karmelkach rozdawanych miejscowym dzieciom, czołganiu się wśród kiści słodkich winogron czy komandosach ratujących kufel pani admirałowej. Dlaczego? Steinbeck napisał wprost, że podczas bitwy niewiele się widzi. Zdecydowanie więcej można powiedzieć o tym, co dzieje się między starciami. Zresztą takie oficjalne doniesienia były domeną niemal wszystkich korespondentów wojennych. On wybrał inną formę – jego impre-

sje składają się na wielowymiarowy obraz wojny, jakiego nie znajdziemy w podręcznikach. Steinbeck jest blisko opisywanych ludzi, a jednocześnie pokazuje ich z pewnym dystansem. Być może wynika to z tego, że czuł się wśród nich jak intruz. Sam mówił o sobie, że był podsłuchiwcem wojny. Może to kwestia warsztatu, bo każda z tych historyjek to temat na powieść. Jakby Steinbeck robił sobie szkice przed napisaniem czegoś większego. Inną kwestią są ograniczenia, z którymi się zderzył. Nie mógł, ale i nie chciał, podawać zbyt wielu detali dotyczących działań wojennych. „Tak, opisywaliśmy wojnę tylko częściowo, lecz w owym czasie wierzyliśmy gorąco, że tak jest najlepiej”, tłumaczy reporter. Istotne były tutaj kwestie bezpieczeństwa, więc najczęściej miejsce opisywanych wydarzeń to „gdzieś na froncie śródziemnomorskim”.

Ciekawe jest natomiast zderzenie tych historii w jednej książce z powieścią, której nie można inaczej określić jak propagandowa. O ile bowiem w korespondencjach z frontu Steinbeck burzy wyidealizowany obraz wojny, o tyle „Bomby poszły” to historia załogi bombowca, która powstała po to, by zachęcić młodych ludzi do wstępowania do sił powietrznych. Hemingway po jej ukazaniu się powiedział, że wolałby uciąć sobie trzy palce u ręki, którą rzuca, niż napisać coś takiego. Warto sprawdzić, czy miał rację...

ANETA WIŚNIEWSKA



KSIAŻKA

John Steinbeck, „Była raz wojna. Bomby poszły”, Prószyński i S-ka, 2019.

KSIĄŻKA

Czekać spokojnie, idziemy



W pewien lipcowy dzień 1914 roku trójka młodych ludzi wybrała się na wycieczkę w Tatry – padło na Orlą Perc. Bronisław Bandrowski w rejonie Granałów zboczył ze szlaku i postanowił zejść wydawałoby się prostym żłebem wprost nad Czarny Staw Gąsienicowy. Nie był jednak świadomy tego, że żłeb ów z łagodnego zbocza zmienia się w pułapkę. Najpierw ginie Anna Hackbeilówna, a Bronisław popełnia samobójstwo, nie widząc wyjścia z fatalnej sytuacji. Maria Bandrowska też jest bliska tego kroku, bez nadziei na ratunek. Ten jednak nadchodzi – od strony stawu słychać krzyk: „Czekać spokojnie, idziemy!”. Te słowa Mariusza Zaruskiego, ówczesnego naczelnika Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, będą potem przywoływane w publikacjach dotyczących tej wyjątkowej formacji.

Istniejące od 1909 roku Pogotowie jest jedną z najstarszych tego rodzaju instytucji na świecie. Kandydaci, którzy przejdą niezbędne przygotowanie, sprawdzą się w wielu akcjach górskich i zdadzą egzaminy, wypowiadają te same słowa przysięgi, które rozbrzmiewały u podnóża Tatr sto lat temu. Pod tym względem nic się nie zmieniło – ratownicy są wierni tradycji.

Dziś trzon TOPR-u stanowi 37 ratowników zawodowych, wspomaganych przez ochotników z uprawnieniami do prowadzenia akcji ratunkowych. Ze statystyk Tatrzańskiego Parku Narodowego wynika, że tylko w 2018 roku góry odwiedziło niemal 3,8 mln turystów, toteż ratownicy na brak zajęć nie narzekają. A są doskonale przygotowani, stanowią czołówkę wśród tego rodzaju formacji na świecie, z ich doświadczeń korzystają inne służby, także wojsko.

Beata Sabala-Zielińska uchyla trochę drzwi do ich dyżurki, a oni zapraszają czytelników do swojego świata. Opowiadają o nim szczerze, dosadnie, prosto, choć nie brakuje też gorzkich refleksji, jak choćby tych dotyczących bolączek finansowych. Wspominają najbardziej spektakularne akcje, mówią o swoich motywacjach, radościach, o tym, że cały czas tak trudno pogodzić się ze śmiercią. Powtarzają jak mantrę jedno – najważniejszy jest ratowany człowiek.

KATARZYNA PIETRASZEK ■

Beata Sabala-Zielińska, „TOPR. Żeby inni mogli przeżyć”, Prószyński i S-ka, 2018.



FILM

Koniec niewinności

Tym unikatowym filmem laureat Oscara, twórca epickich ekranizacji powieści J.R.R. Tolkiena, oddał honor swojemu dziadkowi, uczestnikowi walk z czasów I wojny światowej. Ale też wszystkim innym młodym chłopcom i mężczyznom, ochotczo zaciągającym się do armii w poszukiwaniu przygody. Tym, którzy przetrwali, i tym, którzy do domu już nie wrócili, więc „młodzi pozostaną”.

Ukończony w 2018 roku obraz to filmowy eksperyment Petera Jacksona, jego pierwszy dokument, ale zrobiony z rozmachem, a przy tym zapadający głęboko w pamięć. Reżyser wykorzystał do jego stworzenia oryginalne materiały z londyńskiego Imperial War Museum, archiwalne nagrania BBC oraz wywiady z żołnierzami. Całe to tworzywo poddał obróbce z wykorzystaniem nowoczesnych zdobyczy technik produkcyjnych. W efekcie tych zabiegów powstała poruszająca audiowizualna (co ważne, bo momentami słowa słyszane w filmie mają zupełnie inną wymowę niż obraz) opowieść o młodych brytyjskich żołnierzach, którzy zostali wysłani na front I wojny światowej.

Jackson pokazuje ich zarówno w okopach, w ogniu, jak i na drugiej linii, w czasie gdy odpoczywają od walk. Mistrzowsko

montuje twarze roześmianych chłopców z ponurymi obrazami ofiar i błotnistych okopów, pokazując, jak wyobrażenie młodych żołnierzy o wojnie zderza się z jej brutalną rzeczywistością. Aby podkreślić jeszcze bardziej ten dysonans, Jackson zastosował niezwykle ciekawe rozwiązanie. Zdjęcia stanowiące kłamrę filmu, pokazujące wydarzenia, które poprzedzają wyjazd żołnierzy na wojnę i następują po ich powrocie, pozostawił w oryginalnej, czarno-białej wersji. Te pochodzące z walk i frontowego życia są natomiast pokolorowane, dzięki czemu wydają się bardziej realistyczne. To przejście w barwę jest symboliczną utratą niewinności, granicą, za którą wyobrażenia nie może sprostać prawdziwemu życiu.

W Polsce film Jacksona miał swoją premierę latem, podczas festiwalu filmów dokumentalnych „Millenium. Doc against gravity”. W październiku ma znów pojawić się w repertuarach kin. Ponieważ jest to jednak dokument, podejrzewam, że jego dystrybucja będzie niestety ograniczona. Mimo to naprawdę warto poszukać.

JOANNA ROCHOWICZ

„I młodzi pozostaną”, reż. Peter Jackson, prod. Nowa Zelandia, Wielka Brytania 2018.



ANDRZEJ FĄFARA

Boski wiatr w zatoce Leyte



Przeciętny Polak niewiele wie o wojnie na Pacyfiku. Nie dziwię się temu zaudziutko, bo pamiętam lekcje historii w szkole średniej, na których przemknęliśmy się gładziutko i bezboleśnie po działaniach sił alianckich, głównie amerykańskich, przeciwko Japończykom na Dalekim Wschodzie. Takie same są zapewne powody niewiedzy obywateli Stanów Zjednoczonych na temat naszej wojny obronnej we wrześniu 1939 roku albo powstania warszawskiego.

Korzystam z okazji, by nadrobić swoje szkolne zaległości, ponieważ w październiku mija 75 lat od bitwy w zatoce Leyte. Trwała ona cztery dni i była największym starciem powietrzno-morskim w historii. Leyte to wulkaniczna wyspa na Filipinach i właśnie w jej pobliżu doszło do boju, który przesądził o ostatecznej i nieodwracalnej klęsce japońskiej floty. Japończycy stracili wtedy cztery lotniskowce, trzy pancerniki, dziewięć krążowników, dziesięć niszczycieli i 500 samolotów. I to wszystko, proszę sobie wyobrazić, w ciągu zaledwie czterech dni! Amerykańskie straty były dużo mniejsze, choć też niemałe: trzy lotniskowce, cztery niszczyciele, dwa kutry torpedowe, dwa okręty podwodne i 200 samolotów.

Dla Japończyków to była ostatnia szansa, by odwrócić jeszcze losy całej wojny. W październiku 1944 roku tracili stopniowo pozycję na Pacyfiku, a Amerykanie właśnie rozpoczęli operacje desantowe na Filipinach, mające na celu wyparcie cesarskiej armii z kolejnych wysp. Zmuszenie floty USA do generalnego starcia było niespełnionym od dłuższego czasu marzeniem japońskich dowódców. I oto taka okazja, na nieszczęście tychże admirałów, nadarzyła się w zatoce Leyte.

Jak bardzo zdesperowani byli w tamtym momencie wojny Japończycy, świadczy pomysł wysyłania w bój kamikaze. Pierwszy tego rodzaju atak nastąpił właśnie podczas bitwy w zatoce Leyte, czyli też 75 lat temu. Kamikaze pilotowali specjalne samoloty i próbowali nimi trafić w jednostkę wroga. Udana akcja kończyła się oczywiście śmiercią pilotującego. Początki z japońskiego punktu widzenia były obiecujące: po ataku jednego z desperatów zniszczony został lotniskowiec USS „St. Lo”.

Interesująca, a zarazem wstrząsająca była otoczka owych akcji. Przed startem do ostatniego lotu pilotom odczytywano wiersze pozostawione przez kamikaze, którzy wcześniej zginęli. Zabierali ze sobą miecz samurajski, przed wejściem do kabiny wypijali czarkę sake, otrzymywali prezenty od przyjaciół i wysłuchiwali pieśni patriotycznych w ich wykonaniu. Samoloty przeznaczone do ostatniej misji były maksymalnie sprawne technicznie i nieskazitelnie czyste. Wszak trumna powinna taka właśnie być.

A sama nazwa, kto by pomyślał, jest całkiem niewinna. Kamikaze znaczy po japońsku boski wiatr.



Systemowe WSPARCIE

Na nowelizacji ustawy o weteranach działań poza granicami państwa najbardziej zyskali najciężej ranni misjonarze.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Ustawę o zmianie ustawy o weteranach działań poza granicami państwa oraz niektórych innych ustaw 14 sierpnia 2019 roku podpisał prezydent Andrzej Duda. Wyższe dodatki, kompleksowa opieka medyczna dla najciężej poszkodowanych weteranów, a także bezpłatne turnusy rehabilitacyjne to najważniejsze zmiany, które przynosi nowelizacja.

NIE TYLKO REHABILITACJA

Dodatkowe prawa, z zachowaniem wszystkich dotychczasowych, dzięki nowelizacji otrzymali weterani i weterani poszkodowani. Mogą teraz bezpłatnie korzystać z hal sportowych, siłowni i pływalni, którymi zarządzają samorządy. Zostaną zwolnieni z opłat za wstęp do muzeów państwowych. Ci szczególnie zasłużeni oraz odznaczeni Orderem Virtuti Militari lub Orderem Krzyża Wojskowego zyskali pierwszeństwo zamieszkania w Domu Weterana Wojskowego oraz w Domu Weteranów. Ta druga placówka jest dla weteranów przewlekłe chorych.

Prawo do skorzystania z bezpłatnych turnusów leczniczo-profilaktycznych (po powrocie do kraju) w nowelizacji ustawy rozszerzono m.in. na pracowników wojska wykonujących zadania poza granicami państwa. Z budżetu państwa zostanie też pokrytych 50% kosztów

tego pobytu pełnoletniego najbliższego członka rodziny. Kolejna zmiana dotyczy tych, którzy odbywają rehabilitację poza miejscem zakwaterowania, oraz ich opiekunów. Teraz będą mogli skorzystać z lokali, którymi zarządza Agencja Mienia Wojskowego (na zasadach określonych w ustawie o zakwaterowaniu).

Ponadto status weterana i weterana poszkodowanego uzyskają uczestnicy komisji powołanych na mocy porozumień

międzynarodowych w sprawie zawieszenia działań wojennych w Korei, Wietnamie, Kambodży i Laosie w celu kontroli i nadzoru nad wdrożeniem ich postanowień oraz uczestnicy misji humanitarnych (np. w Pakistanie w latach 2005–2006).

Żołnierze zawodowi, którzy mają status weterana poszkodowanego, otrzymują dodatkowo pięć dni urlopu wypoczynkowego. Ten przywilej nie będzie dotyczył tych, którym już przysługuje więcej niż 26 dni. Od tej zasady jest jednak wyjątek: dodatkowy urlop dostają ci, którym więcej niż 26 dni urlopu przysługuje z tytułu szkodliwych dla zdrowia warunków służby.

Żołnierze poszkodowani na misjach za pobyt w Domu Weterana zapłacą nie więcej niż 50% swojego miesięcznego dochodu. Ta grupa żołnierzy dostała też prawo do ulgowych przejazdów środkiem publicznego transportu zbiorowego. ➔

**MINISTER OBRONY
MARIUSZ BŁASZCZAK
ZAPOWIEDZIAŁ WPRO-
WADZENIE KARTY
WETERANA, KTÓRA
UMOŻLIWI KORZYSTA-
NIE Z USŁUG I TOWA-
RÓW PO PREFEREN-
CYJNYCH CENACH
NA TERENIE CAŁEGO
KRAJU, NIEZALEŻNIE
OD ROZWIĄZAŃ
PRZYJĘTYCH PRZEZ
POSZCZEGÓLNE
SAMORZĄDY**

Weterani poszkodowani z uszczerbkiem 1–9%, którzy pobierają emeryturę lub rentę inwalidzką, po nowelizacji zyskują prawo do pobierania dodatku weterana poszkodowanego w wysokości 5% podstawy wymiaru najniższej emerytury. Grupa najciężiej rannych misjonarzy, czyli z uszczerbkiem na zdrowiu wynoszącym co najmniej 30%, dodatkowo otrzymała, jak czytamy w ustawie:

- prawo do uzyskania pomocy finansowej na dwie formy kształcenia, np. na studia I stopnia oraz magisterskie;

- prawo do udziału (nie częściej niż raz w roku kalendarzowym) w 14-dniowych bezpłatnych turnusach readaptacyjno-kondycyjnych (razem z pełnoletnim najbliższym członkiem rodziny), obejmujących zajęcia psychologiczne, sportowo-rekreacyjne i fizjoterapeutyczne, które organizują jednostki podległe Ministerstwu Obrony Narodowej;

- większy dodatek dla weterana poszkodowanego:

- od 31 do 40% uszczerbku – do 40% minimalnej emerytury,
- od 41 do 50% uszczerbku – do 50% minimalnej emerytury,
- od 51 do 60% uszczerbku – 80% minimalnej emerytury,
- od 61 do 70% uszczerbku – 100% minimalnej emerytury,
- od 71 do 80% uszczerbku – 110% minimalnej emerytury,
- od 81 do 90% uszczerbku – 120% minimalnej emerytury,
- powyżej 90% uszczerbku – 130% minimalnej emerytury;

- prawo do korzystania poza kolejnością ze świadczeń opieki zdrowotnej oraz z usług farmaceutycznych w aptekach;

- możliwość pokrycia z budżetu państwa świadczeń opieki zdrowotnej niezakwalifikowanych jako świadczenia gwarantowane oraz odpłatnych świadczeń opieki zdrowotnej (dotychczas dotyczyło to tylko leczenia urazów i chorób nabytych podczas wykonywania zadań poza granicami państwa);

- możliwość bezpłatnego zaopatrzenia w leki dopuszczone do obrotu na terenie Polski o kategorii dostępności „Rp”, wydawane z przepisu lekarza, lub „Rpz”, wydawane z przepisu lekarza do zastrzeżonego stosowania (dotychczas weteran poszkodowany mógł otrzymać bezpłatnie leki tylko w leczeniu urazów i chorób nabytych podczas wykonywania zadań poza granicami państwa);

W WOJSKOWYM INSTYTUCIE MEDYCZNYM POWSTANIE CENTRUM LECZENIA WETERANÓW

- prawo do bezpłatnych wyrobów medycznych;
- prawo do ambulatoryjnych porad specjalistycznych bez skierowania od lekarza pierwszego kontaktu.

KONIECZNE NOWELIZACJE

Ustawa o weteranach nowelizuje 14 innych ustaw, które zawierają regulacje dotyczące wsparcia weteranów działań poza granicami państwa różnych służb, m.in. z 17 grudnia 1998 roku o zasadach użycia lub pobytu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej poza granicami państw, z 22 czerwca 1995 roku o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej czy, z 27 sierpnia 2004 roku o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych.

Większość nowych przepisów wchodzi w życie po 30 dniach od ogłoszenia w „Dzienniku Ustaw”. Z kolei dopiero po sześciu miesiącach od daty ogłoszenia wejdą w życie m.in. przepisy, dzięki którym weterani poszkodowani z 30-procentowym uszczerbkiem na zdrowiu zyskają prawo do bezpłatnych turnusów readaptacyjno-kondycyjnych organizowanych przez jednostki podległe MON-owi. Podobnie będzie z kwestią zakwaterowania żołnierzy w lokalach, którymi zarządza Agencja Mienia Wojskowego, w czasie rehabilitacji czy ze skierowaniem pracowników wojska wykonujących zadania poza granicami państwa na turnus leczniczo-profilaktyczny.

Do ustawy zostaną wydane rozporządzenia wykonawcze, które uszczegółowią jej zapisy. Dotychczasowe rozporządzenia ważne będą przez 12 miesięcy od dnia ogłoszenia nowelizacji (opublikowania w „Dzienniku Ustaw”) lub do czasu wydania nowych. Odrębną decyzją MON-u zostaną wprowadzone bezpłatne turnusy readaptacyjno-kondycyjne dla weteranów poszkodowanych z uszczerbkiem poniżej 30% (raz na trzy lata). ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych.

Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

WOJSKOWE MAŁŻEŃSTWO

Jesteśmy z mężem podoficerami i służymy w tej samej jednostce. Mąż zamierza ubiegać się o przyjęcie na kurs oficerski. Czy po jego ukończeniu może otrzymać pracę w innym garnizonie? Jak obecnie wyglądają sprawy kadrowe dotyczące małżeństw? Czy jest przepis, który obligowałby dowódcę jednostki do wyznaczenia żołnierza (po ukończeniu kursu) na stanowisko w dotychczasowej jednostce?

→ **Należy pamiętać, że żołnierze zawodowi mają obowiązek wykonywać rozkazy i dbać o bezpieczeństwo państwa i obywateli.** Powinni liczyć się z niedogodnościami, wiedząc, z czym wiąże się służba wojskowa i że przeniesienie do innej jednostki jest niejako wpisane w ich zawód.

Nie ma odpowiedniego przepisu, który obligowałby dowódcę jednostki do wyznaczenia żołnierza na stanowisko w dotychczasowej jednostce. Małżonkowie nie mają też gwarancji, że w przypadku awansu któregoś z nich nie zostaną rozdzieleni. Jednakże samodzielnie mogą oni ubiegać się o to, aby tak się nie stało. Dowódca jednostki, jeżeli tylko będzie miał taką możliwość, uwzględni wniosek małżeństwa, kierując się także potrzebami sił zbrojnych. Jeśli jednak takiej możliwości nie będzie, to małżonkowie zostaną rozdzieleni.

Wynika to z § 17 rozporządzenia MON w sprawie trybu wyznaczania żołnierzy zawodowych na stanowiska służbowe i zwalniania z tych stanowisk. Z rozporządzenia wynika, że żołnierzy zawodowych pozostających w związku małżeńskim z innym żołnierzem wyznacza się na stanowiska służbowe, w miarę możliwości, w tym samym garnizonie lub w miejscowościach pobliskich. Ministerstwo Obrony Narodowej stoi na stanowisku, żeby pomagać małżonkom w takiej sytuacji jak opisana w pytaniu. Były zastępca dyrektora Departamentu Wychowania i Promocji Obronności Ministerstwa Obrony Narodowej, płk Zdzisław Haręźlak podczas posiedzenia Komisji Obrony Narodowej przedstawił postulat, aby uwzględniać w takich sytuacjach dobro rodziny.

Niemniej jednak liczba małżeństw wojskowych zaczyna rosnąć, w związku z tym istnieje szansa, że zostaną wprowadzone regulacje, które wzmocnią pozycję takich małżeństw. Jednak do dziś nie wprowadzono bezwzględnego przepisu, który obligowałby dowódców do wyznaczania małżonków wojskowych na stanowisku w dotychczasowej jednostce.

CEZARY KRZEMIŃSKI

Kancelaria Radców Prawnych s.c.

K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

Podstawy prawne:
art. 2 ustawy z 9 października 2009 roku o dyscyplinie wojskowej (DzU 2017, poz. 2024); § 17 rozporządzenia ministra obrony narodowej z 9 września 2014 roku w sprawie trybu wyznaczania żołnierzy zawodowych na stanowiska służbowe i zwalniania z tych stanowisk (DzU 2014, poz. 1292).

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

SPRAWY ŻOŁNIERZY

Odznaka sprawności po nowemu

1 października rozpoczął się egzamin na Wojskową Odznakę Sprawności Fizycznej. Żołnierze będą go zdawać według nowych zasad.

Niewielkim metalowym znacznikiem z napisem WOSF, przedstawiającym kontur bieżni sportowej i trzy strzały symbolizujące sprawność fizyczną, honorowani są najsprawniejsi żołnierze. Służy on także propagowaniu wysokiej sprawności fizycznej i zdrowego stylu życia.

O odznakę mogą się ubiegać żołnierze zawodowi, którzy w danym roku kalendarzowym otrzymali ocenę pozytywną z testu sprawności, kandydaci na żołnierzy zawodowych oraz – jako novum w przepisach – także żołnierze pełniący terytorialną służbę wojskową.

Egzamin na WOSF według zmienionych zasad, rozpoczęty 1 października, obejmuje cztery konkurencje, sprawdzające wytrzymałość, umiejętność pływania, siłę oraz szybkość i zwinność. Żołnierz musi zaliczyć bieg na 3 tys. m, pływanie stylem dowolnym na dystansie 50 m, podciąganie na drążku wysokim lub pompki oraz – do

wyboru – bieg wahadłowy 10x10 albo bieg zygzakiem po kopercie.

Normy czasowe i liczby powtórzeń są uzależnione od wieku. I tak np. mężczyzna w wieku 26–30 lat (II grupa wiekowa) będzie musiał przebiec 3 km w czasie 12,15 min, przepłynąć dystans 50 m stylem dowolnym w 43 s, 16 razy podciągnąć się na drążku lub zrobić 70 pompek oraz zaliczyć

bieg wahadłowy 10x10 w czasie 28,9 s (lub zamienić bieg po kopercie zygzakiem w ciągu 23 s).

Kobieta w wieku 36–40 lat (IV grupa wiekowa), by zdobyć odznakę, będzie musiała przebiec 3 km w czasie 15,10 s, zaliczyć pływanie na 50 m w czasie 51 s, zrobić pięć podciągnięć na drążku lub wykonać 36 pompek, a także zaliczyć bieg wahadłowy 10x10 w czasie 31,6 s lub bieg po kopercie zygzakiem w 27,5 s.

Odznakę otrzyma ten, kto zaliczy wszystkie konkurencje według wskazanych kryteriów. Prawo do posiadania i noszenia odznaki potwierdzi legitymacja WOSF. Przyznane odznaki żołnierze będą musieli potwierdzić w kolejnym roku. PG



Niewielkim metalowym znacznikiem z napisem WOSF, przedstawiającym kontur bieżni sportowej i trzy strzały symbolizujące sprawność fizyczną, honorowani są najsprawniejsi żołnierze.

Awanse na Święto Niepodległości

Według szacunków MON-u z okazji 11 listopada awans może otrzymać ponad 5,5 tys. wojskowych.

Decyzję w sprawie tegorocznego limitu awansowego podpisał Mariusz Błaszczak, minister obrony narodowej. Dokument dotyczy wyłącznie tych żołnierzy, którzy mogą być mianowani na wyższy stopień w ramach zajmowanego stanowiska. To oficerowie młodszy, czyli od podporucznika do kapitana, gdyż w tym przypadku stanowiska są przypisane do dwóch stopni, oraz szeregowi zawodowi, któ-

rzy na jednym stanowisku mogą służyć w stopniu szeregowego i starszego szeregowego. Decyzja w sprawie limitu dotyczy też całego korpusu podoficerskiego, w którym występują trzy grupy: podoficerów młodszych (kapral, starszy kapral i plutonowy), podoficerów (sierżant, starszy sierżant i młodszy chorąży) oraz podoficerów starszych (chorąży, starszy chorąży i starszy chorąży sztabowy).

Aby otrzymać awans, żołnierz musi spełnić jednak określone warunki. Wymagana jest ocena bardzo dobra z opinii o służbowego oraz odpowiednio długi staż służby na stanowisku. W przypadku oficerów i podoficerów są to co najmniej trzy lata, a w przypadku szeregowych – pięć lat. Przepisy dopuszczają też, że na awans mogą również liczyć żołnierze z krótszym stażem: oficerowie i podoficerowie z co najmniej dwuletnią służbą na stanowisku oraz szeregowi z trzyletnim stażem na stanowisku. Wtedy jednak konieczna jest ocena wzorowa z opinii służbowej.

Najbliższe mianowania mają się odbyć w Święto Niepodległości. Wtedy według szacunków MON-u wyższy stopień będzie mogło otrzymać 5540 żołnierzy, w tym 840 oficerów, 3200 podoficerów oraz 1500 szeregowych. PG

SPOKÓJ NIEŚMIERTELNIKA

**Żołnierzom i ludziom związanym z wojskiem
udostępniamy łamy „Polski Zbrojnej”, aby zachować
pamięć o tych, którzy odeszli.**

Wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach po śmierci

Mamy

st. chor. szt. Sebastianowi Kicie

oraz Rodzinie i Bliskim

składają dowódca bazy, żołnierze i pracownicy
8 Bazy Lotnictwa Transportowego
w Krakowie-Balicach.

Płk. Cezaremu Balewskiemu

szczerze wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy
służb materiałowych
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

szer. Krzysztofa Witwickiego.

Rodzinie i Najbliższym

w tych trudnych chwilach

wyrazy głębokiego współczucia
składają dowódca wraz z żołnierzami i pracownikami
wojsk obrony terytorialnej.

**Panu gen. bryg. Piotrowi Malinowskiemu,
Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
oraz słowa wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca oraz żołnierze
Wielonarodowej Dywizji Północny-Wschód
w Elblągu.

Szefowi Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Lublinie

Panu płk. Jerzemu Flisowi

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci
Ojca

składa płk Roman Kopka,
szef Zarządu Organizacji i Uzupełnień – P1
Sztabu Generalnego WP.

St. szer. Robertowi Rogulskiemu,

żołnierzowi 2 Mazowieckiego Pułku Saperów,
z powodu tragicznej śmierci

Córki

wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy
2 Mazowieckiego Pułku Saperów.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 23 sierpnia 2019 roku zmarł w Londynie

ŚP
płk Zdzisław Picheta

urodzony 17 października 1922 roku w Siedlcach.
Podczas inwazji niemiecko-sowieckiej we wrześniu
1939 roku służył ochotniczo, jako harcerz, w Garnizonie
Kołomyja w plutonie obrony przeciwlotniczej.

17 września ewakuowany do Rumunii,
następnie internowany w obozie w Comişani.
W maju 1940 roku przedostał się na Bliski Wschód.
W czerwcu 1940 roku wstąpił w Syrii do Brygady
Strzelców Karpackich. Od sierpnia 1941 roku uczestnik
kampanii libijskiej. Walczył w obronie Tobruku,
następnie pozostawał na Bliskim Wschodzie.
Od stycznia 1944 do marca 1945 roku służył
w pododdziałach 7 Dywizji Piechoty Polskich Sił
Zbrojnych na Zachodzie. Od kwietnia do lipca 1945
roku instruktor w Centrum Wyszczolenia Armii
2 Korpusu Polskiego w Materze.
Uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu
Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu
Odrodzenia Polski oraz innymi odznaczeniami polskimi
i brytyjskimi.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób
Represjonowanych

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
Pana kmdr. por. rez. Jerzego Szczapa,
lekarza, wieloletniego dyrektora Wojskowej
Specjalistycznej Przychodni Lekarskiej SPZOZ
w Gdyni.
Pogrążonej w bólu
Rodzinie i Bliskim
wyrazy głębokiego współczucia
składają dyrektor, kierownictwo
oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia.

Panu kpt. Pawłowi Narlochowi
wyrazy szczerego żalu i najgłębszego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają komendant, żołnierze oraz pracownicy
resortu obrony narodowej Komendy
Portu Wojennego Gdynia.

Panu mł. chor. mar. Andrzejowi Wiśniewskiemu
wyrazy szczerego żalu i najgłębszego współczucia
z powodu śmierci
Matki
składają komendant, żołnierze oraz pracownicy
resortu obrony narodowej Komendy
Portu Wojennego Gdynia.

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
płk. dypl. rez. Krzysztofa Salamona.
Rodzinie i Bliskim zmarłego
wyrazy głębokiego współczucia
składa rektor-komendant Akademii Sztuki Wojennej
wraz z kadrą i pracownikami Akademii.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”.

Szczere kondolencje, wyrazy głębokiego współczucia
oraz słowa wsparcia i otuchy
Sabinie Kochanowskiej-Janik
w trudnych chwilach po stracie
Taty
składają szef, żołnierze, pracownicy
Delegatury Departamentu Kontroli w Bydgoszczy.

Pani Marzannie Gąsiorowskiej
wyrazy głębokiego żalu
i szczerze kondolencje z powodu śmierci
Syna
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

Pani Wioletcie Bednarek
wyraży głębokiego żalu
i szczerą kondolencję z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

**Panu ppłk. dr. hab. n. med. Karolowi Makowskiemu
oraz Rodzinie i Bliskim**
wyraży głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają dyrektor, kierownictwo
oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia.

„Śmierć jest spoczynkiem podróznego,
kresem mokołu wielkiego”.

**Panu kmdr. Jarosławowi Kuklińskiemu
oraz Jego Najbliższym**
szczerą kondolencję i wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają żołnierze i pracownicy wojska
Inspektoratu Marynarki Wojennej DGRSZ.

Głębokim smutkiem napełniła nas
wiadomość o śmierci

ppłk. Leszka Przeszlowskiego,
wojskowego komendanta uzupełnień
w Jarosławiu.

Żonie oraz Najbliższym
wyraży szczerą żal i współczucia
składają szef oraz żołnierze i pracownicy
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Opolu.

Z głębokim żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
ppłk. Leszka Przeszlowskiego,
wojskowego komendanta uzupełnień
w Jarosławiu.

Rodzinie i Bliskim
szczerą kondolencję składają
szef, żołnierze oraz pracownicy
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Rzeszowie
z podległymi wojskowymi komendami uzupełnień.



Pamiętamy

sierż. Rafał Nowakowski
4 października 2011 roku
PKW Afganistan

sierż. sztab. Bogusław Gibas
5 października 2002 roku
UNIFIL Liban

kpr. Szymon Graczyk
9 października 2009 roku
PKW Afganistan

kpr. Radosław Szyszkiewicz
9 października 2009 roku
PKW Afganistan

sierż. Adam Szada Borzyszkowski
14 października 2010 roku
PKW Afganistan

szer. Dariusz Sorokopas
15 października 1992 roku
UNPROFOR b. Jugosławia

sierż. Mariusz Deptuła
23 października 2011 roku
PKW Afganistan

st. chor. sztab. Eugeniusz Lewandowski
26 października 1992 roku
UNTAC Kambodża

st. chor. sztab. Andrzej Wydrzyński
26 października 1992 roku
UNTAC Kambodża

Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

mł. chor. Arturowi Kryniczowi

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Na wieczną wachnię odszedł

wiceadm. Piotr Kołodziejczyk,

dowódca marynarki wojennej w latach 1986–1989,
minister obrony narodowej w latach 1990–1991
i 1993–1994.

Rodzinie i Bliskim

składamy wyrazy głębokiego współczucia i żalu.

Inspektor, kadra oraz pracownicy
Inspektoratu Marynarki Wojennej

Na wieczną wachnię odszedł

wiceadm. Piotr Kołodziejczyk.

Rodzinie i Bliskim

składamy wyrazy głębokiego współczucia i żalu.

Prezes oraz członkowie
Stowarzyszenia Oficerów Marynarki Wojennej
Rzeczypospolitej Polskiej

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczere kondolencje

Panu płk. Grzegorzowi Wasielewskiemu

z powodu śmierci

Mamy

składają dyrekcja oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych.

Na wieczną wachnię odszedł

wiceadm. Piotr Kołodziejczyk,

dowódca 3 Flotyli Okrętów w latach 1980–1983,
dowódca marynarki wojennej w latach 1986–1989,
minister obrony narodowej w latach 1990–1991
i 1993–1994.

Rodzinie i Bliskim

składamy wyrazy szczerzego żalu
i najgłębszego współczucia.

Dowódca, kadra oraz pracownicy
3 Flotyli Okrętów

Panu płk. Grzegorzowi Wasielewskiemu

oraz pogrążonej w żałobie

Rodzinie

wyrazy szczerzego żalu i współczucia
z powodu śmierci ukochanej

Mamy

składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Centrum Eksperckiego Policji Wojskowych NATO
w Bydgoszczy.

Pogrążonemu w żałobie i smutku
po śmierci ukochanej

Mamy

Panu płk. Grzegorzowi Wasielewskiemu,

konsultantowi Departamentu Wojskowych Spraw
Zagranicznych,

szczerze wyrazy współczucia
składają komendant główny, żołnierze i pracownicy
Żandarmerii Wojskowej.

POLSKA-ZBROJNA.PL

HISTORIA POLSKA ZBROJNA

MAGAZYN O TRADYCJI I CHWALE
POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Twoja historia – Twoje życie!

Polecam!

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna



WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

POLECAMY

„Cieszymy się, że żyjemy w pokoju i **nikt z nas nie jest zmuszony dokonywać w ciągu jednej sekundy wyboru pomiędzy życiem a śmiercią**”, mówi Kazimierz Piechowski, jeden z bohaterów tej książki. Oddaliśmy głos tym, którzy przeszli piekło wojny i zdecydowali się o tym opowiedzieć w szczerych, poruszających rozmowach.



KSIĄŻKĘ ZAMÓWISZ NA

sklep.polska-zbrojna.pl 

DARMOVA PRZESYŁKA

